



MAGAZYN

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Sobota-czwartek, 31 maja – 5 czerwca 2025 | Redaktor prowadzący **Andrzej Kulasek** | Cena gazety **11,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 125.10922 | Nakład 80 tys. + 302 tys. prenumerat cyfrowych

**Kod dostępu
do Wyborcza.pl
na weekend**



**BARACK
OBAMA**
Inspirowała
mnie
„Solidarność”
► 8

KSIĄŻKI
DODATEK SPECJALNY



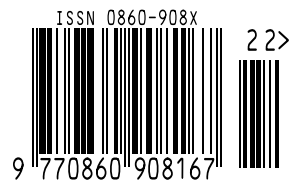
Finalista Bookera
Wolność kosztuje

WYSOKIE OBCASY



Oliwia Woś, piłkarka
Jestem jak ściana

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198



REKLAMA/Kraj/34379372

Agnieszka
Kublik

Taksówkarz ciekawszy niż sondaże

W przepiękne majowe popołudnie czekałam przed dworcem PKP w Białymstoku. Słońce przechadzało się po okazałym budynku. To prawdziwy zabytek, zbudowany w 1861 r., kiedy uruchomiona linia z Warszawy do Petersburga przez Białystok, Grodno i Wilno.

Oraz historia Polski i szerzej, „skrwawionych ziem”, w pigułce: podczas I wojny światowej spalony przez wycofujących się Rosjan, w 1919 r. odbudowany przez młodziutką Rzeczpospolitą, podczas II wojny zbombardowany, spalony przez wycofujących się Niemców, a od 1989, roku przełomu, modernizowany. Przez 14 lat, ze zrywami, przestojami, zmianami koncepcji.

Z warszawskiego pociągu razem ze mną wysiadło trzech mężczyzn, Wietnamczyków. Dwaj świetnie ubrani chłopacy z trzecim starszym, może ojcem. Wspólnie czekaliśmy pod budynkiem na autobus, gdy nagle podbiegł Miejscowy Pijacek. Chwiejnym krokiem, ale energicznie, aż lopotały poły zużytej marynary. Wzbudzony, zaciągał się niedopalkiem. Wzleciały w słoneczne, majowe popołudnie „k...”, i „alfonsy”. Było o „wypier... migrantów” i „jeb... uchodźców”. Wszystko z pięknym – bez ironii – podłaskim akcentem.

Ruszył do mnie, wysoki, dobrze zbudowany, umięśniony, krótko ostrzyżony. Na dworcu w Białymstoku. Mam przechlapane

Wietnamczycy przekleństw nie zrozumieli, ale mówię ciała tak: wynoście się stąd, nie chcemy tu was.

Miejscowy Pijacek wrzeszczał i wymachiwał dłonią. Niby komicznie, ale

coraz zapalczywiej i z tłącym się niedopalkiem. Ale nikt z kilkunastu obecnych na placu przed dworcem nie reagował. Nikt.

Pierwsza myśl: Bo się zgadzają. Przecież to bogoojczyźniane Podlasie, słynny „Biały Białystok”. Druga myśl, trzeźwiejsza i zawstydzona pierwszą: Bo myślą „e, to tylko Miejscowy Pijacek.

Ale nawet jeśli, to agresywny. Więc przemówiłam stanowczo, tonem, jaki zawsze działa na Miejscowych Pijacków: Czego się pan ludzi czepiasz? Idź pan stąd!

Zamarł, ale na krótko. Przystąpił – po chwili analizy, co poznałam po ruszającej się zmarszczce na czole, czy wystarczy babę tylko opieprzyć – do ataku. Popłynęły obietnice, że nam „wyjebie”.

I wtedy ruszył ku nam Taksówkarz. Wysoki, umięśniony, krótko ostrzyżony. Teraz mi ruszała się zmarszczka na czole podczas. Jakie jest prawdopodobieństwo, że stanie w obronie Obcych? Tu, na Podlasiu, narodowcy są silniejsi niż gdziekolwiek indziej. Tradycyjnie, nie od dziś, bo już panoszyli się po mieście w czasach, kiedy ruch narodowy składał się z paru emerytowanych endeków i garstki skinheadów. Czyli mam przechlapane.

I padło: „Spieprzaj!”. Ale nie do mnie. A Miejscowy Pijacek skwapliwie go posłuchał.

Co prawda, gdy Wietnamczycy i Taksówkarz odjechali, znowu popłynęły „k...” i „wyp...” do siebie”.

Ale już z daleka. Nie podszedł do mnie. Nie odważył się. Zorientował się, że nikt go nie poparł. Nikt. ●

Andrzej rysuje



Wielka Brytania Fortuna serem się toczy



FOT. REUTERS/SABEL INFANTES

W ostatni poniedziałek maja, do angielskiego Brockworth tradycyjnie zjechali śmialkowie, by wziąć udział w Cooper's Hill Cheese-Rolling and Wake competition, czyli gonitwie za... serem. Uczestnicy zbiegają ze stromego zbocza Cooper's Hill w pogoni za 4-kilogramowym krążkiem sera gloucester.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend***

3TB51QE

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 31.05.-01-06.2025 r.

Liczba tygodnia

9.

• raz przeprowadzono test statku kosmicznego Starship, jednego z projektów Elona Muska. Ale misja znów zakończyła się niepowodzeniem.

Czarodzieje wracają do akcji Harry, Ron i Hermiona na nowo

HBO ogłosiło długo oczekiwaną listę wykonawców głównych ról w zapowiadanym przez producenta serialu na podstawie słynnej powieści J. K. Rowling.

Ich nazwiska na razie nie mówią zbyt wiele szerokiej rzeszy potencjalnych widzów – staną się sławne, gdy serial HBO wejdzie na ekrany. Dominic McLaughlin, Alastair Stout i Arabella Stanton wcielą się kolejno w Harry'ego Pottera, Rona Weasleya i Hermionę Granger.

Ekipa odpowiadająca za obsadę nie miała łatwego zadania. Bohaterowie „Harry'ego Pottera” w zbiorowej wyobraźni mają przecież twarz Daniela Radcliffe'a, Ruperta Grinta i Emmy Watson. Przesłuchania do trzech głównych ról otwarto minionej jesieni, a wzięło w nich aż 32 tysiące młodych aktorów między dziewiątym a jedenastym rokiem życia.

Poszukiwania ograniczono do Wielkiej Brytanii i Irlandii. Wybór trojga młodzieńskich aktorów z tak dużej grupy osób na pewno nie należał do łatwych – ale twórcy serialu nie mają wątpliwości, że dokonano właściwego wyboru.

Dominic McLaughlin, który zagra Pottera, jest już teraz bardzo chętnie



FOT. HBO

angażowanym dziecięcym aktorem. Wcześniej otrzymał angaż do filmu komediowego „Grow” oraz do produkcji BBC zatytułowanej „Gifted”.

Dla młodszego od Dominica Alastaira Stouta „Harry Potter” będzie pierwszą wielką produkcją, w której ten rudowłosy chłopiec stanie przed kamerą. Swoją radością podzielił się z nielicznymi na razie fanami na Instagramie.

Brytyjka Arabella Stanton ma lat 11 i spore już doświadczenie aktorskie zdobyte na londyńskim West Endzie, gdzie przez dwa lata kreowała postać Matildy Wormwood w sztuce „Mathilda: Musical” na podstawie powieści Roalda Dahla. Brała też udział w „Starlight Express”, musicalu Andrew Lloyd Webbera granym w Wembley Park Theatre.

Premierę serialu zaplanowano na przyszły rok, tego lata rozpoczną się zdjęcia. ●

Anna S. Dębowska

W poniedziałek w „Dużym Formacie”

Gravelowe typiary. Na rower, siostró!

Na początku samotnie spanie na dziko było trudne. W hamaku nie zamkniesz się tak jak w namiocie i to robi ogromną różnicę dla psychiki. Ale jak już dojechałam do Estonii, miałam wrażenie, jakbym spała w nim od dziecka. **Arkadiusz Lorenc sprawdza, dlaczego dziewczyny jeżdżą na rowerach**



Split-society phase. Nowa gwiazda wyborczej socjologii

Na przekór

Fizycy odkryli czynnik, który sprawia, że ostatnio przed każdymi wyborami społeczeństwa dzielą na dwa niemal równe obozy

Cieślińscy

W niedzielny wieczór po ogłoszeniu pierwszych sondaży exit poll wszyscy wstrzymamy oddech. Wynik będzie na ostrzu noża. Tak jak w praktycznie wszystkich najważniejszych wyborach ostatnich lat. To nie przypadek – twierdzą fizycy.

Tak jest nie tylko w Polsce. W Stanach Zjednoczonych wybory prezydenckie od lat są rozstrzygane minimalną przewagą w kilku kluczowych stanach. W Niemczech w 2021 roku chadecy z CDU i socjaldemokraci z SPD szli lew w lew do samego końca. W czerwcu 2016 roku Brytyjczycy w referendum opowiedzieli się za wyjściem z Unii Europejskiej przewagą zaledwie 1,9 punktu procentowego. W 2022 roku w Brazylii Luiz Inácio Lula da Silva pokonał Jaira Bolsonaro stosunkiem 50,8 procent do 49,2. Czasopismo „Physical Review E” opublikowało niedawno hipotezę, która może tłumaczyć tą równą polaryzację. Jej autorami są Olivier Devauchelle (Uniwersyt Paris Cité), Piotr Szymczak (Wydział Fizyki UW) i Piotr Nowakowski (Instytut Rudera Boškovicia w Zagrzebiu).

W artykule zatytułowanym „Niechęć do opinii większości prowadzi do wyrównanych wyborów” fizycy sugerują, że społeczeństwa w określonych warunkach zachowują się jak układ fizyczny, który spontanicznie dzieli się na dwie części i stabilizuje wokół tego podziału. Gdy jedna ze stron zaczyna zyskiwać przewagę, druga się mobilizuje, wyrównując różnicę. Co więcej, im dłużej trwa ten proces, tym bardziej równoważą się siły. Zamiast wyraźnej większości powstają dwa przeciwstawne obozy – jak dwa bieguny magnesu.

Porównanie z magnesem nie jest przypadkowe: teoria zaproponowana przez fizyków opiera się na znanym modelu Isinga, stosowanym do opisu procesu magnesowania ciał stałych, takich jak żelazo. W tym modelu atomy żelaza to małe magnesyki. Każdy może być kierowany do góry lub w dół, ale dwa sąsiednie dążą, aby mieć taką samą orientację. Atomy znajdujące się blisko siebie zaczynają się do siebie upodabniać i tworzą uporządkowane domeny z jednolitym namagnesowaniem.

Ludzie – podobnie jak atomy – lubią być tacy, jak najbliższe otoczenie. Odczuwają presję społeczną, by uzgadniać swoje opinie z przyjaciółmi, rodziną czy sąsiadami. Dlatego model Isinga i jego warianty są stosowane w socjologii, by opisać, jak z lokalnych interakcji wyrasta kolektywne zachowanie.

– Model pozwala przyjrzeć się, jak z prostych reguł jednostkowych mogą wyłaniać się złożone struktury społeczne, takie jak konsensus, polaryzacja czy niestabilność – mówi profesor Piotr Szymczak.

W społecznych modelach Isinga opisujących wybory prezydenckie każdy atom to obywatel, a kierunek namagnesowania – w górę lub dół – to jego decyzja wyborcza. Prosty wariant zakłada, że sąsiedzi „zarażają” się swoimi przekonaniem. W takiej sytuacji po pewnym czasie wytwarza się konsensus: jedna opcja zdobywa zdecydowaną większość. To odpowiednik procesu spontanicznego namagnesowania.

Autorzy publikacji w „Physical Review E” zauważyli, że wystarczy drobna modyfikacja modelu, aby proces uzgadniania opinii jednak nie prowadził do konsensusu, lecz do polaryzacji. Tym dodatkiem jest wpływ sondaży, które odgrywają rolę zewnętrznego pola o zasięgu ogólnokrajowym.

Co jednak istotne, te sondaże nie działają jak klasyczne zewnętrzne pole magnetyczne, które porządkuje i magnesuje wszystkie lokalne domeny w jednym kierunku. Jeśli choć część wyborców ma tendencję do sprzeciwiania się opinii ogółu, czyli należy do elektoratu antysystemowego, głosującego przeciw establishmentowi, to w społeczeństwie może nastąpić trwały podział na dwa niemal równe obozy.

Kluczowym założeniem nowego modelu jest więc napięcie między konformizmem lokalnym (tendencją do zgadzania się z sąsiadami lub przyjaciółmi) a niekonformizmem globalnym (skłonnością do dystansowania się wobec opinii ogółu, na przykład tej prezentowanej w sondażach czy mediach ogólnokrajowych).

Symulacje pokazują, że prowadzi to do nowego stanu równowagi, który fizycy nazwali fazą podzielonego społeczeństwa – *split-society phase*. – To stan, w którym populacja trwale dzieli się na dwa obozy i ta polaryzacja utrzymuje się w czasie. Z punktu widzenia fizyki jest to po prostu inny stabilny stan układu, alternatywny wobec konsensusu – mówi nam profesor Szymczak. – Nie oznacza to jednak, że taki stan musi być pożądany społecznie. Można go traktować jako formę stabilności, ale potencjalnie kosztowną – sprzyjającą napięciom, utrudniającą podejmowanie decyzji i podważającą zaufanie społeczne.

Mechanizm takiego podziału polega na tym, że im bardziej jedna opcja dominuje, tym silniejsza staje się tendencja części wyborców do odwracania się od niej. W efekcie system sam się równoważy – wzrost przewagi jednej strony wywołuje kontrreakcję, która umacnia przeciwny obóz.

Antykonformistyczne nastawienie nie musi jednak być domeną jakiejś mniejszości. W modelu nie zakłada się istnienia wydzielonej grupy „niepokornych” wyborców – antykonformizm to cecha rozproszona, obecna losowo w całej populacji. Każdy obywatel może mieć w sobie pewien stopień przekory wobec większości.

Symulacje pokazują, że nawet jeśli siła tej tendencji jest niewielka w skali indywidualnej, to w połączeniu z globalnym charakterem sondaży wystarczy, by zablokować konsensus i utrzymać stabilny podział głosów. Fizycy oszacowali, że przeciętny wyborca przywiązuje do wyników sondaży 200 razy mniejszą wagę niż do opinii bliskich – a mimo to ta słaba globalna tendencja wystarczy, by podtrzymać polaryzację. Słowem, nawet subtelne działanie mediów i sondaży (które każdy z osobna może zbywać wzruszeniem ramion) może przekładać się na trwały podział, obserwowany w Polsce i na świecie.

Co ciekawe, w tym stanie polaryzacji wciąż widzimy lokalne uporządkowane – przyjaciele zazwyczaj dzielą

poglądy – ale globalnie połowa systemu jest „namagnesowana” w przeciwnym kierunku niż druga połowa. Co więcej, granica między dwoma przeciwstawnymi obozami politycznymi ma tendencję do lokowania się wzdłuż istniejących „pęknięć społecznych” lub tzw. linii słabej łączności w sieci społecznej (na przykład związanych z historią, geografią czy podziałem miasta – wieś). Model sugeruje, że stare granice historyczne (jak w Polsce) mogą nadal wpływać na współczesną geografie wyborczą, ponieważ stanowią linie, w poprzek których łączność społeczna jest słabsza.

Prof. Piotr Szymczak:
Dla mnie największym zaskoczeniem było to, że polaryzacja samoorganizuje się wokół historycznych lub geograficznych „linii podziału”, co widać na przykład w wynikach polskich wyborów

– Dla mnie największym zaskoczeniem była stabilność tego stanu i to, że polaryzacja samoorganizuje się wokół historycznych lub geograficznych „linii podziału”, co widać na przykład w wynikach polskich wyborów, korelujących z dawnymi granicami zaborów – podsumowuje profesor Szymczak.

Czy opisany mechanizm rzeczywiście wyjaśnia realne wyniki wyborów? Badacze zestawili swoje przewidywania z danymi z 31 krajów, w których od lat 90. odbyło się łącznie 168 wyborów z dwoma głównymi kandydatami lub opcjami. Analiza ujawniła uderzającą prawidłowość: wybory w małych krajach (poniżej około miliona wyborców) częściej kończyły się wyraźnym zwycięstwem jednej ze stron – wygrana strona zdobywała ponad 60 procent głosów, a czasem odnosiła nawet bardziej miażdżące zwycięstwo. Inaczej dzieje się w społeczeństwach dużych (powyżej miliona obywateli) i dobrze skomunikowanych, takich, w których wszyscy śledzą media i znają sondaże. Tam tworzy się stabilna „faza podzielonego społeczeństwa” charakteryzująca się równym podziałem głosów i polaryzacją.

Remis wyborczy bywa brzemienne w skutki: może prowadzić do politycznego paraliżu, kwestionowania legitymizacji władzy przez przegraną połowę, a w skrajnych przypadkach – do konfliktów ulicznych czy przemocy. Demokracja choruje, gdy rozłam staje się doskonały – ale wygląda na to, że aby była zdrowa, potrzebuje odrobiny niezgody. Możliwość zmiany zdania, istnienie centrum i umiarkowanych odcieni szarości między dwiema skrajnościami – to polityczny odpowiednik różnorodności, która zapewnia ekosystemowi odporność na wstrząsy.

W artykule przeglądowym opublikowanym w PNAS w 2021 roku biolog ewolucyjny Simon Levin, politolożka Helen Milner i ekonomista zasobów naturalnych (po angielsku to lepiej brzmi – *Environmental Economics*)

Charles Perrings porównują spolaryzowany system polityczny do ekosystemu na skraju załamania. Utrata różnorodności poglądów w społeczeństwie – zastąpienie ich przez dwa przeciwstawne monolity – jest analogiczna do utraty bioróżnorodności: zagraża stabilności demokracji, bo podważa zdolność społeczeństw do współpracy, kompromisów i rozwiązywania problemów.

Równy podział głosów w skali całego kraju sprawia także, że wynik wyborów jest bardzo wrażliwy – niewielka zmiana opinii niewielkiej liczby wyborców (na przykład tych na granicy obozów) jest decydujący, może przeważać szalę. Do zmiany władzy wystarczy niewielki impuls – jeden błąd, jeden fake news, przypadek. To by też tłumaczyło, dlaczego emocje wyborcze są dziś tak silne: każdy głos może naprawdę zmienić wynik. Dlatego kampanie stają się coraz bardziej brutalne i rośnie liczba teorii spiskowych.

Czy można temu zaradzić? – Zabronić sondaży! A tak na serio: już teraz znaczna część kampanii wyborczych kręci się wokół publikowania i interpretowania najnowszych sondaży. To one wpływają na nasze decyzje, prowadząc do sytuacji, w której – przy niemal równym podziale 50/50 – o wyniku wyborów decyduje przypadek. – Równie dobrze można by rzucić monetą – mówi profesor Szymczak.

– Postulat zakazu sondaży pokazuje paradoks: z jednej strony mamy prawo do informacji i chcemy wiedzieć, co myśli reszta społeczeństwa; z drugiej – właśnie ta wiedza sprawia, że jako zbiorowość podejmujemy decyzje w sposób coraz bardziej chaotyczny i niestabilny – dodaje. – Wynik nie jest już wyrazem przemyślanej większościowej decyzji, lecz efektem sprzężenia zwrotnego, które może prowadzić do społecznej równowagi „na ostrzu noża”.

Profesor podkreśla, że trudno sobie wyobrazić innym mechanizm, który tak systematycznie prowadziłby do niemal równego podziału głosów. – Z drugiej strony, jak dokładnie wygląda to sprzężenie dynamiki zmiany opinii wyborców z wynikami sondaży, to kwestia w dużej mierze otwarta – zastrzega naukowiec.

– W naszej pracy proponujemy podejście antykonformistyczne – zakładamy, że ludzie mają w sobie pewną skłonność do działania wbrew opinii ogółu, trochę na złość większości. Ale obecnie, wspólnie ze studentem naszego Wydziału Staszkiem Rakowskim oraz Olivierem Devauchelle i Piotrem Nowakowskim, badamy alternatywne podejście, które wydaje mi się bliższe rzeczywistości. Zakładamy, że sprzężenie z sondażami wynika z mechanizmu samoregulacji zaangażowania: gdy kandydat prowadzi w sondażach, jego zwolennicy stają się mniej aktywni i rzadziej próbują przekonywać innych – pamiętamy, jak pewni siebie byli zwolennicy Bronisława Komorowskiego.

Z kolei wyborcy kandydata przegrzającego mobilizują się bardziej, co z czasem może wyrównywać poparcie. Ten mechanizm też wprowadza sprzężenie zwrotne z sondażami i może również prowadzić stabilizacji wokół równowagi 50/50 – wyjaśnia fizyk. ●
Irena Cieślińska, Piotr Cieśliński

WAŻNY TEMAT



Nadzieja a nie ją grzebać

Z DOROTA GROYECKĄ,
REPORTERKĄ, KTÓREJ
CÓRKA CHORUJE
NA RZADKĄ CHOROBE
GENETYCZNĄ,
ROZMAWIA
EMILIA DŁUŻEWSKA

**Nikt mi nie będzie mówił,
czy zakładać mojemu
dziecku czapeczkę.
Ja mojej córce zakładałam
sondę do żołądka, zmieniałam
opatrunek, płukałam cewnik,
który wchodzi do serca.**

EMILIA DŁUŻEWSKA: Powiedz mi coś o Nadziei.
DOROTA GROYECKA*: Jest ultraradosnym człowiekiem. Bardzo niewiele jej trzeba, żeby być zadowoloną z istnienia. W sytuacjach, w których inne dzieci reagują płaczem czy strachem, ona się śmieje. To jeden z powodów, dla których mimo jej choroby my też jesteśmy dosyć szczęśliwi. Mówi się, że dzieci biorą przykład z rodziców, ale w jej przypadku jest chyba na odwrót. Przez swój nieneurotypowy mózg Nadzia jest tak odrębnym, żyjącym w swoim świecie człowiekiem, że to my przejmujemy jej nastroje.

Gdy przyjeżdżamy na izbę przyjęć Centrum Zdrowia Dziecka, często jest nam wesoło, nawet jeśli to nagła sytuacja. Ostatnio u Nadzi zaczynała się infekcja, a my nie mogliśmy przepłukać broviaca, czyli takiego dojsścia do serca, przez które się podaje leki i pobiera krew. Przyjeżdżamy, Nadzia cała rozchichotana, więc my też na luzie. Spędziliśmy w CZD tyle czasu, że czujemy się tam jak w domu.

Rozmawiamy, bo napisałaś „Krwinki”, książkę o umieraniu dzieci. Bałam się jej. Niepotrzebnie. – Sprawy, które dla ludzi z zewnątrz są niewyobrażalne, dla mnie są normalne. Łatwiej mi było opowiedzieć te historie zwyczajnie, nie dodając do nich niepotrzebnego cierpienia, dramatyzmu. Wiadomo: to są smutne historie i trudny temat. Ale zależało mi na tym, żeby nie zostawiać człowieka z poczuciem beznadziei. Pocieszyć go. Wtrącić trochę humoru.

Piszesz na przykład, że pierwszy raz, gdy ktoś pokazał ci zdjęcie grobu swojego dziecka, nie wiedziałas, jak zareagować, jaki jest savoir-vivre. – Powiedziałam: „ładny” czy „okazały”. No bo co miałam powiedzieć?

Większość ludzi stara się nie myśleć o umierających dzieciach. Ty zaczęłaś po diagnozie Nadzi? – Jej diagnoza przychodziła stopniowo, nie było jednego momentu, kiedy stałam się „mamą chorego dziecka”. Lekarze od szóstego miesiąca podejrzewali różne problemy rozwojowe i zdrowotne, im dalej w las, tym było ich więcej. Dziś jej szpitalna teczka liczy z sześć lub siedem opasłych tomów.

Ale u mnie temat nie pojawił się wraz z chorobą córki. Zawsze oglądałam dużo filmów, w których umierały dzieci. Poruszało mnie to po prostu. W dziewiątym miesiącu ciąży obejrzałam „Czastki kobiety” Kornéla Mundruczó. Trochę wiedziałam, o czym to będzie, ale tak nie do końca. Tymczasem pierwsze pół godziny tego filmu to jest poród domowy, który kończy się śmiercią noworodka. Porzyczałam się. Wtedy nic nie wskazywało, że Nadzia będzie chora. Po czasie zaczynasz się zastanawiać: czy mogłam podświadomie wiedzieć, że coś jest nie

tak? Czy organizm jest w stanie coś takiego sygnalizować?

Wiele osób mówi, że od kiedy zostali rodzicami, nie mogą znieść widoku cierpienia dzieci. Chcę dotrzeć do tych ludzi i pokazać im: hej, takie rzeczy się dzieją. Unikanie tego tematu nie uchroni cię przed nimi, ale zmierzenie się z nim cię nie skrzywdzi. Nie ściągniesz nieszczęścia na swój dom.

Piszesz, że w tym nieszczęściu nie ma niesprawiedliwości. Że zamiast: „Dlaczego właśnie nas to dotknęło?”, powinno się pytać: „Dlaczego nie nas?”. – Nie uważam, że choroba Nadzi to niesprawiedliwość. Nie ma we mnie gniewu.

W „Krwinkach” opisuję też rodziców, którzy stracili dzieci w wyniku działań innych ludzi. Rozumiem, że w takiej sytuacji ma się poczucie krzywdy, też bym je miała. Ale w przypadku wrodzonej choroby?

Nie wierzę w działania Boga ani w teorie antyszczepionkowe. Choroba Nadzi jest czymś losowym. Nie jest nawet tak, że przekazaliśmy jej wadliwy gen, on po prostu powstał, nie wiadomo nawet, w jaki sposób. Na kogo miałabym być zła? Mogę na siebie i Alka, że w ogóle spłodziliśmy dziecko. Zdarza mi się taką złość czuć. Pewnie dlatego, że Alek jest najbliższą osobą i przy nim pozwalam ujść tłumionym emocjom. Ale wiem, że to nie ma sensu.

razem okazywało się, że oni chcą o tym rozmawiać. Że siedzę tam cztery-pięć godzin.

A oni podsuwają ci ciastka i pokazują zdjęcia grobów.

– I ja już ledwo żyję, a oni chcą jeszcze coś dopowiedzieć. Z wieloma osobami jestem wciąż w kontakcie. Pomogło to, że nie wchodziłam tylko po ich opowieść, ale przyjeżdżałam z własną.

Przed urodzeniem Nadzi skończyłam Polską Szkołę Reportażu, wydawałam nieregularnik reporterski „Non/Fiction”, ale bycie reporterką zawsze wydawało mi się śliskie. Takie ekscytowanie się nieszczęściem, bo na ogół piszesz o nieszczęściu, takie szukanie opowieści jak najmocniejszych, jak najbardziej wstrząsających. Wiesz, jak je z ludzi wyciągnąć i wykorzystać do swoich celów zawodowych, karmienia swojego ego.

Do teraz mam wątpliwości. Choć znam też ludzi, którym rozmowy z reporterem bardzo pomogły – choćby dlatego, że mieli komu tę historię opowiedzieć. A nie będą przecież chodzić po sklepach albo jeździć tramwajem i opowiadać, że im dziecko umarło.

Taka „osiedlowa wariatka”, która błąka się i atakuje ludzi swoim nieszczęściem.

Miałam poczucie winy: komuś umiera dziecko, a moje jeszcze nie umarło: Jakie mam prawo o tym pisać?

I naprawdę nic cię nie złości?

– Bardzo wiele. Wkurzam się na służbę zdrowia, różne systemowe problemy i praktyki, brak edukacji dotyczącej lepszej komunikacji w medycynie, bezduszne prawo.

Mogę się wkurzyć na konkretnego lekarza, który rzuca krzywdzące, okrutne teksty. Ale to rzeczy, z którymi mogę bojować, nie godzić się na nie. Z chorobą Nadzi jestem pogodzona.

Znam ludzi, którzy nie potrafią zaakceptować, że urodzili chore dziecko. Są przez to głęboko nieszczęśliwi. I samotni. Kiedy komuś umiera dziecko, ludzie się od niego odsuwają. Nawet najbliższe osoby boją się normalnie porozmawiać, zapytać, wspominać. Wokół takich rodziców wyrasta mur.

Dla moich bohaterów to było źródło ogromnego cierpienia dokładającego się do straty dziecka. „Krwinki” nie są poradnikiem, ale chciałam przemycić i takie wątki. Żeby ludzie, których bliscy doświadczili straty, wiedzieli, jak się zachować.

Można się nauczyć zachowywania przy ludziach, którzy stracili dziecko?

– Nie, bo nie ma uniwersalnej formuły. Ale można nauczyć się nie unikać rozmowy. Kiedy pisałam „Krwinki”, z częścią bohaterek spotykałam się w ich domach. Siadałam w kuchni albo w salonie obcych ludzi, żeby porozmawiać o tym, jak stracili dzieci. Miałam poczucie, że wchodzę w ich życie z butami. Za każdym

W „Genialnej przyjaciółce” Ferrante jest postać sąsiadki Eleny, którą porzucił kochanek. Ona z rozpaczy wszystkim o tym opowiada. Ludzie traktują ją jak trędowatą. Nie chcą się zarazić jej nieszczęściem.

Jedna z moich bohaterek miała nielegalną aborcję i nie mogła przestać o tym mówić. Nawet zupełnie obcym ludziom. „Dzień dobry, poproszę kawę, miałam aborcję”. Nie mam aż tak, ale często opowiadam o Nadzi, bo temat po prostu wypływa. Idę do fryzjerki i mówię, że mam straszne odrosty, bo byłam z córką w szpitalu. I się okazuje, że ona urodziła wcześniaka, cały rok była z nim w szpitalu, że jej też lekarze mówili, żeby była przygotowana na wszystko.

Japońska pisarka Yuko Tsushima napisała książkę o wypadku syna. Usłyszała, że zbija kapitał na śmierci dziecka. Nie boisz się, że ciebie to spotka? – Odkąd pokazuję na Instagramie życie z Nadzią, zastanawiam się, czy to w porządku. Żeby było jasne, nic na tym Instagramie nie zarabiam. Choć miałam propozycje reklamowe, mogłam zostać królową mięs.

Założyłam to konto, żeby opowiadać o swoim doświadczeniu. Obserwujących przybywało i mam wrażenie, że pojawiły się wśród nich osoby, które interesują się Nadzią w niezdrowy sposób. Nie mówię o pedofilii, raczej o takiej dziwnej fascynacji: takie chore dziecko, umierające, a takie śliczne. Ludzie mi piszą, że Nadzia jest śliczna, że ma takie śliczne czy albo włosy. Nie mówię, że za tymi komplementami sto-



• Dorota Groyecka, „Krwinki. Opowieści o stracie i nadziei”, wyd. W.A.B., 2025

Dorota Groyecka

• współzałożycielka i redaktorka naczelna magazynu „non/fiction”. Autorka książki „Gentryfikacja Berlina. Od życia na podłuchu do kultury caffè latte”. Absolwentka dziennikarstwa, filologii polskiej i kulturoznawstwa. Ukończyła Polską Szkołę Reportażu. „Krwinki...” historie rodziców i rodzin po stracie dziecka to jej najnowsza książka.

• **Na zdjęciu:** Dorota Groyecka z córeczką Nadzią
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Pozwoliłam sobie poczuć,
że jestem dobrą matką,
skoro spędzam z nią trzy miesiące
non stop w szpitalu.

Ale jestem też dobrą mamą,
bo szukam pomocy i idę
na terapię, żeby nie zwariować



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

ją złe intencje, ale denerwują mnie w nadmiarze. Swoją drogą, jak urodziłam Nadzię, w czapeczce noworodkowej wyglądała jak stary proboszcz. Napisałam wtedy kuzynce: właśnie takie dziecko chciałam mieć. Zabawne.

Ten dylemat – ile i jak pokazywać – czułam też przy pisaniu książki. Historię moich bohaterów opisuję reportersko, ale o sobie i Nadzi piszę w formie eseju albo listów do jednego znanego muzyka... W pisaniu o sobie nie da się uniknąć autokreacji. Mój mąż powiedział, że w „Krwinkach” jestem najlepszą wersją siebie. Obrazilałam się wtedy na niego, ale to prawda. Terapeuta męża uważa, że moja praca nad książką była dla nas dobra jako rodziny. Pomagała nam oswoić się ze śmiercią. Nie chodzi o to, że jesteśmy gotowi na odejście Nadzi. Nie da się być gotowym. Ale różne rzeczy mamy przegadane.

Przechodzisz żalobę za dzieckiem, które jeszcze żyje.

– Jest takie pojęcie jak „żałoba przedwczesna”. Kiedy wiesz, że czyjaś śmierć jest blisko, zaczynasz już żegnać tę osobę. Oswajając ten smutek.

Moja żaloba była rozłożona w czasie, bo diagnoza Nadzi przychodziła stopniowo. Ale przez kilka ostatnich miesięcy mam ostry nawrót, bo kiedy byliśmy w szpitalu ostatni raz, lekarze podpisali protokół terapii daremnej. To znaczy, że jeśli stan Nadzi się pogorszy, nie będą próbować przedłużać jej życia w sztuczny sposób.

Wyszła z tego. Wróciłam do domu z roześmianym, szczęśliwym dzieckiem, ale jeszcze przez jakiś czas, kiedy na nią patrzyłam, miałam wrażenie, jakby była przezroczysta. Jakby to był już koniec.

Na co dzień żyjemy w rodzinnym ekosystemie, w którym Nadzieja jest po prostu Nadzieją. Ale potem jedziesz do szpitala i lekarze mówią ci, że serce jest w bardzo ciężkim stanie, że lek nie działa, że opcji jest coraz mniej, że jeśli Nadzia będzie miała niewydolność oddechową, nie podepną jej do respiratora. Że twoje dziecko umiera. Siłą rzeczy wchodzisz w stan wyczekiwania: czy to już? Czy jeszcze nie?

Poszłam na terapię między innymi po to, żeby się od tego uwolnić. Żyć z Nadzieją, a nie już ją grzebać.

Przywołujesz pojęcie „vilomah” w sanskrycie oznaczające: śmierć przeciw naturalnemu porządkowi. Umieranie dziecka jest nienaturalne?

– Śmierć dziecka nie jest wbrew naturalnemu porządkowi. Jest wbrew naszemu życzeniom i wbrew postępowi. Rozwój medycyny i bogacenie się zachodnich społeczeństw sprawiły, że dzieci umierają dziś dużo rzadziej. Przywykliśmy do tego, że jeśli nie wydarzy się jakiś straszny wypadek, dziecko ma przed sobą długie życie. A przecież jeszcze kilkadziesiąt lat temu założenie, że wszystkie twoje dzieci dożyją dorosłości, nie było wcale oczywiste.

Postęp sprawił, że umieramy później, ale przy okazji śmierć została od nas odizolowana. Obie moje babcie umarły w szpitalu,

podobnie cioteczna babcia, z którą byłam bardzo blisko. Zmarła nagle, nie zdążyłam jej zobaczyć. To było dwa lata temu i do dziś łapię się na tym, że zapominam, że ona nie żyje.

Za każdym razem, gdy jestem na wakacjach, chcę wysłać dziadkom pocztówkę, i za każdym razem od nowa czuję smutek. Ale nie chciałabym go nie czuć.

– Anja Franczak z Instytutu Dobrej Śmierci uczy, że śmierć nie musi oznaczać końca relacji.

W 1996 r. badacze Dennis Klass, Phyllis R. Silverman i Steven L. Nickman przedstawili koncepcję *continuing bond*. Mówi ona, że więź z umarłymi nie wygasa z ich śmiercią i że jest czymś, co wnosimy w swoje dalsze życie. Możemy tę więź pielęgnować, wykształcić jakieś rytuały, które wiążą się z daną osobą. Dalej wysyłać te kartki na jakiś nieistniejący adres. Robić coś, co się robiło z dziadkiem. Ugotować jedzenie, które gotowała babcia. Pamiętać i czerpać z tego radość.

Większość moich rozmówców była przekonana, że ich dzieci nie odeszły tak do końca. Ta pewność przekładała się na przeżycia metafizyczne: widzieli znaki, opowiadali, że wariowała elektronika albo na drogę wbiegli jeleni, że specyficznie ułożyły się chmury na niebie. Czasem ci zmarli im się po prostu objawiali.

Wierzysz w to?

– Nie oceniam. Jeśli mój rozmówca opowiadał, że widział znaki, które przesyłało jego zmarłe dziecko, albo czuł jego oddech, to nie roztrząsałam, czy to się wydarzyło, czy sobie to wymyślił. Czuł ten oddech, i już.

Vinciane Despret, belgijska filozofka i antropolożka, w książce „Wszystko dla naszych zmarłych” pisze: „Obie możliwości: ta, że zmarły »naprawdę« wrócił, i ta, że był, to być może sen lub przywidzenie – współlistnienie, a to współlistnienie jest przedmiotem nadzwyczajnej dbałości”.

Nie miałam potrzeby ustalać prawdy, te opowieści po prostu „były” i były kojące. Dały mi poczucie, że kiedy będziemy żegnać Nadzię, to znajdziemy jakieś rytuały, które będą ją przy nas trzymały. Że nawet wtedy, kiedy ktoś fizycznie znika, nie znika całkiem. Dlatego między innymi wychodziłam z tych rozmów zmęczona, ale nie zdolowana.

Nawet wtedy, kiedy ludzie opowiadali, jak po śmierci dziecka trafili do szpitala psychiatrycznego albo tygodniami ie wstawali z łóżka?

– Tak, bo ostatecznie z tego łóżka wstawali. I kiedy ich spotykałam, okazywało się, że odważyli się mieć kolejne dzieci. Albo znajdowali sens w pracy, w pomaganiu innym. Albo wciąż go szukali. Dla mnie to były rozmowy z ocalałcami, których mogłam zapytać: jak to zrobiłeś?

Może dlatego nie interesowały mnie historie cudownych uzdrowień, choć z koniunkturalnego punktu widzenia dużo lepiej byłoby napisać książkę z happy en-

dem: o eksperymentalnych terapiach, które zadziałały, nowych lekarstwach, udanych zbiórkach, modlitwach. O dzieciach, które miały nie żyć, a wyzdrowiały.

Nadzia nie wyzdrowieje. Mogę mieć nadzieję, że wyjdzie z ciężkich stanów i będzie jak najlepiej. Ale potrzebowałam zapewnienia, że jeżeli stanie się najgorsze, to ja to przeżyję. Dowiedzieć się, jak się przez to przechodzi.

Nie słyszałam, żeby ktoś opowiadał o chorobie swojego dziecka w tak racjonalny sposób. Skąd ci się to bierze?

– Może to jakaś moja specyficzna konstrukcja mózgu. Może fakt, że mam dużo czasu, żeby to rozkładać na czynniki pierwsze. Spędzam z Nadzią miesiące w szpitalu i w tym czasie robię research, jak przeżyć – z chorobą w rodzinie, ale też po stracie. Oczywiście czuję smutek, strach, płaczę. Kiedy Nadzia pierwszy raz przestała o ddychać i była reanimowana, wylam na korytarzu. Ale kiedy kryzys mija, wracam do analizy.

Rozumiem, że wielu ludzi od takich sytuacji ucieka i nie będzie czytać przy łóżku swojego dziecka książek o śmierci, tylko kryminały albo oglądać jakiś serial. Mnie po prostu to właśnie daje pocieszenie. W trakcie mojej pracy nad książką mieliśmy dwie hospitalizacje. Jedną bardzo ciężką, Nadzia miała niewydolność wątroby, lekarze mówili, że to może być koniec. Siedziałam przy niej, potem zmieniał mnie Alek, a jajechałam do Kasi, jednej z moich bohaterek. Siedziałyśmy w jej kuchni, jaraliśmy fajki i słuchałam historii jej córki, Naomi, która zmarła w szpitalu. Kiedy już wysłałam książkę do wydawnictwa, poczułam, że drugi raz bym przez to nie przeszła.

Mówisz, że w szpitalu poczułaś się dobrą matką. Choroba Nadzi dała ci pewność siebie?

– Przez pierwsze pół roku uważałam, że jestem tragiczną matką i wszystko robię źle. Miałam nerwicę po ciąży, potrafiłam dziecięć razy wejść do pokoju, gdzie spała, upewnić się, że oddycha. Miałam poczucie winy, że się nie cieszę. Że nie umiem odpocząć, kiedy mogłabym. A potem trafiłszy do szpitala i musiałam wyjść ze swojej głowy, poddać się pewnemu układowi dnia, zleceniom lekarzy, współpracować z pielęgniarkami. Kiedy okazało się, że Nadzia ma rzadką chorobę genetyczną i nie rozwija się prawidłowo, to paradoksalnie ta społeczna presja zmalala.

Jak to?

– W naszej kulturze matka to z jednej strony wyższa forma kobiecości, obdarzona niesamowitym instynktem, z drugiej – osoba, którą każdy może pouczać, jak ma się dzieckiem zajmować i czego ono potrzebuje, żeby się prawidłowo rozwijać. Moje dziecko nie będzie się prawidłowo rozwijać, choćbym nie wiem, co zrobiła.

Kiedy trafiłyśmy do szpitala, pozwoliłam sobie poczuć, że to, co robiłam do tej pory, było wystarczające. Że jestem dobrą mat-

ką, skoro spędzam z nią trzy miesiące non stop w szpitalu. Ale jestem też dobrą mamą, bo szukam pomocy i idę na terapię, żeby nie zwariować. Nikt mi nie będzie mówił, czy jej zakładać czapeczkę. Ja mojemu dziecku zakładałam sondę do żołądka, zmieniałam opatrunek, płukałam cewnik, który wchodzi do serca.

Zostałaś ekspertką od Nadzi.

– Tak. Ale musiałam też walczyć o przestrzeń dla siebie. Przed jej urodzeniem miałam intensywne życie zawodowe, wydawałam magazyn, a potem prawie trzy lata nie pracowałam w ogóle. Chciałam napisać książkę również też po to, żeby znów przekonać się, że potrafię pracować intelektualnie.

Mój mąż jest świetnym ojcem i partnerem, ale nie uciekniemy od patriarchy. Jego praca zawsze była dużo lepiej płatna. Kiedy Nadzia zachorowała, chyba nawet nie rozmawialiśmy o tym, jak się dzielimy obowiązkami. Było oczywiste, że ja z nią zostaję. Alek pracuje z domu, więc technicznie siedzimy z nią razem, ale to ja się nią więcej zajmowałam. Umowa z wydawnictwem to było coś konkretnego. Mogłam powiedzieć: hej, musimy tak ułożyć harmonogram, żeby miałam kilka godzin dziennie na pisanie albo mogła pojechać na cały dzień na wywiad. Mam podpisaną umowę, to jest praca.

Mężczyzn jest w twojej książce wyraźnie mniej. Dlaczego?

– Mężczyźni są wypychani z opieki nad chorym dzieckiem.

Jak przyjeżdżaliśmy z Alkiem do szpitala, to od początku było: tata przywiezie walizki, a mama coś zrobi przy dziecku. Z młodszymi pielęgniarkami jest trochę inaczej, ale wiele starszych widziało ojca jako tego, który nosi bagaże i czeka w aucie. Bardzo się dziwiły, że Alek codziennie do nas przyjeżdża. Wspaniały mąż! Ja nie usłyszałam nigdy, że jestem wspaniałą mamą, na szczęście sama to sobie powiedziałam. A jednocześnie te same pielęgniarki kwestionowały Alka umiejętnością zajęcia się dzieckiem. Czy on może zostać sam z Nadzią? Czy będzie umiał ją przewinąć?

Odsuwanie ojców od opieki pozbawia ich możliwości doświadczenia odchodzenia dziecka. Wypycha ich z żaloby i zostawia samym sobie. Mogą z tym iść do psychologa albo wygadać się kumpłowi w tym nieszczęsnym samochodzie.

Piszesz: „Nie wiem, co sobie wyobrażałam, ale chyba to, że czas pisania będzie czasem magicznym. Że dopóki nie napiszę ostatniego zdania, nie będą umierać dzieci”.

– To nie był taki czas. Dzieci dalej umierały, obce, bliższych i dalszych znajomych. Pisałam, a jednocześnie towarzyszyłam komuś w pożegnaniu i w żalobie.

Kiedy zmarł syn Anity, z którą byłam blisko, pomyślałam, że nie mam pojęcia, czym jest śmierć dziecka. Że póki tego nie przeżyję, nie będę wiedziała. ●

„brb” zamiast „Idź z Bogiem”

Ćwiczmy się w pożegnaniach, tak jak by były zawsze tylko na chwilę – i może dlatego są do zniesienia.



Marcin Matczak

Niedawno Polską wstrząsnęła wiadomość o tragicznym wypadku przy moście Północnym w Warszawie. Małżeństwo zginęło mniej więcej kilometr od swojego domu, w czasie krótkiej, wieczornej przejażdżki nowo kupionym autem. Ich trzyletnia córeczka spała w tym czasie spokojnie w swoim łóżku. Rodzice nie wrócili, rodzina zaalarmowała strażaków, którzy weszli do mieszkania i znaleźli małą wciąż śpiącą.

Ta tragiczna historia nie zmusza mnie do myślenia o odpowiedzialności czy raczej nieodpowiedzialności. Zmusza mnie do myślenia o naturze pożegnania.

Nie ma w ludzkim życiu bardziej codziennego rytuału. Wypowiadamy „cześć”, „pa”, „do zobaczenia”, nie zastanawiając się, co tak naprawdę znaczą. A przecież za tą banalną formułą kryje się coś głęboko kulturowego – i głęboko ludzkiego. Pożegnanie to nie tylko znak uprzejmości. To akt osławiania nieobecności.

Rozstanie niesie niepokój

Czasami zdarza się nam powiedzieć „żegnaj” w rozumieniu: „znikaj z mojego życia”. Ale normalnie w geście pożegna-

nia mówimy: „Będę pamiętać o tobie, nawet gdy cię nie będzie obok”. W tej chwili, gdy odwracamy się w drzwiach, machamy ręką, przesyłamy buziaka albo rzucamy przez ramię: „Napisz, jak dojedziesz”, rozgrywa się jakiś mikrodramat ludzkiej zależności. Nawet jeśli się świadomie nie boimy, nawet jeśli nie myślimy o rozstaniu jako o stracie, to gdzieś głęboko, instynktownie wiemy, że każde spotkanie może być ostatnie. Rozstanie – nawet to chwilowe – zawsze niesie niepokój. Czy wrócimy? Czy wszystko będzie jak dawniej?

Nasze zwyczaje i konwencje są mądrzejsze niż my. I konwencja pożegnania może nam pomóc się pożegnać wtedy, kiedy nie wiemy, że to jest prawdziwe pożegnanie. Ta konwencja uczy nas wprawy w pożegnaniu, w paradoksalnym zwalczaniu czegoś nieuniknionego czymś zwykłym i nie-trwałym.

Nie dałoby się żyć, gdyby człowiek zawsze, gdy mówi „na razie”, nad tym wyrażeniem głęboko się zastanawiał. Stąd pewnie automatyczność rytuału, nawyk formy, żeby bez myślenia jakoś radzić sobie z tą niepewnością.

Żegnający czy żegnany?

Na Bali rodziny błogosławią wyjeżdżających święconą wodą i ryżem. W Nowej Zelandii Maorysi stykają czoła w geście hongi, dzieląc się „oddechem życia”. W Japonii ludzie żegnają się niskim ukłonem, często kilkukrotnie, by okazać szacunek. W Iranie matki podają dziecku chleb i cukier przed podróżą – na znak błogosławieństwa. Nawet zwykle „trzymaj się” to symboliczna bariera przeciwko chaosowi, próba osławienia tego, co niepewne.

W Polsce, choć coraz rzadziej, można jeszcze dostać krzyżyk na drogę kreślony na czołe i usłyszeć: „Z Bogiem” albo nawet „Idź z Bogiem”. Jak każdy rytuał, ma to powiedzieć powierzchwnie i głębiej. „Chodze-

nie z Bogiem” (hebr. hałak et ha'Elohim) to nie tyle fizyczne przemieszczanie się, ile idiom oznaczający sposób bycia w świecie. Nie jednorazowy akt, ale trwałą orientację na ideał.

Dzisiejsze pożegnania w sieci są inne. Zamiast „Idź z Bogiem” – „brb” („Be right back”, „Zaraz wracam”). Zamiast „ty” – „ja”, które zakłada się, że na pewno i szybko wróci, chociaż przecież nie zawsze to robi albo może zrobić. Konwencja staje się bardziej minimalistyczna i egoistyczna. Skupiają się na żegnającym, nie na żeganym, i mniej w nich niepewności. Pożegnanie jest raczej informacją, nie formą czułości, która mówi: „zależy mi”, „chcę cię pamiętać”, „nie jesteś mi obojętny”.

Jest i ostatnie pożegnanie sensu stricto. Najczęściej smutne, ale czasami, jak np. w Ghanie, organizowane jak festiwal – pelen śpiewu, kolorów, nawet trumien w kształcie samolotów czy owoców. A czasami nawet ostatnie pożegnanie nie jest ostatnie: na Madagaskarze zmarli są „żegnani ponownie” – lata po śmierci – gdy tańczy się z ich ciałami owiniętymi w nowe tkaniny.

Pożegnanie może się nie odbyć – i bywa, że brak tego gestu ma swoją cenę. W „Eneidzie” Wergiliusza Eneas ucieka przed uczuciem królowej Dydony, nie żegnając się z nią – i skazuje ją na rozpacz. Gdy spotka ją po latach w zaświatach, ona milczy i odwraca wzrok. To mit o winie za niewypowiedziane „żegnaj”, które odebrało drugiej osobie sprawczość i szansę na zakończenie relacji po swojemu. Przestroga, że gest niewykonany potrafi ciążyć bardziej niż wykonany nieumiejętnie czy źle.

Ale i tych, którzy nie potrafili się pożegnać, w sensie: zostawić czegoś cennego za sobą, spotyka kara. Żona Lota ogląda się za miastem, które musiała opuścić, i zamienia się w słup soli. Orfeusz spogląda na Eurydykę, bo boi się przekroczyć granicę śmier-

ci i życia bez być może ostatniego spojrzenia. I traci ukochaną. Tu kara nie dotyczy odejścia bez pożegnania, lecz braku zgody na nie. To przypomnienie, że czasami trzeba drugiemu pozwolić odejść w jego ciemność, bo nie da się skutecznie walczyć z czasem i przemijaniem.

To, co trwa, nie potrzebuje rytuału

Paradoks pożegnania polega na tym, że trwa ono chwilę, a jest rytuałem, którym próbujemy sobie radzić z wiecznością. Może dlatego na pożegnanie zawsze dajemy sobie rzeczy najbardziej nietrwałe. Pocałunek, który zostaje może na skórze przez ułamek sekundy, kwiaty składane na grobie, które już za moment zaczynają więdnąć. Plastikowe – te prawie nieśmiertelne – wydają się bluźnierstwem wobec samej idei przemijania. Pożegnanie nie jest o trwaniu, ale o świadomości kruchości. To, co trwa, nie potrzebuje rytuału. Rytuał istnieje właśnie po to, by uczcić to, co znika.

Nie wiemy, co się wydarzyło przed wyjściem tamtych rodziców na tamtą fatalną przejażdżkę, nie wiemy dokładnie, co się działo potem. Może to był tylko krótki wypad do sklepu. Może po odebraniu auta, jak każdy, chcieli się nim nacieszyć, zrobić kilka zdjęć na pustej nocnej trasie. Może rozmawiali o wakacjach, o przyszłości, o córce, która spała w domu.

Ale pewnie przed wyjściem zatrzymali się na chwilę przy jej łóżku, któreś z nich poprawiło kocik, nachyliło się i pocałowało ją w czoło. Nic wielkiego. Nic dramatycznego. Po prostu konwencja.

Ćwiczmy się w pożegnaniach, tak jak by były zawsze tylko na chwilę – i może dlatego są do zniesienia. Ale w tym właśnie tkwi mądrość starych rytuałów, że uczą nas czułości, zanim się zorientujemy, że już nie da się jej okazać. ●

Śródtytuły pochodzą od redakcji

Z cyklu: za pięć trzynasta

Błogosławiony stan ciszy wyborczej

Dowiedzieć się czegoś nowego o sobie. Przypomnieć sobie słodycz odpowiadania na wielkie pytania – teraz jest na to czas.

Jarosław Mikołajewski

W ciszy wyborczej – która jest błogosławionym wyjątkiem w bezustannie wyborczym hałasie – chodzi o to, o co powinno w ogóle chodzić w życiu: żeby być sobie w sposób niezobowiązujący dla innych.

Siedzieć, stać, leżeć, spędzać czas w sposób, który nikomu niczego nie narzuca. Nawet nie sugeruje. Być niedostrzegalnie, choć czasem potrzebnie, niekiedy niezbędnie.

Czytać i pisać wiersze tak, żeby nikt inny nie czuł się nakłaniany do czytania i pisania wierszy (swoją drogą – jakie to straszne słowo: nakłaniać). Chodzić albo nie chodzić do kościoła tak, żeby nikt inny nie czuł się przymuszony by pójść albo nie pójść. Nie namawiać, nie oczekiwać, nie patrzeć z wyrzu-

tem. Istnieć niezobowiązująco. Być sobie najlepiej, jak się tylko potrafi.

No właśnie – być sobie. Ale trochę być również innym. Być więc dyskretnie. Przestrzegając tego, czego w życiu wyborczym o innych się nauczyliśmy, podpatrując. Na przykład tego, że nie lubią hałasu lub/i plotek. Nie cierpią natarczywości, samochwalstwa, nadmiaru propozycji. Tego, że w ogóle się im proponuje.

Wytrzymać napięcie, że nie wszystko wydaje się nam zrozumiane przez innych. Prze-milczeć

to, jak się prze-chodzi chorobę. Jak prze-nosi się siebie na drugi brzeg zawieszzonej aktywności ciała i mowy.

Być i nie być zarazem. A przez to – być bardziej.

Być bardziej, czyli być mniej. Dowiedzieć się czegoś nowego o sobie. Przypomnieć sobie słodycz odpowiadania na wielkie pytania. W rodzaju: co robię z wiedzą, że ktoś jest nieszczęśliwy, krzywdzony. Albo: jak pamiętam dziadka, prababcie. Albo: po co i dlaczego chodzę do kościoła,

jeśli chodzę. Albo: dlaczego chcę żyć mimo wszystko, jeśli chcę. A to „mimo wszystko” to jest mimo co? Albo: czy korzystam ze wszystkich dostępnych mi zmysłów. Albo: jaki chciałbym być w ostatnich pięciu latach życia, bez względu na to jaki byłem dotychczas... A także na pytania powszednie. Na przykład: czy możliwy jest dzień bez piwa. Brrr... Brrr tak? Brrr nie?

A kiedy skończy się cisza wyborcza, pozostać w niej lub odnaleźć się w nowym hałasie. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34379313

wysokieobcasy

Przewodnik po związkach

PSYCHOLOGIA miłości

Negocjacje małżeńskie
Przywiązanie do eks
Menopauza i orgazmy

Kocha, kotu, Bombardier

Głód bliskości

Temat numeru:

GŁÓD BLISKOŚCI

- Negocjacje małżeńskie
- Przywiązanie do eks
- Menopauza i orgazmy

SPONSOR

Probiotyki

SANPROBI

suplement diety



Więcej o psychologii czytaj na
wysokieobcasy.pl/zyclepiej

TIMOTHY SNYDER: Spotykamy się w Polsce, kraju, który w XX wieku przeszedł kilka skrajnie odmiennych form rządów. W ostatnich latach jego demokracja znów została wystawiona na próbę i wyszła z niej zwycięsko. A my, Amerykanie, mający się za nauczycieli demokracji, jesteśmy w momencie, w którym powinniśmy uczyć się od innych narodów. Tylko czego? I jak?

BARACK OBAMA: Właśnie rozmawiałem z grupą liderów biznesu i opowiadałem im, jak kluczową rolę odegrał ruch „Solidarność” w inspirowaniu mnie jako młodego człowieka – który próbował zrozumieć, kim jest, w co wierzy i co chciałby robić w życiu – do wiary w możliwość zmiany. Tamten czas – „Solidarność”, upadek muru berlińskiego, uwolnienie Nelsona Mandeli w RPA – to był moment, w którym wszyscy poczuliśmy wielkie przebudzenie. Poczuliśmy, że istnieje szansa na zastąpienie starych struktur i starego porządku nową wizją tego, jak można żyć – w wolnym, demokratycznym społeczeństwie opartym na zasadach.

Zmierzam do tego, że to nie jest pierwszy raz, gdy Amerykanie powinni czerpać inspirację z innych miejsc.

Kiedy podróżuję – a podróżuję niemało, do Europy, Azji, Afryki – zauważam, jak wiele mamy wspólnego. Przed nami te same wyzwania – jak się zorganizować, by wspierać solidarność i zaufanie między ludźmi? Jak poruszać się w świecie globalizacji i nowych technologii? Jak radzić sobie z rynkiem, by ludzie ciężko pracujący mogli godnie żyć, utrzymać rodziny i dać dzieciom lepszy start?

Owszem, każdy kraj, każdy naród ma własne historie, mity, zmagania, napięcia i konflikty, ale nadzieje i marzenia ludzi na całym świecie są – o tym przekonuję się w trakcie każdej podróży – bardzo podobne.

Przywołałeś mi odległe wspomnienie. Na początku lat 80., kiedy spędzałem lato w Chicago, grałem codziennie w koszykówkę. Był tam chłopak w T-shircie z napisem „Solidarność”. Za sprawą tej koszulki i tych charakterystycznych czerwonych liter już jako młody chłopak w Chicago odczuwałem połączenie między „naszym” a „tamnym” światem.

A kolejne, sporo późniejsze wspomnienie, dotyczy twojej wizyty w Polsce jako prezydenta USA. Wiosną 2009 roku był zupełnie inny stosunek do przywódcy Ameryki niż dziś. Na zdjęciach widać wyraźnie, że wszyscy chcieli być z panem. Wydawało się, że transatlantyki, może ogólnosiwiatowy porządek panuje na dobre, a my, Amerykanie, mieliśmy poczucie, że odgrywamy w nim pozytywną rolę i jesteśmy mile widziani.

W ostatnich tygodniach i miesiącach Stany Zjednoczone się jednak skurczyły, wycofały, odwróciły wzrok. Czy możemy jeszcze powrócić do jakiegoś rodzaju ładu? A jeśli tak – jaka może być rola Amerykanów?

– Porządek, w którym wszyscy na tej sali, łącznie z nami, dorastaliśmy, ukształtowała tragedia II wojny światowej. Najpierw był spowodowany przez dyktatorskie rządy i nacjonalizm, oparty na rasie konflikt wielkich mocarstw, który w krótkim czasie pochłonął 60 milionów ludzkich istnień i pozostawił Europę w ruinie, a dużą część Azji zniszczoną. Po nim nastąpił podział Europy.

Ale Stany Zjednoczone nie tylko pomogły ją odbudować. Najważniejsze, co zrobiliśmy, to podjęcie decyzji, że jeśli mamy uniknąć kolejnej takiej tragedii, musimy stworzyć zestaw instytucji, norm i sojuszy wzmacniających ideę, że są zasady, których wszyscy będziemy przestrzegać. Że duże państwa nie mają prawa przejmować mniejszych tylko dlatego, że mają większą armię. Że istnieją prawa człowieka, które każdy ma obowiązek respektować. Że każda osoba ma godność i wartość.

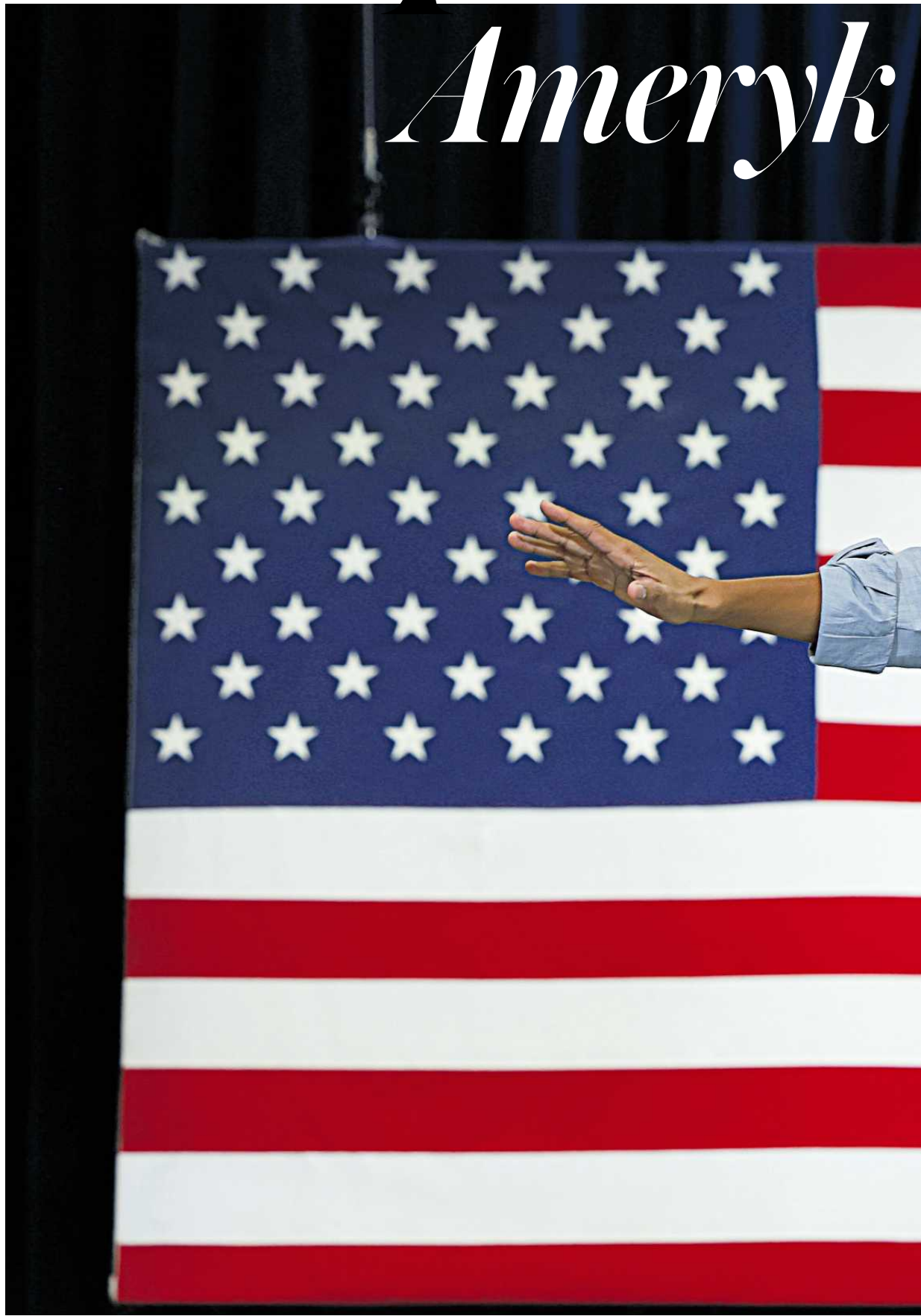
Choć nie możemy nikomu narzucać demokracji, możemy promować praktyki demokratyczne, takie jak wolność słowa, wolność prasy i niezależne sądownictwo – ponieważ to właśnie te elementy pozwalają ludziom rozwijać się indywidualnie, a z czasem umożliwiają rozwój państw i regionów.

Nie ma lepszego przykładu skuteczności tego porządku niż Europa. Gdy przyjechałem tutaj w 2009 roku, a potem znów w 2016, przypominałem Europejczykom, jak niezwykle jest to, że kontynent tak zrujnowany i brutalnie doświadczony stał się najbardziej pokojową i dostatnią wspólnotą ludzi w historii. I to zaledwie w jedno pokolenie.

Oczywiście, ten liberalny porządek miał wady. Wyciągnął miliardy ludzi z ubóstwa, a jednocześnie znacznie pogłębił nierówności. W wielu aspek-

Snyder z Obamą. Historyk rozmawia

Nie porz Ameryk



■

Obama: W Dolinie Krzemowej rozmawiałem z ludźmi z branży technologicznej. Niektórzy byli zaskakująco przychylni autorytarnym formom rządów. Powiedziałem im: Wynajwyraźniej nigdy nie prowadziliście biznesu w kraju, w którym nie ma rządów prawa

tach zbliżył nas do siebie – internet pozwolił komuś w Polsce słuchać młodego kandydata przemawiającego w Bostonie, a dziecku w afrykańskiej wiosce mieć cały zasób ludzkiej wiedzy w ręku, na smartfonie.

Ale ta otwartość dla wielu ludzi okazała się zagrożeniem, bo podetknęła obce kultury czy odmienne style życia bezpośrednio przed oczy. Nagle ktoś w konserwatywnej wsi w Polsce widzi Kardashianki z ich celebrycką dezynwolturą i myśli: „Ej, nie tego oczekiwaliśmy”. Podobnie ktoś na Bliskim Wschodzie, kto styka się z zachodnimi ideami, które odbiera jako niebezpieczne.

Do tego doszła reakcja na globalizację. Nasze systemy polityczne nie zawsze umiały poradzić sobie z tymi, którzy – może nie w twardych liczbach, ale relatywnie – poczułi, że stracili pozycję, bo gospodarka się zmieniła. Akurat kiedy obejmowałem urząd, okazało się, że globalnie powiązane wielkie instytucje finansowe działają nieodpowiedzialnie,

z prezydentem noblistą

Uciekajcie anórew

Zaczynamy się uczyć,
że polityka to gra w dodawanie,
a nie w odejmowanie



a my nie mamy międzynarodowych regulacji, ludzie przeżywają poważne trudności.

Od zakończenia II wojny światowej osiągnęliśmy ogromny postęp w promowaniu praw człowieka, rynku i wolności. Ale nasze struktury zestarzały się i zaczęły trzeszczeć. Musimy je odnowić. Część sprzeciwu wobec starego porządku wynika właśnie z tego, że nie dostosowaliśmy się wystarczająco szybko do nowych warunków.

Nie jest tajemnicą, że nie zgadzam się z niektórymi decyzjami podejmowanymi obecnie w Waszyngtonie. Ale chcę przekazać po tej stronie Atlantyku, że podstawowa solidarność, jaką większość Amerykanów odczuwa wobec Europy, nie zależy od naszego rządu. To jest w ludziach.

Michelle i ja jesteśmy z Chicago. Tam jest wielu Polaków. Wiemy, że to są głębokie więzi – pokolenia Polaków, którzy są obywatelami amerykańskimi, ale mają związek z tym, co się dzieje w ojczyźnie ich przodków. A kiedy inni Amerykanie dowiadują

się o hojności wobec uciekających przed bombami Ukraińców, o przyjmowaniu rodzin w potrzebie, reagują z podziwem.

Dlatego mam nadzieję, że ludzie na świecie nie porzucą wiary w to, że Amerykanie z czasem potrafią obrać właściwą drogę. Popelniamy błędy, ale ostatecznie trafiamy we właściwe miejsce.

Niemniej jedną z lekcji płynących z obecnej sytuacji jest to, że tych wszystkich wielkich wyzwani – od obrony demokracji i praw człowieka po walkę ze zmianami klimatycznymi – już nie mogą realizować wyłącznie Stany Zjednoczone. Weszliśmy w erę, w której musimy działać wspólnie. Europa musi zrozumieć, że nie może polegać wyłącznie na Ameryce w kwestii bezpieczeństwa.

Po zakończeniu zimnej wojny zapanowało pewne samozadowolenie – takie przekonanie, że „system przecież działa”, a jeśli pojawi się problem, Stany Zjednoczone przyjdą i go rozwiążą. Teraz wszyscy widzimy, że system działa tylko wtedy, gdy każ-

dy jest zaangażowany. A czasami to właśnie Stany mogą potrzebować pomocy, by wrócić na właściwe tory.

Przez chwilę liczyłem, ile razy użyłeś czasu przeszłego, mówiąc o porządku światowym, i straciłem rachubę przy czternastu. Wygląda na to, że – być może podświadomie – sam uważasz ten porządek za zakończony.

Wojna w Ukrainie nie jest aż tak wielka jak ta, na gruzach której on powstał, ale najbliższa sytuacji, jaką mieliśmy w 1945 roku: trwa już kilka lat, toczy się w środku Europy, zginęły setki tysięcy ludzi. Jak dziś można zakończyć taką wojnę tak, aby powstał jakiś nowy ład? I jak on miałby wyglądać?

– Obecnie toczy się wiele delikatnych działań dyplomatycznych, więc trudno o jednoznaczne przewidywania. Ale bardzo mnie podbudowuje solidarność Europy. Podczas mojej prezydentury, gdy Rosja zajmowała Krym, uzyskanie wyraźnego sprzeciwu całej Europy i wspólnego stanowiska w sprawie sankcji było znacznie trudniejsze. To solidny fundament, na którym można budować.

Nie sądzę, że podstawy starego porządku należy całkowicie zastąpić, wystarczy je odświeżyć. Europejczycy muszą zadbać o własne zdolności obronne, ale USA wciąż będą kluczowe dla NATO.

A w skali świata ważne jest, aby duże kraje, takie jak Chiny, Indie czy Brazylia, zrozumiały, że jeśli mamy utrzymać globalną wymianę gospodarczą, wszyscy muszą grać według tych samych zasad.

Snyder: *W polskich wyborach w 2023 roku zbudowano szeroką koalicję – od skrajnej lewicy po centroprawicę. Kandydat na premiera jeździł od wioski do wioski, rozmawiając z ludźmi. Powstał szeroki ruch protestu, który wsparł partie polityczne. Czy właśnie to powinniśmy robić w USA?*

W kwestii gospodarki i cel być może podjąłbym inne decyzje niż te, które zapadały ostatnio. Niemniej pewne podstawy do nich były. Sposób, w jaki Chiny zajęły miejsce w globalnej gospodarce, przystępując do Światowej Organizacji Handlu jako kraj rozwijający się, a potem dzięki ciężkiej pracy, innowacyjności, organizacji i efektywności społeczeństwa, wspięły się niemal na szczyt, był imponujący. Ale rosnąc w siłę, nadal zachowywały się tak, jakby nie musiały otwierać własnych rynków, jakby mogły manipulować kursem walutowym. Działały egoistycznie, nie przyjmując, że gdy się rośnie, trzeba również wspierać cały system.

Dlatego dziś powinniśmy się zgodzić, że każdy kraj musi wnieść swój wkład. Nie każdy równie duży, nie każdy musi robić to samo, ale każdy musi zrobić coś – to zasada, która pozwoliła nam zawrzeć porozumienie paryskie w sprawie klimatu. Mój następca się z niego wycofał, ale tam wypracowaliśmy zasadę, która może stać się podstawą nowego ładu. Powiedzieliśmy wtedy: tak, jako Stany Zjednoczone, Europa, kraje uprzemysłowione Zachodu mamy większą odpowiedzialność, bo w większym stopniu przyczyniliśmy się do degradacji środowiska. Jesteśmy też zamożniejsi, a nasi obywatele mają większy ślad węglowy niż obywatele Indii czy Chin. Więc my musimy robić więcej – ale to nie znaczy, że Chiny czy Indie nie muszą robić nic. One także muszą działać proporcjonalnie do swojego poziomu.

Ta idea wspólnej odpowiedzialności i wspólnej troski o światowy ład jest bardzo istotna.

Ale na Ameryce też spoczywa wielka odpowiedzialność. Jeśli jedno z najpotężniejszych państw w historii przestanie szanować własne prawo i zdryfuje ku autokracji, w której są jeszcze wybory, ale demokracja została wydrążona – perspektywy dla reszty świata się pogorszą. Bo USA będą potężną siłą i jednym z głównych graczy na globalnej scenie przez bardzo długi czas. A alternatywa – porządek światowy narzucony przez Chiny – nie będzie lepszy ani bardziej hojny wobec reszty świata.

• Barack Obama na wiecu Demokratów w Las Vegas w Nevadzie (1.11.2022). Był prezydent USA był gościem kongresu Im-pact’25, który w dniach 14-15 maja odbywał się w Poznaniu

FOT. ANNA MO-
NEYMAKER/GETTY
IMAGES

To co mogą zrobić Amerykanie? Pytam, bo jedną z niezwykłych rzeczy w twoich obu kadencjach i w ogóle w twoim podejściu do świata była wielkoduszość. To, że nawet w przypadku najtrudniejszych przeciwników potrafiłeś powiedzieć: „Rozumiem, skąd on się wywodzi, dlaczego jest taki, co dla niego jest stawką, co to wszystko znaczy z jego punktu widzenia”. Wiele osób podziwiała i uczyło się od ciebie tej politycznej empatii.

Ale co, jeśli jest jakaś granica, za którą taka empatia przestaje być właściwa i musimy zacząć myśleć o innych formach działania? Gdzie jest ta granica? Kiedy jako społeczeństwo musimy powiedzieć „dość”?

Żyjemy w nadzwyczajnych czasach, w Stanach Zjednoczonych dzieją się rzeczy wyjątkowe i sądzę, że zwykle sposoby uprawiania polityki już nie wystarczą, byśmy wrócili do normalności.

– W Fundacji Obamy obecnie skupiam się na tym, jak szkolić nowe pokolenie liderów, którzy wierzą w rządy prawa, w sprawiedliwość, równość i godność człowieka. I jednym z najtrudniejszych pytań, które młodzi ludzie często zadają podczas szkoleń i dyskusji, jest: „Co mam zrobić, gdy druga strona... Ja chcę szukać wspólnego gruntu, ale co, jeśli druga strona łamie zasady? Gdy nie jest zainteresowana współpracą, a wręcz próbuje zniszczyć to, co robimy?”.

To trochę twoje pytanie. I chcę jasno powiedzieć: rozumienie historii i perspektywy przeciwników, dostrzeganie, skąd się wywodzią i gdzie być może istnieje wspólny grunt, nie oznacza, że masz siedzieć i pozwolić się bić w twarz. Nawet jeśli rozumiesz, dlaczego ktoś coś robi, to jeżeli jego działania szkodzą tobie, twojej rodzinie, twojej społeczności albo twojemu krajowi, musisz stanąć w obronie. Empatia i stanowczość nie wykluczają się nawzajem.

Podam konkretny przykład – Władimir Putin. Rozumiem jego perspektywę. Nasze relacje były rzeczowe, nie było między nami krzyków. Prowadziliśmy długie rozmowy. Słuchałem, jak opowiada o Rosji – jak zdradził ją Zachód, jak wykorzystano ją po upadku Związku Radzieckiego. Opowiadał o młodzieńczych latach, o tym, jak upadek muru berlińskiego zachwiał jego poczuciem rzeczywistości.

Ale to, że go rozumiem, nie znaczy, że akceptuję. Mamy zupełnie odmienne wizje świata i uważam, że moja wizja jest lepsza. Bo jego wizja prowadzi do wojny, do okrucieństwa, do łagrów – a nie do dobrobytu czy bezpieczeństwa.

Niemniej rozumienie jego perspektywy pomagało mi tam, gdzie mogliśmy znaleźć wspólny interes. Na przykład: udało się zmniejszyć liczbę głowic nuklearnych w naszych krajach. Udało się wypracować porozumienie nuklearne z Iranem – przy wsparciu Rosji. Putin zgodził się nawet zawiesić sprzedaż Iranowi systemu obrony rakietowej, który mógłby doprowadzić do izraelskiej interwencji i wywołać wojnę na Bliskim Wschodzie.

Były więc możliwe ustępstwa – tam, gdzie był wspólny interes. Ale tam, gdzie uważałem, że się myli, gdzie Rosja działała źle – stawiałem sprawę twardo. I sądzę, że to, co obowiązuje w polityce zagranicznej, dotyczy też polityki wewnętrznej.

Spójrzmy na Polskę – kraj przechodzi polaryzację i głębokie podziały polityczne podobnie jak Stany Zjednoczone. Po nadchodzących wyborach prezydenckich i parlamentarnych te różnice nie znikną z dnia na dzień. Ale postępowe środowiska w Polsce mogą wiele zyskać, próbując zrozumieć reakcje bardziej konserwatywnych, głęboko religijnych, wiejskich społeczności. Jeśli chcesz być skuteczny, budować szerokie koalicje, które rzeczywiście są w stanie realizować program – musisz ich wysłuchać.

Co nie oznacza, że kiedy dochodzisz do momentu, w którym nie da się porozumieć, masz się poddać. Wtedy musisz wal-



• **Obamowie z córkami Malią i Sashą. Michelle Obama udostępniła to zdjęcie na Instagramie z okazji swoich 60. urodzin (17.01.2024)**

FOT. MICHELLE OBAMA/INSTAGRAM

Obama: To, że moje córki są mądre i dowcipne, to zasługa ich wspaniałej matki. Ale jest jedna rzecz, za którą mnie chwalą: zawsze byłem z nimi szczery. Jeśli coś było dobre, mówiłem: To świetne. Ale gdy coś było średnie, nie udawałem

czyć. Nie dosłownie, nie promuję przemocy, ale politycznie.

A co z nami, panie prezydencie? W polskich wyborach w 2023 roku rzeczywiście zbudowano szeroką koalicję – od skrajnej lewicy po centroprawicę. Kandydat na premiera jeździł od wioski do wioski, rozmawiając z ludźmi. Powstał szeroki ruch protestu, który wsparł partię polityczną. Czy właśnie to powinniśmy robić – budować szerokie koalicje i protestować?

– Tak.

Mam sprecyzowany pogląd na niektóre partie skrajnej prawicy, i to nie tylko w Stanach. Uważam, że one promują bardzo niebezpieczne idee i polityki, ale też, że osoby, którym kibicuję – z lewej strony i z centrolewicy – też popełniły błędy.

Jednym nich było zbytne poczucie pewności, arogancji, moralnej wyższości. Uznaliśmy, że skoro mamy rację, to nie musimy słuchać tych, którzy się z nami nie zgadzają – i w ten sposób odpychaliśmy potencjalnych sojuszników. Tylko dlatego, że nie zgadzali się z nami we wszystkim.

Zawsze używam takiego porównania: rozmawiasz z wujkiem. To starszy facet, znasz go, wiesz, że jest dobrym człowiekiem – uprzejmy wobec ludzi, pomaga sąsiadom, działa charytatywnie, był dobrym ojcem, mężem, jest świetnym wujkiem. Ale trochę niekomfortowo czuje się wobec zmieniających się norm dotyczących seksualności. Czy to znaczy, że masz całkowicie zerwać z nim kontakt? Nie. Możesz mu powiedzieć: „Wujku, nie zgadzam się z tobą w tej sprawie”, ale też dodać: „Wiem, ile dobrego robisz, więc możemy współpracować w wielu innych kwestiach. Umówmy się, że w tej się nie zgadzamy”.

Zbyt rzadko robiliśmy coś takiego w polityce. W Stanach Zjednoczonych wielu młodych ludzi, którzy dorastali w czasie mojej prezydentury, zaczęło uważać, że

należy im się 100 procent tego, czego chcą. A jeśli ktoś się z nimi nie zgadza, to znaczy, że jest rasistą, seksistą, homofobem albo nie dba o środowisko. W rezultacie część wyborców, których można było przekonać, została wypchnięta do obozu przeciwników. Bo ludzie nie chcą być pouczeni ani traktowani jak głupcy.

Zaczynamy się uczyć, że polityka, budowanie wspólnoty, skuteczne działanie to gra w dodawanie, nie w odejmowanie. W demokracji chodzi o to, by przyciągać ludzi, bo samemu nie da się niczego osiągnąć. Siła zależy od tego, ilu ludzi uda ci się przekonać do współpracy. To właśnie recepta, którą opisałem na przykładzie Polski. Trzeba wyciągać rękę, znając swoje przekonania, wiedzieć, czego nie wolno ci poświęcić, równocześnie rozumiejąc, że w demokracji nie dostaniesz nigdy 100 procent tego, co chcesz. Uda ci się uzyskać jedną czwartą, połowę, a potem przekonywać dalej? Wspaniale. Tak właśnie wyglądał postęp w historii ludzkości.

Mimo to uważam, że są kwestie, w których musimy być radykalni, jeśli chcemy odbudować Amerykę. Na przykład co do nierówności dochodów. Musimy być wystarczająco radykalni, by mieć siłę do nacisku – i wystarczająco pewni naszego radykalizmu, aby móc pójść na kompromisy.

– Na początku debaty trzeba jasno powiedzieć: oto, w co wierzę. Myślę, że kraj powinien pójść w tym i tym kierunku. A teraz pozwól mi usłyszeć, co myślisz. Zobaczymy, gdzie się spotkamy. Co nie zmienia faktu, że czasami trzeba być realistą, ponieważ nie zawsze zaczynamy od zera. Dobrym przykładem jest zdrowie w Stanach Zjednoczonych.

Kiedy objąłem urząd, byliśmy wyjątkiem wśród krajów rozwiniętych, bo nie zapewnialiśmy podstawowej opieki zdrowotnej wszystkim obywatelom. 85 procent ludzi ją miało, ale 15 procent jej pozbawionych to w 300-milionowy spór ludzi. Więc gdybym zaczynał od zera, przyjrzałbym się najlepszym modelom. O, Kanada działa całkiem nieźle z systemem jednego płatnika, czyli rządu zapewniającego każdemu takie samo podstawowe leczenie. Ale wskutek różnych procesów w Ameryce bardzo wcześniej wykształcił się model prywatny i obecnie to wielki biznes, który zatrudnia wielu ludzi i stanowi jedną szóstą gospodarki. Więc jeśli ogłosiłbym, że w ciągu czterech lat zamierzam zlikwidować istniejący system – czyli wszystkie te miejsca pracy, firmy ubezpieczeniowe, dystrybucję leków – te grupy interesu będą się bronić i zaplanuje chaos. Szkodliwy dla wszystkich.

Musiałem więc powiedzieć sobie: w porządku, to co jest realistyczne? Jak popra-

wić życie milionom ludzi, nie burząc tego, co już mamy? I w drodze negocjacji to właśnie udało nam się uchwalić. Bo nie forsowałem radykalnej wizji miejsca, w którym ja chciałbym się znaleźć, tylko zastanowiłem się, w jakim punkcie mogą spotkać się moje i czyjeś wizje.

Oczywiście – jeśli działasz w świecie takim, jaki jest, poruszając się w jego ramach, nie kwestionujesz jego reguł, to pokazujesz ubóstwo wyobraźni i nie osiągniesz wielkich rzeczy. Nie zapoczątkujesz nowego porządku. Ale jeśli twoja głowa zawsze tkwi w utopiiach, to nigdy nie rozwiniesz praktycznych umiejętności ani nie uruchomisz wysiłku organizacyjnego, które są niezbędne, aby spełnić jakąś swoją obietnicę.

Ludzie czerpią wyobraźnię i poczucie tego, co możliwe w przyszłości, również z przeszłości. Spróbuję pokazać to przez dygresję. Kiedy zostałeś wybrany w 2008 roku, wielu moich kolegów i przyjaciół płakało. Ze szczęścia. Bo widzieli coś, czego nigdy się nie spodziewali – że czarny Amerykanin zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych. Czuliśmy wtedy, że coś przezwyciężyliśmy, że przeszliśmy w nowy etap. Ale z biegiem czasu – i to nie tylko w USA – coraz wyraźniej widać, że historyczne zaszłości nie do końca da się przezwyciężyć. Że nie da się uciec od historii.

Bo ludzie, z którymi chcemy rozmawiać i iść na kompromisy, też mają swoje własne poczucie przeszłości. Spójrzmy na rosyjską inwazję na Ukrainę – ona przecież w dużej mierze wynika z określonej wizji historii. Problemy demokracji tutaj, w Polsce, też są zakorzenione w określonych interpretacjach przeszłości. Więc jak chciałbyś, żeby uczono historii, byśmy mogli jednocześnie być wierni sobie, być między sobą szczerzy i umieć dobrze rozmawiać?

– Dobrym punktem wyjścia są fakty. Choć w Stanach Zjednoczonych wydaje się to ostatnio kontrowersyjne i ludzie wydają się zdezorientowani, słysząc, że istnieje różnica między tym, co się naprawdę wydarzyło, a wyobrażeniem, kłamstwem czy poglądem – to jednak postęp we współczesnym świecie opiera się na przekonaniu, że istnieje coś takiego jak obiektywna rzeczywistość.

Oczywiście, wszystko podlega interpretacji, możemy się spierać, co ma większe, a co mniejsze znaczenie. Ale kiedyś potrafiliśmy się zgodzić co do tego, że „to jest stół”, a „to jest krzesło”. Na tej podstawie rozwinęła się metoda naukowa. To także fundament dziennikarstwa – weryfikowanie źródeł, niepublikowanie niesprawdzonych informacji.

Demokracja zależy od wierności prawdzie, podobnie jak biznes. Rozwój globalnego handlu był możliwy dlatego, że ustaliliśmy wspólne standardy. Jeśli ktoś sprzedaje produkt i nie znamy go osobiście, to ufamy, że skoro na opakowaniu jest podana waga i skład, to można go bezpiecznie zjeść. I dzięki temu można sprzedawać produkty nie tylko w swojej wiosce, ale w całej Polsce, w całym kraju, a nawet wysłać za ocean. To wszystko opiera się na wspólnie uznanych faktach.

Dlatego dziś jednym z największych wyzwań jest to, że ludzie u władzy są gotowi naginać fakty, ignorować je lub szerzyć fałszywe informacje.

Dawniej na Zachodzie czy w Stanach Zjednoczonych wyśmiewaliśmy takie zachowanie. To był przecież jeden z głównych zarzutów wobec porządku sowieckiego – że urzędnicy twierdzili „to był najlepszy plon w historii”, po czym ludzie szli do sklepów i półki były puste. System w końcu się załamał, bo propaganda była ważniejsza niż prawda – a dziś widzimy, że nasze własne rządy toczą wojnę z faktami.

A to zjawisko subiektywizacji prawdy wśród ludzi potęgują nowe technologie.

Byłem pierwszym „cyfrowym” prezydentem. Wcześniej zacząłem korzystać z nowych narzędzi i prawdopodobnie nie zostałbym wybrany, gdyby nie sieci wolontariuszy, które udało się zbudować dzięki serwisom społecznościowym. Wówczas pannał co do nich wielki optymizm. Ale musimy dziś przyznać, że są po prostu narzędziem – można je wykorzystać do czynienia dobra, ale też do zła. A ludzie u władzy szybko zrozumieli, że to doskonały kanał nie tylko do przekazywania dobrych informacji, ale też do szerzenia dezinformacji.

Odbiegam od pytania tylko pozornie, bo punktem wyjścia w nauce historii też musi być szczere uznanie tego, co naprawdę się wydarzyło. A kolejnym etapem – wypracowanie umiejętności prowadzenia rzetelnej debaty o znaczeniu tych wydarzeń.

Użyję konkretnego przykładu z USA: obecnie Biały Dom próbuje zmusić szkoły do udawania, że niewolnictwo nie miało miejsca albo że nie było aż tak złe. Powód? Nie powinno się uczyć rzeczy, które sprawiają, że białe dzieci czują się źle albo mniej dumne z bycia Amerykanami.

Ale przecież dzieci powinny być dumne właśnie z tego, że Ameryka potrafiła przezwyciężyć swoje tragedie, że potrafilismy się zmienić! Amerykę zawsze czyniło wyjątkową to, że ewoluowaliśmy, że potrafilismy przewycięzać albo przynajmniej próbować przewyciężyć przeszłość.

Moje córki mają 27 i 23 lata. Są wspaniałe – mądre, dowcipne. To zasługa ich wspaniałej matki, ale jest jedna rzecz, za którą zawsze mnie chwaliły: jeśli prosiły mnie o sprawdzenie pracy domowej, to zawsze byłem z nimi szczery. Jeśli coś było dobre, mówiłem: „To świetne, naprawdę się przyłożyłaś, bardzo mnie to zaciękawilo”. Ale gdy coś było średnie, nie udawałem, tylko mówiłem: „No, może być”.

Obama: Bardzo mnie podbudowuje solidarność Europy. Podczas mojej prezydentury, gdy Rosja zajmowała Krym, uzyskanie wyraźnego sprzeciwu całej Europy i wspólnego stanowiska w sprawie sankcji było znacznie trudniejsze

Dzięki tej szczerości wiedziały, że mogą mi zaufać – i ufały mojej ocenie. To dotyczy nas wszystkich jako obywateli – powinniśmy wiedzieć, kiedy popełniliśmy błąd, żeby móc się poprawić. Okłamując samych siebie, tylko sobie szkodzimy.

To samo, co historii, dotyczy zresztą całej nauki. Jeśli zaczniemy ją podważać, to gdy pojawi się nowa pandemia albo inne choroby wymagające szybkiej reakcji, zabraknie zaufania społecznego, żeby na nie odpowiedzieć. A gdy będziemy udawać, że zmian klimatycznych nie ma, katastrofa dotknie wszystkich.

Przypomniałeś mi, że gdybym nie był tutaj z tobą, pomagałbym właśnie dzieciom w odrabianiu lekcji. To zakończmy pytaniem, które połączy wiele wątków naszej rozmowy: przeszłość i terażniejszość, świat faktów i świat idei, porządek i wolność. Chodzi o rządy prawa. Jak mówić o nich tak, by ludzie traktowali nie jako abstrakcyjną ideę, ale i rozumieć, jak wpływają na ich codzienne życie?
– Rządy prawa sprowadzają się w gruncie rzeczy do sprawiedliwości. To instynkt, który – jak pokazują badania – mamy w sobie od bardzo młodego wieku. Już roczne czy dwuletnie dzieci mają poczucie, co jest fair, a co nie.

Więc podstawowy przekaz jest prosty: bez rządów prawa ludzie mogą kłamać, kraść, oszukiwać, bić innych, a jeśli są wystarczająco wpływowi albo bogaci, by uszło im na sucho – nikt nie może nic z tym zrobić. Natomiast tam, gdzie obowiązują rządy prawa, nie wyeliminujemy wszystkich ludzkich grzechów, ale zwiększamy szanse, że każdy zostanie potraktowany sprawiedliwie.

Byłem kiedyś w Dolinie Krzemowej i rozmawiałem z ludźmi z branży technologicznej. Niektórzy byli zadziwiająco przychylni autorytarnym formom rządów. Powiedziałem im: Wy najwyraźniej nigdy nie prowadziliście biznesu w kraju, w którym nie ma rządów prawa. Uważacie to za coś oczywistego. Bo gdybyście prowadzili firmę w takim miejscu, wiedzielibyście, jak to jest, kiedy urzędnik mówi: „Chcę 25 procent twoich zysków”. Jak to jest, gdy wasza konkurencja ma lepsze koneksje, a wy możecie z dnia na dzień stracić firmę i nie macie żadnej drogi odwołania. Albo gdy musicie zatrudnić leniwego kuzyna jakiegoś urzędnika, posadzić go w biurze i udawać, że pracuje – bo inaczej nic nie załatwicie.

Cały przemysł Doliny Krzemowej jest zbudowany na rządach prawa, które umożliwiły globalizację – czyli pozwoliły działać i osiągać zyski na całym świecie, nie tylko lokalnie.

Więc czy jesteś przedsiębiorcą, pracownikiem, uczniem czy nauczycielem – twoje minimalne oczekiwanie wobec społeczeństwa jest takie, że będziemy traktowani sprawiedliwie i nasi sąsiedzi, przyjaciele, współobywatele też. Chcemy, by nasza zdolność do kształtowania własnego losu nie była uzależniona od widzimisię jakiejś niewidzialnej siły. I tego nie wolno nam oddać. Możemy się spierać o podatki, o edukację, o wiele rzeczy. Ale nie powinniśmy się spierać o to, czy każdy człowiek ma godność i prawo, by kierować własnym życiem, chronić rodzinę, troszczyć się o dzieci i zapewnić im szansę.

A jedynym sposobem, by to zagwarantować, jest system, który to uznaje – czyli zapisuje w prawie – i ma mechanizmy, by ten porządek przekazywać z pokolenia na pokolenie.

To właśnie fundament porządku światowego, który powstał po II wojnie światowej i który powinien być kamieniem węgielnym nowego czy zmodyfikowanego porządku. Powinniśmy o niego dbać niezależnie od tego, czy jesteśmy konserwatystami, liberałami, z lewej czy prawej strony. To nie ma znaczenia. ●

Barack Obama

- urodzony w 1961 roku, 44. prezydent USA, laureat pokojowego Nobla, prawnik, demokrat. Największe osiągnięcia jego dwóch kadencji to pakiet ustaw ratujących amerykańskie przedsiębiorstwa, rozszerzających zasiłki i inwestycje publiczne podczas światowego kryzysu finansowego lat 2008-09; programy „zazielenienia” gospodarki i rozwoju energii odnawialnej; przeforsowanie globalnych klimatycznych porozumień paryskich; zniesienie zakazu służby wojskowej osób nieheteronormatywnych; oraz Obamacare, czyli objęcie podstawową opieką zdrowotną wszystkich Amerykanów.
- Jako senator w latach 2005-08 tworzył, współtworzył lub przeforsował wiele istotnych ustaw, w tym o ochronie granic, prawach imigrantów czy jawności dotacji federalnych dla organizacji pozarządowych.

Timothy Snyder

- urodzony w 1969 roku, historyk, profesor Yale. Autor głośnych książek: „Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem”, „Czarna ziemia. Holokaust jako ostrzeżenie”, „O tyranii. Dwadzieścia lekcji z dwudziestego wieku”, „Droga do niewolności. Rosja. Europa. Ameryka”, „Amerykańska choroba. Szpitalne zapiski o wolności”. Człowiek Roku „Wyborczej” 2016.

Słynny historyk i były prezydent USA rozmawiali w maju w Poznaniu podczas Impact'25, międzynarodowego kongresu nazywanego „polskim Davos”. Od 10 lat w jednym z najważniejszych wydarzeń gospodarczo-technologicznych w Europie biorą udział eksperci i ekspertki z największych globalnych firm i organizacji z całego świata związani z zarządzaniem, polityką, prawem i nauką.

„Amerykańska choroba”, „O tyranii”, „Ziemia obiecana”, „Becoming” – te i inne książki Timothy’ego Snydera oraz Michelle i Baracka Obamów w dobrych księgarniach i w formie e-booków i audiobooków na Publio.pl.

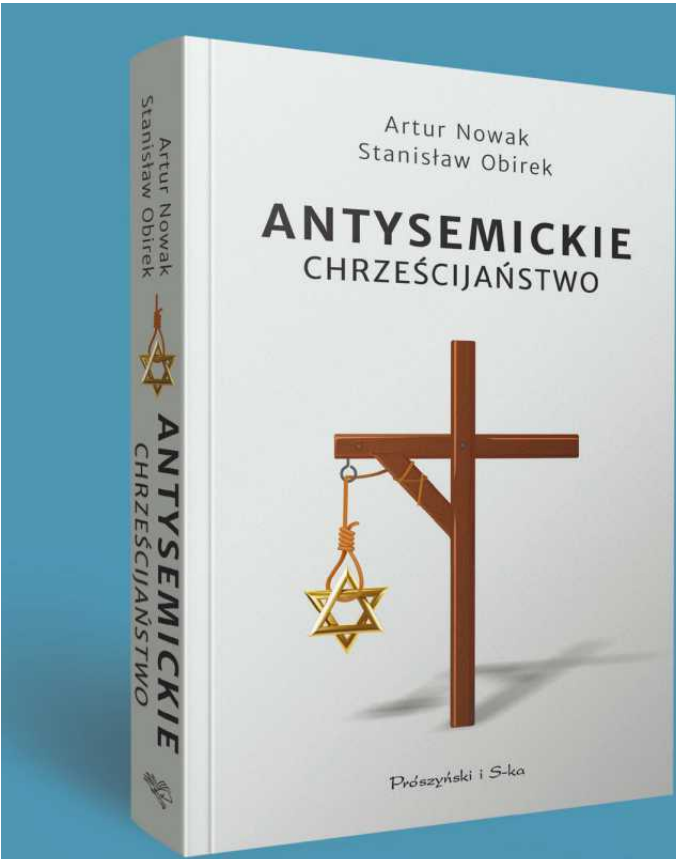


FOT. DAVID ZUCHOWICZ / AGENCIA WYBORCZA.PL



REKLAMA

Kraj/34379028



Wielkie oskarżenie Kościoła Katolickiego

Snyder odchodzi z Yale i emigruje do Kanady

LIGA BLUSZCZOWA POD P

– Za pomocą presji na uniwersytety Trump chce trwale osłabić wpływy lewicowej elity na społeczeństwo – mówi Yascha Mounk, politolog z Johns Hopkins University.

Jan Küveler

WELT

Decyzje Donalda Trumpa dotyczące wycofania federalnego finansowania dla amerykańskich uniwersytetów nie dotyczą wcale deklarowanej przez Republikanów walki z antysemityzmem na kampusach – przekonuje Yascha Mounk. To politolog, który wyklada stosunki międzynarodowe, a także prowadzi magazyn „Persuasion”, który, jak sam mówi, „stara się bronić filozoficznych wartości liberalnych” w sytuacji, w której są one coraz bardziej atakowane – najpierw przez ruch woke oraz tzw. cancel culture, a teraz przez pravicową administrację Trumpa.

Na pierwszej linii walki o niezależność akademicką jest Harvard, któremu rząd zablokował już prawie 3 mld dol. finansowania, a w tym tygodniu odebrał prawo do przyjmowania studentów z zagranicy – ta decyzja z kolei została już nazajutrz tymczasowo zablokowana przez sąd federalny.

Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, krajobraz polityczny był zupełnie inny – a pan był atakowany z lewej strony, ponieważ krytykował pan „przesadny” aktywizm spod znaku woke, nie tylko na uniwersytetach. Teraz wiatr się zmienił. Rząd USA radykalnie atakuje instytucje akademickie.

– W mojej ostatniej książce „In the Age of Identity” ostrzegałem, że lewicowa polityka tożsamości nie powinna być rozpatrywana w opozycji do prawicowego populizmu. Wręcz przeciwnie – obie te ideologie są od siebie ściśle zależne.

Fakt, że ruch woke stał się tak silny na amerykańskich kampusach i w ogóle w progresywnym spektrum politycznym, w znacznym stopniu przyczynił się do reelekcji Trumpa. Wahadło się wychyliło ostro na prawo, co mnie martwi. Bo Trump jest z pewnością większym zagrożeniem w porównaniu z jakąkolwiek cancel culture.

Ostatnie tygodnie debatę publiczną zdominowała ekonomia, polityka celna Trumpa. Jednocześnie atak na instytucje akademickie trwa nieprzerwanie. Groźba obciążenia pół miliarda dolarów państwowego finansowania dla Uniwersytetu Browna to tylko najnowsza wiadomość. Ale zaczęło się od 400 mln dolarów dla Columbii, a następnie aż 2 miliardów dla Harvardu.

– Na wielu frontach wyraźnie widać, że Trump poważnie myśli o demontażu starego porządku. Po tzw. „dniu wyzwolenia” – 2 kwietnia, kiedy Biały Dom ogłosił drakońskie cła na większość państw świata – nie możemy już liczyć na umiar. Także do zarządów uniwersytetów stopniowo



• Świeżo upieczeni absolwenci Columbia University w Nowym Jorku, jednej z najostrzej krytykowanych przez Trumpa uczelni

FOTOREUTERS/RYAN MURPHY

dociera, że być może nie chodzi tylko o ruchy PR, o wywieranie ideologicznego wpływu, ale o rozbicie lub przynajmniej poważne ograniczenie działania tych instytucji, które z różnych powodów stały się niepopularne w dużej części społeczeństwa. Wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy, że nawet duże, bogate prywatne uniwersytety są zależne od publicznego finansowania.

Zarzuty republikańskiej administracji dotyczą – oficjalnie – kampusowych protestów przeciwko polityce Izraela wobec Palestyńczyków, noszącym cechy antysemityzmu, który ma się wymykać spod kontroli władz uczelni, a dopiero w drugiej kolejności takich kwestii jak DEI (diversity, equity, inclusion). Czy to poważnie uzasadnione zarzuty, czy też jest to dla rządu pretekst, by dokręcić śrubę liberalnym instytucjom?

– Pamiętamy, że jeszcze dziesięć lat temu, według badań Pew Research i innych poważnych instytucji, uniwersytety cieszyły się sympatią większości Amerykanów i szerokim poparciem elit politycznych. Owszem, były bardziej popularne wśród demokratów niż republikanów, ale różnica nie była tak duża; przeważała przychylna opinia. Teraz jest inaczej. Dziś większość Amerykanów nie ufa uniwersytetom.

I jest to kwestia bardzo spolaryzowana: obecnie republikańscy wyborcy są zdecydowanie krytyczni wobec środowisk akademickich. Ma to związek z politycznym rozgrywanym gorących tematów dzielących opinię publiczną, jak polityka tożsamości, kwestie praw osób transpłciowych czy obecnie protesty w sprawie Strefy Gazy. Ale ma to również coś wspólnego z brakiem reprezentacji republikańskiej Ameryki w tych instytucjach. Przez długie dekady na każdych trzech profesorów dwóch było demokratami, a jeden republikaninem. Teraz na stu profesorów uczelni z Ivy League 99 to demokraci.

Od wielu lat konserwatywni studenci nie czują się już na tych uniwersytetach jak u siebie. Czują, że nie mogą już otwarcie wyrażać swoich opinii. Ten narastający od jakiegoś czasu stan rzeczy kosztował uniwersytety wsparcie społeczne. Gdyby było inaczej, nie sądzę, by Trump zaatakował uniwersytety w tak ostentacyjny i brutalny sposób. Wykorzystuje on polityczne okno możliwości – przewaga Republikanów w Kongresie i Sądzie Najwyższym – aby przekształcić je według własnego uznania. Może

Nikt jeszcze nie został deportowany z powodu zakresu swoich badań.

Ale uważam, że to jest wkrótce możliwe

poważnie podchodzić do kwestii transpłciowych, a do tego trudno się nie zgodzić, że na elitarnych uniwersytetach krążą antysemickie teorie. Ale ostatecznie Trump postrzega starcie z kampusową elitą jako kwestię zasadniczą dla jego władzy. Chce wykorzystać uniwersytety do osłabienia lewicowych wpływów w społeczeństwie.

Mówimy już nie tylko o groźbach cięć funduszy, ale także o aresztowaniach i deportacjach naukowców. Zdarza się już, że ludzie nie są wpuszczani do kraju, ponieważ wyrazili krytykę Trumpa w mediach społecznościowych. Moi amerykańscy znajomi w Berlinie nie chcą się wypowiadać prywatnie o posunięciach swojego rządu w obawie przed możliwymi przykrymi konsekwencjami.

– Trudno powiedzieć, gdzie uzasadniona obawa zamienia się w paranoję. Było np. doniesienie o niemieckiej turystce, która została zatrzymana na granicy między Meksykiem a USA. Powodem było jednak to, że miała wizę turystyczną, ale była również tautauzystką i miała przy sobie sprzęt potrzebny do pracy. Taka sytuacja – uznanie, że wjeżdżający do kraju zamierza nielegalnie podjąć w nim pracę – mogła mieć miejsce także już dziesięć lat temu. Nie osiągnęliśmy jeszcze punktu, w którym obywatele amerykańscy, którzy wygłaszają krytyczne komentarze, nie są już wpuszczani z podróży zagranicznych do kraju.

W każdym razie ja lecę z powrotem z Paryża za kilka dni, a często byłem krytyczny wobec Trumpa w mediach. Nie obawiam się konsekwencji. Jeszcze.

A deportowani studenci?

– To rzeczywiście niepokojące. Dopóki nie są obywatelami, może to być prawnie możliwe. Sekretarz stanu ma daleko idące uprawnienia, aby zaklasyfikować kogoś jako zagrożenie dla amerykańskiego bezpieczeństwa, odmówić wydania lub przedłużenia wizy i nakazać deportację. Z moralne-

go punktu widzenia jest to katastrofa. Nawet jeśli ktoś popełnił przestępstwa, na przykład podczas protestów, zasługuje w pierwszej kolejności na uczciwe postępowanie sądowe.

Jednak kategoria „zagrożenie dla amerykańskiego bezpieczeństwa” tego nie zapewnia. Oczywiście prowadzi to nie tylko do uzasadnionych obaw, ale także do autocenzury. W języku angielskim można by mówić o „efekcie mrożącym”, który skutecznie ogranicza wolność słowa i podważa wolność akademicką.

Obecnie ogranicza się to do aktywizmu politycznego oraz nauk humanistycznych i społecznych. Ale czy jest możliwe wyciąganie konsekwencji wobec naukowców, którzy nie pasują do ideologicznego wzorca i mogą zostać wydalen, np. ludzie pracujący nad nowymi szczepionkami?

– Jak dotąd chodzi o „niepożądany” aktywizm na kampusie, w jednym przypadku nawet o artykuł w studenckiej gazecie – co jest niezwykle niepokojące jako rażący atak na wolność słowa. Ale o ile mi wiadomo, nikt nigdy nie został deportowany z powodu zakresu swoich badań. Byłoby to rażące pogorszenie obecnej sytuacji. Ale uważam, że to jest wkrótce możliwe.

Zarządy uniwersytetów są między młotem a kowadłem: z jednej strony rząd wywiera na nich presję ekonomiczną, z drugiej strony muszą odpowiadać przed swoimi wykładowcami i studentami.

– Nie zazdroścę żadnemu amerykańskiemu dziekanowi ani rektorowi uniwersytetu. Wolalbym być dziś kierownikiem sklepu niż dziekanem nauk społecznych na elitarniej amerykańskiej uczelni. W sektorze prywatnym można zatrudniać i zwalniać ludzi według pewnych zasad oraz na różne sposoby zdobywać szacunek wśród pracowników. Natomiast każdy lider na uniwersytecie jest natychmiast na cenzurowanym z powodu dowolnej decyzji, która nigdy nie zadowoli każdego.

Praca na uniwersytetach z pewnością będzie jeszcze trudniejsza w dającej się przewidzieć przyszłości: kiedy Biały Dom grozi wycofaniem setek milionów dolarów dotacji, oznacza to kryzys egzystencjalny dla nawet najbogatszych uniwersytetów, a lewicowo nastawiona kadra natychmiast postrzega każdy ewentualny kompromis jako zdradę wartości i wolności akademickiej.

RESJĄ

Wielu liderów uniwersyteckich próbuje zatem zachować trudny balans, obiecując rządowi, że energicznie zaradzą niekiedy zasadnym skargom na sytuację na kampusie, a jednocześnie obiecując kampusowi, że w zasadzie nic się nie zmienia.

Prezydent Columbii, Katrina Armstrong, zrobiła właśnie to: w obecności kilkudziesięciu osób powiedziała wprost: po prostu oklamujemy administrację, podejmujemy działania pro forma, nie martwcie się.

To pokazuje dwie rzeczy: po pierwsze, pewność, z jaką kierownictwo uniwersytetu wciąż zakłada intelektualną jednorodność na kampusie, skoro wierzą, że nikt nie puści czegoś takiego do mediów. Po drugie, jak krucha jest sytuacja uniwersytetów. Pieńdazde nie mogą zostać utracone, w przeciwnym razie będzie trzeba zamknąć laboratoria i zwolnić ludzi. Ale jaki był prawdziwy plan Armstrong? Nie mam pojęcia. Zrezygnowała kilka dni po tym, jak wyszło to na jaw.

Jakie więc pole manewru mają uczelnie?

– Problem polega teraz na tym, że reformy, z których część byłaby słuszną i konieczną, będą niezwykle trudne do wdrożenia. Być może ok. 25 proc. profesorów jest naprawdę daleko na lewo. Są oni zaangażowani w politykę tożsamości i postrzegają siebie jako radykałów – nawet jeśli w większości prowadzą życie klasy średniej. Jest też jeden lub dwa procent konserwatystów. Ale większość to lewicowi liberalowie, którzy są niechętni wszelkim podejściom zideologizowanym. Krytykują oni np. rosnącą dominację tzw. krytycznej teorii rasy.

W normalnych czasach reformy byłyby możliwe, ponieważ administracja uniwersytecka mogłaby mieć tych ludzi za sobą. Teraz są niemożliwe, ponieważ każda reforma, która dwa lub trzy lata temu byłaby oceniana pod względem merytorycznym, obecnie będzie postrzegana jako zwykłe zaprzecanie się Trumpowi. Nawet najmniejsze ustępstwo natychmiast wywoła skandal na kampusie. Ale bez żadnych ustępstw jeden uniwersytet po drugim straci fundusze, których potrzebuje, aby przetrwać.

Sytuacja, która z kolei gra tylko na korzyść Trumpa, który chce osłabić progresywne instytucje.

– Wielu profesorów nie lubi pamiętać, że ich uniwersytet musi mieć dopięty budżet i że ich pensja, która w USA jest często dość hojna, zależy od wielu czynników zewnętrznych. Mogę sobie tylko wyobrazić, że Armstrong, rektorka Uniwersytetu Columbia, która w marcu zrezygnowała, będzie pierwszą z wielu. Myślę, że w ciągu najbliższych kilku lat nastąpi prawdziwe odchodzenie ze stanowisk szefów uniwersytetów, ponieważ ich sytuacja jest po prostu niemożliwa.

Naukowcy też już odchodzą. W ciągu ostatnich tygodni słyszeliśmy o profesorze Timothy Snyderze i jego żonie Marci Shore, a także o ich koledze Jasonie Stanleym. Wszyscy oni wyjeżdżają do Kanady.

– Od dawna po każdych wyborach liberalni Amerykanie ogłaszają, że wyemigrują do Kanady. Ale niewiele to realizuje. Teraz kilkoro prominentnych krytyków Trumpa przeniosło się do Kanady – z Yale na niemal równie prestiżowe stanowiska w doskonałej instytucji, jaką jest Uniwersytet w Toronto. Jednak jeszcze wiele złego musiałoby się wydarzyć w naszej polityce, aby przeciętny profesor amerykańskiego uniwersytetu zrezygnował z pracy i udał się na emigrację bez tak świetnych, wyraźnych perspektyw. ●

Czy amerykańscy naukowcy przestaną donosić

Trump kontra nauka

Rachunek za straty uboczne w amerykańskiej wojnie ideologicznej zapłaci cała ludzkość.

Robert Stefanicki

Rządy Donalda Trumpa są niekiedy zestawiane z rządami Franklina D. Roosevelta. To dlatego, że obaj ci prezydenci rozpoczęli od mocnego uderzenia lawiną dekretów zasadniczo zmieniających zastany porządek. Nowy Ład Roosevelta, mający uzdrowić kraj po „wielkiej depresji” na początku lat 30., obejmował m.in. wydatki na badania naukowe, dzięki czemu USA stały się motorem postępu. Powołane przez Roosevelta Biuro Badań Naukowych i Rozwoju w ciągu kilku lat doprowadziło do wynalezienia leku przeciwmalarycznego, szczepionki przeciw grypie, technik produkcji penicyliny na skalę masową – i bomby atomowej.

Internet, sztuczna inteligencja, szczepionki mRNA, technologia umożliwiająca „naprawianie” wadliwych genów, chirurgia robotyczna, nanotechnologia – wszystko to świat zawdzięcza badaniom dofinansowanym przez amerykański rząd w ciągu blisko stulecia dominacji naukowej USA. Według niektórych szacunków każdy dolar zainwestowany w naukę w Ameryce generuje pięć dolarów zysków społecznych, takich jak wzrost gospodarczy i wyższy standard życia.

Nowy Nieład

Niech ktoś to powie Trumpowi... W ciągu kilku miesięcy Nowego Nieładu AD 2025 rząd USA anulował tysiące grantów badawczych, zwolnił setki naukowców z instytucji rządowych. Według projektu budżetu wpłata do Narodowej Fundacji Nauki miałby się skurczyć o dwie trzecie, do Narodowych Instytutów Zdrowia (NIH) o 37 proc. względem roku poprzedniego. Harvard i Columbia, jedne z najlepszych uniwersytetów na świecie, zostały pozbawione miliardowych dotacji na badania. Instytucje naukowe musiały z dnia na dzień wstrzymać projekty dotyczące wszystkiego, od badań nad rakiem (redukcja o jedną trzecią) czy chorobą Alzheimera, po fizykę kwantową.

19 maja doradca naukowy prezydenta Michael Kratsios przedstawił stojącą za tym logikę. Nauka, powiedział, potrzebuje wstrząsu, ponieważ stała się nieefektywna i sklerotyczna, a jej praktycy zostali opanowani ideologią DEI (różnorodności, równości, integracji).

Z tej i innych wypowiedzi wynika, że „wojna z nauką” – jak nazywają to krytycy polityki Trumpa – jest konsekwencją prowadzonej przez ruch MAGA wojny z woke (przebudzeniem), w połączeniu z dążeniem do drastycznej redukcji wydatków budżetu federalnego oraz walką z liberalnymi uniwersytetami. Tak jak walka z liberalnym myśleniem na uczelniach jest tożsama z walką ze szkolnictwem wyższym jako takim – bo profesorowie o konserwatywnych poglądach na topowych uniwersytetach są gatunkiem bliskim wymarciu – tak walka z myśleniem postępowym w instytucjach naukowych równa się walce z nauką.

Wszędzie da się wytropić ślady woke, skoro inkryminujące jest samo użycie takich słów jak: równość, wykluczenie, Czarny, trauma, mniejszość, kobieta, klimat, odra, zielony, niepełnosprawny, biopaliwo... W rezultacie zablokowano nie tylko programy edukacji inkluzywnej, ale też np. badania, których celem jest ocena czynników ryzyka zachorowania na raka według rasy, albo częstości występowania chorób prze-

noszonych drogą płciową u kobiet i mężczyzn.

Nawet pogoda jest polityczna

Podręcznikiem polityki krajowej drugiej kadencji Trumpa jest Projekt 2025 stworzony przez Heritage Foundation. Na 922 stronach 40 autorów (większość znalazła się w nowym rządzie) opisało, jakie rozporządzenia należy wydać w celu zduszenia inicjatyw klimatycznych czy programów różnorodności. Projekt 2025 zaleca ekstremalne działania, m.in. ograniczenie tzw. stawki kosztów pośrednich płaconych uniwersytetom za takie wydatki, jak elektryczność i konserwacja sprzętu – ale ponieważ ciężko zrezygnować z prądu, skutkiem jest ograniczenie funduszy na badania. Trump wydał taki dekret 7 lutego, w sądzie toczy się batalia o jego uchylenie.

Jedną z instytucji objętych masowymi zwolnieniami przez ekipę Elona Muska z tzw. departamentu wydajności rządu (DOGE) jest Narodowa Służba Oceaniczna i Atmosferyczna (NOAA). Projekt 2025 zaleca, aby NOAA „została rozwiązana, a wiele jej funkcji wyeliminowanych, przekazanych innym agencjom, sprywatyzowanych lub przekazanych pod kontrolę stanów i terytoriów”. Dlaczego? Otóż naukowo-badawcze ramię tej agencji zajmuje się tak „politycznymi” rzeczami, jak dynamika lodu arktycznego i zachowanie gazów cieplarnianych. NOAA przedstawia dowody na to, że klimat naprawdę się ociepla, co dla konserwatystów jest uprawianiem „alarmizmu klimatycznego” i „blokowaniem celów rządu”.

W ramach NOAA działa Narodowa Służba Meteorologiczna, która wydaje co roku tysiące ostrzeżeń o silnych burzach, tornadach i powodziach. Nawet jeśli Amerykanie biorą te wiadomości z prywatnej aplikacji lub stacji telewizyjnej, większość podstawowych danych pogodowych pochodzi od meteorologów pracujących dla rządu federalnego. Amerykańskich podatników kosztuje to 4 dol. na osobę rocznie.

Projekt 2025 uważa, że i tę agencję należy obsadzić lojalistami, których poglądy są „w pełni zsynchronizowane” z poglądami prezydenta.

Exodus badaczy: start

Trump swojej ignorancji się nie wstydzi, uważa, że jest jego siłą. Pokazał to podczas pandemii. Rząd Baracka Obamy pozostawił mu instrukcję postępowania na wypadek takiego zdarzenia, ale Trump i jego zespół nie byli zainteresowani. Urzędnicy departamentu zdrowia bili na alarm już od stycznia 2020, kiedy to szef Centrów Kontroli i Zapobiegania Chorobom (CDC) użył informacji o Covid-19 od swojego chińskiego odpowiednika. Trump udawał, że nie słyszy. W niecałe cztery miesiące koronawirus zabił ponad sto tysięcy Amerykanów, a gospodarkę rzucił na kolana. Kiedy Trump nie mógł już dłużej udawać, że pandemii nie ma, zaczął zrzucać winę na wszystkich dookoła. To musiał być spisek jego wrogów, może na spółkę Chinami...

Jest to postawa typowa dla populistów. Podobnie podczas pandemii zachowywał się prezydent Brazylii Jair Bolsonaro. Ścieżkę dewastacji badań naukowych wytyczył Trumpowi Javier Milei w Argentynie: w ciągu roku jego rządów inwestycje państwa w naukę i technologię – a także wynagrodzenia badaczy – spadły o jedną trzecią. Rezultatem jest odpływ argentyńskich naukowców za granicę. To samo dzieje się w USA. W ciągu pierwszego kwartału tego roku liczba aplikacji amerykańskich naukowców na stanowiska za granicą wzrosła o jedną trzecią, a liczba

zagranicznych naukowców aplikujących o przyjazd do USA spadła o jedną czwartą.

Badacze Allison Carnegie, Richard Clark i Noah Zucker w artykule na stronie Uniwersytetu Kalifornijskiego piszą, że wrogość populistów wobec nauki bierze się z ich głębszej nieufności do elit. Przywódcy populistyczni twierdzą, że codzienne doświadczenia zwykłych ludzi są dla nich cenniejsze jako źródło wiedzy niż raporty ekspertów. Taka postawa jest atrakcyjna dla słabo wykształconych wyborców.

Populiści mogą również zyskać na realizowaniu interesów grup, dla których postęp jest zagrożeniem – lobby agrobiznesu poparło Boltonaro w szybkim wylesianiu Amazonii, a przemysł górnicze poparł Trumpa w spowalnianiu transformacji klimatycznej. Populiści zdecydowanie sprzeciwiają się też ograniczeniom suwerenności narodowej, dlatego sabotują organizacje międzynarodowe. Albo się z nich wypisują, albo wstrzymują lub wręcz fałszują dane, jakie mają obowiązek przekazywać do instytucji globalnego zarządzania, jak Światowa Organizacja Zdrowia (WHO). Brak odpowiednich danych utrudnia podjęcie globalnych działań w kwestiach zdrowia publicznego i ochrony środowiska. Sabotaż ze strony USA, głównego płatnika tych agencji, jest wyjątkowo dotkliwy.

W tym roku USA wycofały się z WHO.

Zyskują tylko Chiny

Amerykański Kongres i sądy mogą jeszcze ograniczyć skalę wojny z nauką. Ale mleko już się rozlało. Gorsze prognozy pogody utrudnią pracę rolnikom, a lokalnym władzom przygotowanie się na klęski żywiołowe. Cięcia w agencjach zdrowia oznaczają gorsze monitorowanie i tym samym ograniczanie ognisk chorób. W lutym, w trakcie najgorszego sezonu grypowego od lat, Federalna Agencja Leków odwołała naradę ekspertów w sprawie aktualizacji szczepionki na jesień. Wskaźniki szczepień dzieci w USA nadal spadają, a epidemia odry rozprzestrzeniła się na dziewięć stanów i zaczęła zabijać, co skłoniło antyszczepionkowego sekretarza zdrowia do spóźnionego zalecenia rodzicom, aby rozważyli zaszczepienie swoich dzieci.

Konsekwencje nie ograniczą się do USA. Ameryka jest największym sponsorem badań, odkrycia amerykańskich naukowców i wynikające z nich innowacje były dobrodziejstwem dla ludzkości. Polityka Trumpa sprawi, że opóźniony zostanie postęp m.in. w medycynie i na razie nie uda się wyleczyć choroby Parkinsona, raka trzustki, demencji. Ekonomista Alex Tabarrok opisał pacjentów, którzy umierają w oczekiwaniu na odkrycie i wdrożenie innowacji medycznej, jako pochowanych na „niewidocznym cmentarzu”. Są też cmentarze widoczne. Rząd USA zlikwidował liczne programy ratujące życie w krajach biedniejszych, w tym program walki z AIDS, który ratował miliony ludzi na całym świecie.

Jeśli ktokolwiek zyska na wojnie Trumpa z nauką, będą to Chiny. Największy rywal Ameryki w ostatnich latach doganiał ją na polu cytowań publikacji naukowych i międzynarodowych wniosków patentowych. Przed objęciem urzędu przez Trumpa przewidywano, że do końca dekady chińskie wydatki na badania dorównają amerykańskim, teraz może to nastąpić lada chwila. Chiny już przyznają więcej doktoratów z nauk ścisłych i inżynierii niż USA, a to nie koniec, bo zapraszają do siebie „uchodźców naukowych” z USA. Tymczasem autorzy Projektu 2025 twierdzili, że ich zalecenia pozwolą utrzymać dominację w nauce i zapobiegnać kradzieży dorobku intelektualnego przez Chiny. ●

Bartosz Hlebowicz

Umiera całe pokolenie” – ocenił Terry Teegee, przewodniczący Zgromadzenia Pierwszych Narodów w Kolumbii Brytyjskiej. Indianie Homalco mieszkają po obu stronach północnej części cieśniny Georgia leżącej między lądową częścią Kolumbii Brytyjskiej a Vancouver Island. W ciągu kilku miesięcy z powodu nadużycia narkotyków zmarło czterech członków tej tubylczej grupy. Homalco, które liczy 450 zarejestrowanych członków, niedawno ogłosiło alarm.

To właśnie na zachodzie Kanady fentanyl sieje największe spustoszenie. Nie tylko wśród Homalco.

We wrześniu zeszłego roku stan wyjątkowy ogłosiła rada plemienna Nuuchah-nulth (dawniej Nootka), która reprezentuje 14 narodów zachodniego wybrzeża wyspy Vancouver liczących w sumie około 10 tys. osób. „Cała szóstka była w wieku 20-30 lat. To wszystko moi siostrzeńcy i siostrzenice” – opowiadał o sześciu kolejnych ofiarach Simon John, wódz Ehattesaht, jednej ze społeczności Nuuchah-nulth, kanadyjskiej stacji CBC.

W marcu 2024 r. w ich ślady poszły dwa połączone narody Gwa'Sala i Nakwaxda'xw mieszkające na północ od Homalco. Tam w krótkim czasie z powodu zatrucia narkotykami i alkoholem zmarło jedenaście osób. Szuswapowie z kontynentalnej części Kolumbii Brytyjskiej, po tym gdy w ciągu tygodnia musieli pochować pięć osób, które umarły od narkotyków, alarm wszczęli jeszcze w marcu 2017 r.

W cieniu fentanylu

Jak informuje Kanadyjskie Stowarzyszenie Zdrowia Publicznego (CPHA), kryzys związany ze spożyciem opioidów zaostriżyło pojawienie się „bardzo silnych substancji, takich jak fentanyl, w nielegalnych dostawach narkotyków”.

Fentanyl to wytwarzany sztucznie środek przeciwbólowy, 50 razy silniejszy od heroiny i 100 razy od morfiny. Jest łatwy w produkcji, tani i najczęściej podawany doustnie. W Kanadzie jest obecny co najmniej od 1989 roku, ale tąpnięcie nastąpiło mniej więcej dekadę temu wraz z gwałtownym wzrostem liczby zgonów spowodowanych przyjęciem toksycznych substancji.

Fentanyl był masowo przepisywany jako środek znieczulający, zwłaszcza po operacjach – w 2016 r. w Kanadzie wypisano aż 20 mln recept na opioidy! Alkohol i tytoń wciąż zabijają więcej ludzi w Kanadzie niż narkotyki, ale one powodują zgon osób w młodszych wiekach (najwięcej w przedziale 30-49 lat).

Epidemia oczywiście uderza nie tylko w Indian i nie tylko na zachodzie kraju. Zalewa całą Kanadę. Rząd w Ottawie podaje, że od początku stycznia 2016 r. do września ubiegłego roku z powodu narkotyków zmarło 51 tys. obywateli. To szokująca liczba, jeśli się weźmie pod uwagę, że populacja Kanady jest przeszło osiem razy mniejsza niż Stanów Zjednoczonych, gdzie w latach 2021-22 narkotyki zabiły 215 tys. osób – w dwóch na trzy przypadki zabójcą był fentanyl.

Analitycy ze Stanford Network on Addiction Policy (SNAP) w raporcie z marca 2023 r. wskazali, że w najgorszym roku – 2022 – w niektórych prowincjach Kanady odsetek zgonów był równie wysoki, jak w najbardziej dotkniętych tą epidemią częściach USA. Jako przykład podali Kolumbię Brytyjską, bo tam sytuacja jest najgorsza. To na Zachód przede wszystkim trafiają te najbardziej toksyczne środki. Ich ofiarami bywają nie tylko osoby uzależnione, ale także ci, którzy sięgają po tego typu środki okazjennie.

Problem dotyczy nie tylko dużych centrów miejskich, jak Vancouver, ale przede wszystkim odległych, małych społeczno-



PIERWSZE NARODY BIJĄ NA ALARM

**Epidemia, która dotknęła Kanadę,
jest szczególnie okrutna
dla rdzennych mieszkańców kraju.
„Musimy wrócić na Czerwoną Ścieżkę” – przekonują.**

ści, w których prewencja i opieka zdrowotna są ograniczone. Takim obszarem jest okolica miasta Cambell River na wschodnim wybrzeżu wyspy Vancouver, gdzie znajduje się rezerwat Homalco.

Okazuje się, że fentanyl jest szczególnie okrutny dla rdzennych mieszkańców Kanady.

Indianie umierają częściej

Pierwszy raport dotyczący opioidowego kryzysu opracowała w 2018 r. rządowa Kanadyjska Agencja Zdrowia Publicznego (PHAC). Podano w nim, że Kanada – trzydzieste ósme państwo na świecie pod względem wielkości populacji (ok. 40 mln) – jest drugim, jeśli chodzi o liczbę pacjentów, którym przepisano opioidy.

Negatywne skutki przyjmowania narkotyków najsilniej odczuły zachodnie prowincje, czyli te, w których mieszka szczególnie wielu Indian. „Członkowie Pierwszych Narodów byli pięciokrotnie bardziej narażeni na przedawkowanie opioidów i trzykrotnie bardziej narażeni na śmierć z powodu przedawkowania. W Albercie fentanyl był przyczyną większej o 18 proc. liczby zgonów związanych z opioidami wśród ludności Pierwszych Narodów niż wśród ludności spoza Pierwszych Narodów” – czytamy w raporcie.

Obywatele Pierwszych Narodów umierają od pięciu do siedmiu razy częściej niż inni Kanadyjczycy, którzy przyjęli narkotyk. Odsetek zgonów po przyjęciu narkotyku jest dwa razy większy w Kolumbii



• **Vancouver. Ratownicy udzielają pomocy mężczyźnie, który zasłabł na ulicy po zażyciu narkotyków. (5.05.2022). W Kolumbii Brytyjskiej już w 2016 r. z powodu wzrostu zgonów wywołanych przedawkowaniem opioidów, wprowadzono stan zagrożenia zdrowia publicznego** FOT. GARY CORONADO / LOS ANGELES TIMES VIA GETTY IMAGES

Brytyjskiej i Albercie niż średnia w całej Kanadzie – potwierdzają dane SNAP. CPHA podaje, że obywatele Pierwszych Narodów, którzy stanowią 3,3 proc. populacji Kolumbii Brytyjskiej, są ofiarami aż 16 proc. zgonów spowodowanych przyjęciem toksycznych substancji. Raport PHAC informuje, że pacjentom wywodzącym się z Pierwszych Narodów o wiele chętniej przepisywano opioidy niż nie-Indianom. Przeciętny tubylczy pacjent, któremu zaaplikowano ostry środek przeciwbólowy, był też o co najmniej pięć lat młodszy niż inni pacjenci „leczeni” w ten sam sposób. Wygląda na to, że młodych Indian często traktowano jak pacjentów drugiej kategorii, których pozbywano się szybko, wypisując im receptę. **Wydrążeni ludzie** Dlaczego Indianie umierają od narkotyków częściej niż inni? W publikacji z końca stycznia tego roku CPHA wymienia powody bez wdawania się w pogłębione analizy: • kolonizacja, • ogólna trauma, • rasizm. O tym samym mówią tubylczy przywódcy. Na temat konkretnych przyczyn na razie badań nie ma. Można tylko wnioskować pośrednio, przypominając, że historycznie w parze z odbieraniem ziemi i niezależności politycznej grupom indiańskim szło gwałcenie ich kultury, co było destrukcyjne dla tożsamości obywateli.

Epidemia uderza nie tylko w Indian i nie tylko na zachodzie kraju. Zalewa całą Kanadę. Rząd w Ottawie podaje, że od stycznia 2016 r. do września 2024 r. z powodu narkotyków zmarło 51 tys. obywateli

ły te „były największym atakiem na kulturę Pierwszych Narodów. Rodzice byli zmuszani do oddawania swoich dzieci w wieku od sześciu do szesnastu lat do tego typu instytucji totalnej. Szkoły sprawowały nad dziećmi całkowitą kontrolę. Rodzice nie widzieli, jak dzieci dorastają, a pięć pokoleń dzieci nie doświadczało bliskości dorastania z rodzicami”. Zdaniem Kammlera w ten sposób indiańskie dzieci „stawały się własnością instytucji”. Antropolog zauważa też, że szkoły z internatem nie zrealizowały nawet celu, do którego były powołane, czyli asymilacji, ponieważ wcale „nie przygotowały dzieci do życia w społeczeństwie”. Kammler pisze, że jednym z efektów pozbawiania dzieci podmiotowości w szkołach rezydencjalnych było wykształcenie w nich niskiego poczucia własnej wartości, a nawet nienawiści do samych siebie. Przypomina, że w wielu szkołach panowała atmosfera strachu, związana także z wykorzystywaniem seksualnym dzieci. „W tym królestwie strachu dzieci nauczyły się, jak stać się niezauważalnymi i rozwinęły wzorce zachowań wycofania się i rezygnacji”, a ich przejawami są „wysoki poziom uzależnień i narkomanii”. Reporterka Tanya Talaga w książce „Siedem opadłych piór. Rasizm, śmierć i brutalne prawdy o Kanadzie” opisuje tragiczne przypadki niewyjaśnionych zgonów młodych Indian w miejscowości Thunder Bay nad Jeziorem Górnym w latach 2000-II. Szczególnie uderza powszechny wzór zachowań, gdzie podstawą dobrej zabawy i rozrywki jest niezmienne spożywanie olbrzymich ilości alkoholu. Tak jakby inne opcje w ogóle nie przychodziły do głowy młodym obywatelom Pierwszych Narodów.

„Musimy edukować indiańskie rodziny” W raporcie CPHA mowa też o „kryminalizacji używania narkotyków”, która nie tylko nie ogranicza zjawiska narkomanii, ale „zwiększa ryzyko szkód dla zdrowia, śmierci i przenoszenia zakażeń krwio-pochodnych”, ponieważ strach przed stygmatyzacją i ściganiem skłania osoby do przyjmowania narkotyków po kryjomu, bez nadzoru lekarskiego, w niehigienicznych warunkach. Dlatego rząd pozwolił Kolumbii Brytyjskiej wdrożyć – od 31 stycznia 2023 r. – program dekryminalizacji: osoby powyżej 18. roku życia mogą mieć przy sobie, na własny użytek, do 2,5 grama twardego narkotyku (heroiny, fentanylu, kokainy czy metamfetaminy), choć policja często odstępowała od ścigania takich osób już wcześniej. Zamiast kary oferowane są im pomoc i leczenie. Władze Kolumbii Brytyjskiej zaznaczają, że pełne efekty programu będzie można poznać dopiero po kilku latach. Powołują się na przykład Portugalii, gdzie dopiero po pięciu latach funkcjonowania podobnego rozwiązania stwierdzono jego skuteczność w postaci zmniejszenia zakażeń HIV, jak i zgonów spowodowanych narkotykami. O tym, że stygmatyzacja osób sięgających po narkotyki dotyczy także społeczności indiańskich, świadczy wypowiedź Liz Akiwenzie, uzdrowicielki z grupy Nawash w Ontario (to Czipewejowie, którzy w 2023 r. także ogłosili alarm). „Musimy

edukować indiańskie rodziny, braci, siostry, ciotki, wujów, dziadków, rodziców, bo to naprawdę trudna sprawa” – mówi w reportażu Yellowhead Institute, niezależnej instytucji zajmującej się problemami rdzennych społeczności Kanady. Jednak w przypadku wspólnot tubylczych nie jest łatwo o pomoc. Wiele z nich żyje z dala od ośrodków miejskich, na ich ziemiach wciąż brakuje lekarzy, placówek medycznych, a także ośrodków leczenia uzależnień. Darren Blaney, wódz Homalco, mówi, że alarm ogłoszono właśnie w celu zebrania pieniędzy na taką placówkę.

Powrót na Czerwoną Ścieżkę „Nie chcemy już patrzeć na to, jak nasi młodzi umierają od narkotyków i alkoholu” – mówił Blaney. O problem obwiniał wspomnianą instytucję szkół rezydencjalnych, która „wywrzuciła olbrzymie szkody”. „Epidemia toksycznych narkotyków to bezpośrednia konsekwencja polityki kolonialnej, która rozbiła rodziny, stłumiła kulturę i pozostawiła trwale blizny na tubylczej ludności” – oświadczenie takiej treści przekazały kanadyjskim mediom władze społeczności. Blaney ocenił, że jedynym sposobem zerwania ze spustoszeniem, jakie poczyniły szkoły rezydencjalne, jest powrót na „Czerwoną Ścieżkę”. Stwierdził, że pomocne w odejściu od uzależnienia mogłoby być „uczestnictwo w języku, kulturze i ceremoniach, które przyniosłyby wzmacnienie naszym młodym, tak żeby ich życie stało się szczęśliwsze i pełniejsze”. John Rampanen, który w grupie Aho-usaht zajmuje się rewitalizacją rodzimego języka, mówi w rozmowie z „Vancouver Sun”, że najważniejsze, aby rdzenni mieszkańcy „odzyskali kontrolę nad swoim dobrostanem”. Wyjaśnia, że nie wystarczy wskazać na narkotyki i alkohol jako główny problem. „Kiedy patrzymy na szersze aspekty traumy międzypokoleniowej, zaczynamy rozumieć, że chodzi tu o utratę sprawczości. Straciliśmy możliwość tworzenia własnego planu na przyszłość, żeby samym móc dbać o nasze zdrowie i dobrobyt” – dowodzi.

„Nasi młodzi stracili nadzieję” „Nasi młodzi stracili nadzieję. Wciąż próbują dopasować się do dwóch światów. Dorastają w przekonaniu, że jako tubylcy nie jesteśmy wystarczająco dobrzy, wystarczająco inteligentni, że nie możemy być jak biali ludzie” – mówi Liz Akiwenzie. I przekonuje: „Nie musimy być tacy jak oni, ponieważ mamy to, co należy do nas, czyli nasze pieśni i nasze tańce, nasze leki, nasze obrzędy i nasz sposób uzdrawiania i dochodzenia do siebie”. Narkotyki określa mianem „wrogiej magii” (bad medicine), która przenosi ludzi w ciemność. Czy Pierwsze Narody, którym kolonizacja przetręcała karki, odnajdą w sobie siłę, by ponownie wejść na Czerwoną Ścieżkę? ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Bartosz Hlebowicz

• W dziale zagranicznym „Gazety Wyborczej” od 2017 r. Korespondent z Włoch, zajmując się miejscową polityką, uchodźcami, Watykanem. Drugi obszar zainteresowań to sprawy rdzennych mieszkańców Ameryki Północnej, o których napisał pracę doktorską „Odnaleźć nasze prawdziwe ścieżki” (2009). Absolwent wydziału etnologii na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Już się nie liczą kobalt i złoto

Finanse to system relacji międzyludzkich i między ludźmi a środowiskiem, gdzie medium są właśnie pieniądze. Pieniądze zmieniają te relacje. Pokazujemy, jak to się działo na przestrzeni 5 tysięcy lat.



• „Celnicy” (1525-30)
Inne tytuły to „Skąpcy” lub „Poborcy podatkowi”. Obraz Quentina Massysa (1465-1530), malarza z Antwerpii, który był uważany za świetnego portrecistę. Obecnie w Muzeum Sztuki w Liechtensteinie

FOT. DOMENA
PUBLICZNA

**Z PROF. DARIUSZEM WÓJCIKIEM* Z
NARODOWEGO UNIWERSYTETU SINGAPURU
ROZMAWIA PATRYCJA MACIEJEWICZ**

Co mają wspólnego pieniądze i geografia?
– Pieniądze – a szerzej mówiąc finanse – są funda-
mentalnie zjawiskiem geograficznym.

W jakim sensie?
– Finanse to system relacji międzyludzkich i między
ludźmi a środowiskiem, gdzie medium są właśnie
pieniądze, które je zmieniają.
Nasze relacje w domu zazwyczaj nie są oparte na
finansach, ale przecież zdarzają się rodzice, którzy
płacą dzieciom za wyniki w szkole. Przyroda? Możemy
przecież policzyć, ile drzewo produkuje tlenu, ile
absorbuje dwutlenku węgla i na tej podstawie okre-
ślić finansowy wymiar tej „produkcji” – poprzez re-
lację do certyfikatów do praw emisji dwutlenku wę-
gla.

Chciałem pokazać, jak pieniądze te wszystkie re-
lacje kształtują oraz że są podstawowym elementem
życia, a nie tylko gospodarki i wreszcie, że są bez
dwóch zdań zjawiskiem geograficznym, które trzeba
przedstawiać na mapach i wizualizować.

**Wydaleś więc „Atlas of Finance” w Yale Universi-
ty Press.**

– Studiowałem geografię i lubiłem atlasy, ale też fa-
scynują mnie finanse – jak działają i jak wpływają na
całą gospodarkę i społeczeństwo. Gdy przed prze-
szło 10 laty rozmawiałem z wydawnictwami o swo-
im pomysłcie, pytano mnie: „Jaki to będzie atlas? Kon-
tynent po kontynencie na mapach?”. A ja mówi-
łem: „Nie, nie. To byłoby nudne”. I wyjaśniałem, że
mój atlas pokaże zjawiska finansowe w sposób, w ja-
ki nie były one nigdy wcześniej pokazane, zaprezen-
tuje rzeczy, o których większość ludzi ani ekspertów
nie wie.

„Atlas” powstał też dlatego, że uważam, iż ekono-
mia i ekonomiści nie mogą sobie „przywłaszczyć” fi-
nansów i uważać się za jedynych specjalistów w tej
dziedzinie. A często to robią.

Ekonomiści zawłaszczają finanse?

– Owszem. Jak można zdobyć uznanie za wymyśla-
nie nowych teorii finansów? Tylko poprzez nagro-
dę, nie tę tradycyjną – Nobla – tylko tę przyznawa-
ną przez Bank Centralny Szwecji w dziedzinie ekono-
mii. Ale socjolog, geograf, antropolog czy historyk
właściwie nie może dostać Nobla z ekonomii.

Nasz atlas nie jest antyekonomiczny, ale po pro-
stu geograficzny. Wraz z moimi współautorami po-
kazujemy, jak finanse od samego ich zarania ewolu-
owały.

**To zacznijmy od zarania. Gdzie się to wszyst-
ko zaczęło?**

– Pieniądze powstały w momencie, kiedy ludzie już
handlowali, wymieniali się towarami i usługami
w formie barteru. Zdali sobie jednak sprawę, że ła-
twiej by im się wymieniało, gdyby istniało coś po-
średniego do wymiany. Coś, w czym można by było
liczyć wartość innych produktów na rynku. Każde-
go innego produktu. I to mogły być muszcelki, suszo-
ne ryby itp.

Później do obrotu weszły też kamienie szlachet-
ne, ale one zawsze były wartościowe, więc używano
ich tylko w dużych transakcjach. Do tych małych po-
trzebne było coś tańszego, prostszego.

Początek rozliczeń można znaleźć w Mezopota-
mii, w Sumerii, gdzie ponad 5 tys. lat temu na tabli-
cach glinianych zapisywano najstarsze transakcje fi-
nansowe świata.

Na najstarszej tabliczce jest transakcja, która mó-
wi o dostawie 133 tys. litrów jęczmienia na produk-
cję piwa w browarze przez okres ponad trzech lat.
I jest podpis osoby, która nosi najstarsze imię kie-
dykolwiek zapisane w historii – nie Adam, nie Ewa,
ale Kushim.

Z innych tablic wiemy, że to był księgowy i kapłan
w jednej osobie. Pracował w ziggurat – sumeryjskiej
świątyni – gdzie w podziemiach magazynowano
zboże. Świątynie były bezpiecznym miejscem do ta-
kich celów. Tam przyjmowano też złoto do płatności
hurtowych za duże dostawy zboża, np. jęczmienia.
Z kolei piwo było wówczas głównym napojem, nie
psuło się zbyt szybko, było bezpieczniejsze niż woda.

Zapis ten jest jednocześnie transakcją finanso-
wą, księgową i prawną. I o tym też jest „Atlas”: fi-
nansów nie da się oddzielić od prawa i księgowości, któ-
ra w ogóle jest integralną ich częścią.

W przypadku z Mezopotamii nie mówimy tyl-
ko o jednej tabliczce – co ciekawe, miała ona rozmiar

zbliżony do dzisiejszych smartfonów – ale o całym sys-
temie powiązanych z nią tabliczek. Na innych tablicz-
kach są np. mapy pól i szacunki, ile można zebrać
z nich jęczmienia. Nie można było przecież podpisać
transakcji na trzy lata do przodu, jeśli nie oszacowało-
by się, ile dostawcy mogą tego jęczmienia zebrać.

Na innych tabliczkach było zapisane, ile płatno-
ści i dla kogo w złocie czy innych szlachetnych meta-
lach za jęczmień się należy. A więc jest to transakcja
na przyszłość. Skomplikowany instrument finanso-
wy, ale też najstarszy dokument finansowy na świe-
cie, na którym widnieje pisany język i zapisane licz-
by. To jest ta wiązka innowacji, dzięki której wiemy,
na kiedy możemy datować początek finansów. Gdy
powstało pismo, to powstały też pisane liczby.

Finanse nie były wynalazkiem nieuniknionym.
Np. cywilizacja aborygeńska w Australii nie rozwi-
nęła nigdy finansów i przez 5 tys. lat funkcjonowała
bez nich. Mieli barter, handel na skalę kontynental-
ną, ale nie rozwinęli pisma i znacznie skromniej li-
czenie. Używali za to mapy, rysowali różne trasy na
glinie, w jaskiniach i na kamieniach.

„Atlas” powstał też dlatego, że uważam, iż ekonomia i ekonomiści nie mogą sobie „przywłaszczyć” finansów i uważać się za jedynych specjalistów w tej dziedzinie. A często to robią

Wynika z tego, że finanse powstały w ramach cy-
wilizacji eurazjatyckiej, która później staje się cywi-
lizacją zachodnią.

W podręcznikach ekonomicznych można prze-
czytać, że najpierw był barter, ale ponieważ był nie-
wydajny, to został zastąpiony wynalazkiem pie-
niądza. A to nie jest do końca tak. Finanse przede
wszystkim zostały wymyślone jako sposób organiza-
cji społecznej. Cywilizacja sumeryjska mogła się roz-
winąć tylko dlatego, że rozwinęła finanse. Że moż-
na było w ten sposób ściągać zboże ze wsi, mobilizo-
wać produkcję, wytwarzać na dużą skalę piwo i inne
dobra dla miasta. I dzięki temu miasto Uruk w sta-
rożytniej Sumerii już ponad 5 tys. lat temu liczyło od
30 do 50 tys. mieszkańców. To jedno z najstarszych,
być może najstarsze miasto w historii świata. I od
razu centrum finansowe, bo podobne lub bardziej
jeszcze skomplikowane transakcje odbywały się ru-
tinowo.

**A skąd się wzięła globalizacja finansowa? Kiedy
finanse stały się międzynarodowe?**

– Międzynarodowe były już w Mezopotamii, bo pla-
cono za drewno z Persji i produkty z innych części
Bliskiego Wschodu.

Natomiast globalizacja finansowa zaczęła się
w jednym z najbardziej odizolowanych miejsc na
świecie. To miasto Potosi w dzisiejszej Boliwii. Tam
w XVI w. konkwistadorzy hiszpańscy z pomocą lo-
kalnych Indian natknęli się na najbogatsze złoża sre-
bra, jakie kiedykolwiek w historii odkryto. Złoża by-
ły zlokalizowane wokół jednej góry – także nazywa
się Potosi, można to miejsce dziś zwiedzać. Przez
200 lat stamtąd pochodziła połowa srebra na świe-
cie. Indianie wcześniej o tym wiedzieli, ale nie prze-
twarzali tej rudy. A Hiszpanie urządzili tam na wiel-
ką skalę nie tylko wydobywanie, ale i rafinowali to sre-
bro przy użyciu trującej rtęci. Rtcę najpierw sprowa-
dzano z innych części Ameryki, a później też z Euro-
py, a srebro wysyłano na cały świat. Potosi było więc
połączone już pod koniec XVI w. ze wszystkimi kon-
tynentami, poza Antarktydą i Australią, bo jeszcze
nie znano tych kontynentów.

**Ale przecież Medyceusze rozwinęli swój han-
del wcześniej.**

– Tak, Potosi było już po Medyceuszach, którzy han-
dlowali z Europą, trochę z Azją, z północną Afryką,
ale nie z resztą Afryki czy z Amerykami, bo to działo
się przed Kolumbem. Potosi miało zasięg globalny.
I to na ogromną skalę.

Potosi zresztą było największym i bardzo bo-
gatym miastem przez 200 lat w obu Amerykach.

Mieszkało tam 150 tys. ludzi. A dzięki temu, że było
bogate, to sprowadzano tam najdroższe rzeczy. Ma-
teriały, ubrania, meble, porcelanę z Chin, przyprawy
z Indii. Handel odbywał się na całym Pacyfiku, na
Oceanie Indyjskim i Atlantyckim. Mnóstwo srebra
wywożono przez Sewillę do Europy, Hiszpania rzą-
dziła wtedy tą częścią świata. O tym, że możemy mó-
wić o prawdziwej globalizacji, świadczy też fakt, że
do Potosi sprowadzano niewolników z Afryki. Zresz-
tą hiszpańska waluta, real, produkowana właśnie ze
srebra z Potosi, była walutą światową od końca XVI
aż do połowy XIX w.

Co to znaczy walutą światową?

– Najbardziej popularną, najbardziej pożądaną – tak
jak dziś dolar amerykański.

**Czyli real był używany także w rozliczeniach
innych krajów?**

– Tak. To był symbol wartościowego pieniądza. Kie-
dy Brytyjczycy wprowadzali w Australii własny pie-
niądz na początku XIX w., to po prostu zrobili dziu-

ry w srebrnych realach hiszpańskich i nazywali te
monety dziurawym dolarem.

Czy definicja pieniądza jest jedna?

– Akurat pieniądze zawsze były dobrze zdefiniowa-
ne. To jest każda rzecz – zarówno namacalna, jak
i nienamacalna, jak cyfrowy zapis – która służy do
trzech celów. Po pierwsze: do płatności za dobra
i usługi, po drugie: do liczenia wartości wszystkie-
go innego, i po trzecie: do oszczędzania, bo można
w nich przechowywać wartość na przyszłość.

Im coś lepiej spełnia naraz te trzy funkcje, tym
jest lepszym pieniądzem. Ale pieniądzem może być
prawie wszystko. Mogę napisać na karteczce, że je-
stem winny jej okazicielowi dobra i usługi o war-
tości 1000 zł. Gdybym był najwiarygodniejszą oso-
bą na świecie to, Patrycj, możesz wziąć tę kartecz-
kę i nią płacić. Bo wszyscy wiedzą, że mogą wrócić
z nią do mnie i ja wymienię tę karteczkę na złotówki
albo na równowartość w dolarze.

Pieniądze można stworzyć bardzo prosto, lu-
dzie o tym wiedzieli od zarania dziejów. Ale pieni-
ądze jeszcze nam nie definiują finansów. Pieniądz to
jest narzędzie.

**Historia ekonomiczna wiąże się nie tylko z geo-
grafią, ale także z odkryciami, z ekspansją,
z przepływem kapitału. Czy były w niej jakieś
konkretne punkty zwrotne?**

– Pierwszym takim momentem jest samo wynale-
zienie finansów. To jest dla mnie moment nieodwra-
calnego rozwoju.

Sumerowie rozwinęli swoją cywilizację, bo rozwi-
nęli finanse. Użyli pieniędzy, żeby zarządzać rozwo-
jem rolnictwa. Ich tablice gliniane, jak mówiliśmy,
miały rozmiar dzisiejszych telefonów komórkowych,
więc były łatwe do przechowywania. Stworzono też
cały system weryfikacji tych tabliczek, który bardzo
przypomina założenia systemu blockchain.

Niemożliwe!

– Najzupełniej. Nie było łatwo podrobić taką tabliczkę,
bo po pierwsze: często było wiele kopii u różnych stron
transakcji, a po drugie: informacje na tych tabliczkach
były ściśle powiązane z informacjami na innych ta-
bliczkach. Żeby sfalszować jedne, trzeba byłoby złamać
cały ten system i zmienić wszystkie dane z tabliczek.

Na tym polegają dziś najnowsze pomysły kryp-
tografii, żeby informacja, np. finansowa, była wszę-
dzie, jednocześnie aktualizowała się na każdym
komputerze. Najnowocześniejsze projekty mają du-
żo wspólnego z historią. Dlatego warto ją odkrywać
i ilustrować.

Drugi moment przełomowy to powstanie centrów finansowych. System finansowy opiera się na zaufaniu, ale niezbędne są do tego nie tylko kontrola, ale i tolerancja. Choć Hiszpanie swego czasu produkowali wspomniane reale, czyli najcenniejszą walutę światową, to nigdy nie rozwinęli wielkiego centrum finansowego ani gospodarczego. Sewilla nie uzyskała takiego statusu, bo w tamtych czasach, po wyzwoleniu się z islamu i przejściu władzy nad Półwyspem Iberyjskim, Hiszpania zaprowadziła nietolerancyjny reżim oparty na religii katolickiej i strzeżony m.in. przez takie instytucje jak inkwizycja.

A finansami często zajmowały się mniejszości, m.in. żydowska, armeńska, w starożytności Fenicjanie.

Byli taką siecią neuronową.

– Mieli po prostu sieci handlowe, ale też bardzo ograniczony dostęp do innych profesji. Nie mogli posiadać ziemi, służyć w wojsku. To finanse były obszarem, w którym mogli funkcjonować. Poza tym religia katolicka długo zabraniała pożyczania na procent, to była lichwa. Mniejszości niekatolickie, niechrześcijańskie nie miały takiego ograniczenia. Dlatego wyspecjalizowali się w tym m.in. Żydzi w północnych Włoszech.

A ponieważ najpotężniejsze jeszcze w XVII w. państwo nie tolerowało mniejszości, to stopniowo przenosiły się one w inne, bardziej przyjazne miejsca. Niektórzy do Antwerpii – miasta wielkości Poznania w dzisiejszej Belgii, które było centrum finansowym świata już w XVI w.

To było miasto tolerancyjne, a do tego miało duży port. Dlatego Antwerpia była taką bezpieczną przystanią dla handlarzy i w ogóle ludzi myślących. Tam obracano dolarami hiszpańskimi [srebrna moneta wartości 8 realów] i innymi instrumentami finansowymi, kiedy przeladowywano ładunki i ubezpieczano eskapady. Żadne z odkryć geograficznych i podbojów kolonialnych nie mogły się odbywać bez ubezpieczeń. Zresztą, nawet niewolnicy na statkach byli przedmiotem ubezpieczenia.

Miasto tygiel.

– To w Antwerpii powstał najstarszy atlas świata, „Theatrum Orbis Terrarum”, czyli teatr świata. Twórcą był Abraham Ortelius. Nie mógł zresztą powstać gdzie indziej, bo to tam były pieniądze, przepływ wiedzy i zapotrzebowanie na taką publikację. Handlarze chcieli wiedzieć, co się dzieje w innych częściach świata, jak wyglądają kontynenty, co tam można kupić, sprzedać. Była technologia – pełno domów drukarskich, a przez miasto przewijali się utalentowani artyści, jak niemiecki grafik Albrecht Dürer.

Ortelius rozmawiał z takimi ludźmi jak Gerard Merkator, flamandzki matematyk i geograf, twórca siatki odwzorowania kartograficznego, która pod wieloma względami bardzo dobrze pokazywała świat, zwłaszcza dla celów żeglugi i nawigacji.

To Ortelius jako pierwszy zaobserwował, że zachodni i wschodni brzeg Atlantyku pasują do siebie jak dwa elementy układanki, choć przez setki lat nikt nie wiedział, co z tym zrobić. Dopiero 350 lat później niemiecki naukowiec Alfred Wegener udowodnił to empirycznie i teorią ruchów tektonicznych, że faktycznie był to jeden superkontynent. Dla mnie to jest piękna historia o tym, że musimy wizualizować, musimy tworzyć mapy, sami nawet nie wiemy, kiedy wyniknie z nich coś, co ma ogromne znaczenie. Może nawet nie za naszego życia.

Wróćmy do tych momentów przełomowych.

– Rozwój Antwerpii pokazuje, że centra finansowe nie powstają tylko drogą konkurencji, że jedno upada, drugie rośnie, składają się na nie też migracja kapitału, wiedzy, ludzi.

Gdy Hiszpanie walczyli o większe wpływy, Habsburgowie najechali Flandrię, wy-



FOT. DOMENA PUBLICZNA

• **Pieter Bruegel Młodszy (1564-1638)**
„Płacenie dziesięciny” albo „Poborca podatkowy (1616-17). W 2019 r. na aukcji w Londynie sprzedany za ok. 671 tys. funtów

Wielkich kryzysów finansowych było w historii z tysiąc. Zawsze pojawiają się w jednym momencie: gdy jesteśmy przekonani, że wyszliśmy na prostą i można odetchnąć

buchła wojna. Finansiści przenieśli się więc do Amsterdamu, który w XVII-XVIII w. wyrósł na największe centrum finansowe. A później, po najeździe z kolei armii napoleońskiej na Niderlandy, pod koniec XVIII w., finansiści zaczęli przenosić się do Londynu jako bezpiecznego miejsca. Wreszcie, m.in. ze względu na wojnę, ale też na zmiany gospodarcze, wielu zamieniło Londyn na Nowy Jork. Do niedawna ten kierunek migracji prowadził do Szanghaju, choć w tej chwili ze względu na spory geopolityczne nie jest już tak oczywiste.

Przy czym nowe centra finansowe zawsze są bardziej przedłużeniem poprzednich niż jakimś alternatywnym miejscem. Jedno centrum przyczynia się do tworzenia drugiego.

Czy kryzysy finansowe nie są takimi momentami przełomu?

– W „Atlasie” mamy mapę, która pokazuje wszystkie poważne kryzysy finansowe świata od roku 1600, których przez ten czas nazbierało się około tysiąca. I wszystkie mają wspólny mianownik – nadmierne kredyty. I nieważne, czy zapożyczają się państwa, rządy, firmy, czy gospodarstwa domowe.

Żadne z przenosin i ewolucji kolejnego centrum finansowego świata – Antwerpia, Amsterdam, Londyn, Nowy Jork – nie były spowodowane kryzysem. Przeciwnie, gdy w 1929 r. nastąpił wielki krach na giełdzie nowojorskiej i później Wielka Depresja, to nie zaszkodziło to pozycji Nowego Jorku jako centrum finansowego. Waga, znaczenie gospodarki amerykańskiej, a później polityki amerykańskiej było decydujące.

Mniej więcej połowa kryzysów z tego tysiąca miała miejsce przed 1950 r., a druga połowa to ostatnie siedemdziesiąt parę lat.

Jaka jest mechanika kryzysu finansowego?

– Kryzysy zawsze pojawiają się wtedy, gdy przeważa przekonanie, że wyszliśmy na prostą, że mamy spokojniejszy moment i można odetchnąć. I że już mamy dostateczną wiedzę i technologię, że banki to się same regulują... – to jest najlepszy moment, żeby się spodziewać następnego kryzysu.

Im gospodarka większa, im bardziej powiązana, zglobalizowana i skomplikowana, tym więcej jest kryzysów finansowych. Bo tym łatwiej można przeszacować inwestycje w danym kierunku czy wartość jakiegoś rodzaju inwestycji i aktywów, im więcej jest interakcji, relacji finansowych.

Co zatem znaczy wojna dla finansów?

– Wojny i zagrożenie zawsze wpływały na lokalizację centrów biznesowych. Jeszcze przed Antwerpią znaczenie miały włoskie miasta – Wenecja, Florencja, Genua. Gdy Imperium Osmańskie zajmowało stopniowo Bliski Wschód, a później w połowie XV w. zajęli Konstantynopol, to odebrało miastom włoskim – głównie Wenecji, która miała swoje imperium handlowe we wschodniej części basenu Morza Śródziemnego – możliwość kontroli nad handlem z Azją, z Chinami, z Indiami. Przejęli ją Turcy i Arabowie. To doprowadziło do powolnego upadku Wenecji.

Zanim się to jednak stało, Wenecjanie wymyślili obligacje. To jeden z efektów wojny. Żeby odbić od Turków wyspy greckie i ostatecznie odebrać Konstantynopol, Wenecja chciała stoczyć wojnę z Turkami. Była na tyle mocna gospodarczo i finansowo, że mogła próbować. Ale flotę miała niewielką. Więc zaczęto zastanawiać się, jak zebrać pieniądze od bogatych Wenecjan na jej budowę. Władcy oczywiście nie chcieli podburzać poddanych nowymi daninami, wymyślili więc, że pożyczą pieniądze, a jak wojnę państwo wygra, to odda dług z procentem. Kwoty zebrano potężne, ale flota przegrała starcie z Turkami, nie odbiła Konstantynopola.

Wojna jest też oczywiście biznesem dla niektórych sektorów. I zmienia układ globalnych finansów. O tym się często zapomina, że kraje muszą się zapożyczać wewnętrznie – to są te obligacje wojenne, które na całym świecie są używane w razie wojny – ale też na zewnątrz, bo pieniądze krajowe szybko się wyczerpują.

Północ wygrała z Południem w wojnie domowej w USA w dużej mierze ze względu na siłę finansową. Tam były główne ośrodki finansowe, więcej banków angielskich organizowało pożyczki dla rządu Północy. A spłacanie wielkich długów zagra-

nicznych w latach powojennych przyczynia się w dużym stopniu do zmiany układu geograficzno-financego na świecie po wojnie. Tak było m.in. z Wielką Brytanią, która po II wojnie światowej miała gigantyczny dług, który przez lata spłacała.

Rynki finansowe mogą być też używane do dezinformacji. W czasie planowania otwarcia frontu zachodniego, amerykańsko-alianckiego, w czasie II wojny światowej było kilka miejsc, w których Niemcy mogli spodziewać się ataku. Alianci robili wszystko, by przekonać wroga, że nie będzie to Normandia. Anglicy z Amerykanami głowili się, jak użyć rynków finansowych, które cały czas działają, by przekonać Niemców, że celem będzie Norwegia. Żeby z norweskimi instrumentami finansowymi stało się coś, co by sugerowało jakiegoś przeciwnika, że tam będzie atak.

Jakie trendy mamy na rynkach finansowych dzisiaj? Coraz więcej się mówi o próbach detronizacji dolara.

– Udział dolara w stosunku do innych walut nie ma silnego trendu spadkowego. Pozycja waluty chińskiej jest wciąż ogromnie słaba. Wprawdzie co chwila słyszymy, że Chińczycy namówili jakiś kraj, żeby faktury międzynarodowe wystawiano w renminbi [oficjalna waluta ChRL, której podstawową jednostką jest yuan], ale to są małe rzeczy w stosunku do światowych finansów. 80 proc. transakcji walutowych na świecie rozlicza się w dolarze amerykańskim. I czy ten udział się zmienił przez ostatnie 30 lat? O parę procent. Minimalnie. Obecnie Trump z jednej strony chce słabszego kursu dolara w stosunku do innych walut, żeby poprawić bilans handlowy Stanów Zjednoczonych, ale z drugiej nadal chce dolara jak najbardziej wpływowego.

Teraz Rosja została trochę przymuszona, by rozliczać się w yuanie.

– Zgoda. Ale ta gospodarka jest mała, nie zdajemy sobie z tego sprawy. Na mapie Rosja jest duża, ale jej gospodarka jest mniejsza od włoskiej. Jest ułamkiem gospodarki światowej. Niektóre transakcje, np. związane z surowcami, mogą być ważne, ale w skali światowej i tak błędne.

Za to zmienia się sytuacja, jeśli chodzi o sankcje finansowe. Stają się one powszechnym sposobem wywierania wpływu. W tej chwili są dziesiątki krajów na świecie objęte różnymi sankcjami finansowymi.

Ale nie mówisz tutaj o cłach Trumpa?

– Nie, to są cła handlowe, osobna kategoria. Ja mówię o ściśle finansowych sankcjach, czyli np. zablokowaniu krajowi dostępu

do dolara amerykańskiego poprzez uniemożliwienie dostępu do światowego systemu płatniczego.

Głównym celem sankcji finansowych są cały czas kraje afrykańskie. Afryka staje się coraz ważniejsza, tylko my jeszcze tego nie widzimy w Europie, w Ameryce. W Afryce są duże rezerwy minerałów do produkcji baterii elektrycznych, ale też duża przedsiębiorczość. Kryzysy afrykańskie będą miały coraz większy wpływ na stabilność finansową świata.

Sankcje finansowe mogą stać się głównym źródłem przesunięcia się wpływów finansowych z Ameryki do Chin i do Azji. One powodują, że kraje, które nie są tak całkowicie związane politycznie ze Stanami Zjednoczonymi – np. Singapur – chcą się uniezależnić od dolara amerykańskiego. Po to, by w razie zamieszania międzynarodowego i dyplomatycznej rozgrywki (np. w sytuacji, gdyby USA wymuszały nałożenie sankcji na kogoś) mieć wyjścia alternatywne.

Singapur jako wiodące centrum finansowe w Azji nie odsunie się od dolara, ale jednocześnie chce mieć plan B. I już uruchamia systemy płatnicze z resztą regionu. Nie przechodzą od razu na walutę chińską, ale przygotowują infrastrukturę technologiczną i polityczną, żeby w razie czego handel, np. azjatycki, mógł przenieść się na inną walutę szybko i bezboleśnie.

Dużo mówiliśmy o centrach finansowych kiedyś. A jak one się zmieniają teraz?

– Coraz większe znaczenie mają dla nich technologie, m.in. kryptowaluty, które są reklamowane jako zdecentralizowane systemy finansowe, ale też aplikacje płatnicze, fintechy.

Tylko uwaga, bo z jednej strony te „demokratyczne, zdecentralizowane i niewy-

magające kontroli” finanse – czyli np. giełdy kryptowalut – lokowane są tam, gdzie nie ma nad nimi kontroli, np. na Seszelach. Ale z drugiej dla ich powstawania ważne są ośrodki silne finansowo i technologicznie, czyli Londyn, Nowy Jork, Dolina Krzemowa.

Decentralizacja w sensie gospodarczym i geograficznym w ogóle nie jest prawdziwa. Na mapie świata nowe technologie, w tym technologie krypto, w ogóle nie prowadzą do decentralizacji finansów, ich „udemokratyzowania”. One wręcz powodują, że główne centra finansowe stają się jeszcze ważniejsze, bo kontrolują nie tylko finanse, ale też technologie, które zwiększają potencjalnie rolę finansów. I zgodnie z zasadą ekspansji wyrastają nowe centra obok tych ważnych od zawsze – tak jak obok Nowego Jorku wyrosła Dolina Krzemowa.

Zresztą pamiętaj, że miastem, które najmniej ucierpiało na kryzysie finansowym w Stanach w 2009 r., był Nowy Jork, choć przecież kryzys zaczął się właśnie tam. To peryferie płacą za kryzys, bo nie mają elastyczności, nie rozdają kart, są zależne od jakiegoś rodzaju przemysłu czy konkretnego produktu, na który popyt może spaść dramatycznie.

Produktem, który teraz wymyka się tej logice, bo jest na niego potężny popyt, są surowce krytyczne, w tym metale ziem rzadkich. Mangan, miedź, nikiel, lit, magnez – geografia tych metali jest inna niż geografia paliw kopalnych. Nie ma ich na Bliskim Wschodzie, nie ma ich tak dużo w Rosji. Są w Chinach, ogromne złoża są w Australii, Afryce i Ameryce Południowej. W krajach, które do tej pory nie znaczyły wiele w handlu światowym, takich jak Kongo czy Chile. Indonezja ma największe złoża niklu na świecie, odpowiada za połowę światowej produkcji.

Geografia pośrednictwa finansowego dotyczącego tych metali dopiero się usta-

la. Londyn ma największą giełdę metali na świecie. To najczęściej stamtąd pochodzą ceny surowców. Ale rośnie mu konkurent. Singapur marzy, żeby stać się łącznikiem na rynku metali. Jest blisko Chin, jest dobrze połączony z giełdą londyńską, blisko geograficznie są też Indonezja, Filipiny, Australia. Ma potężne kontakty w tych krajach i wiedzę, więc chciałby odebrać Londynowi rolę w ustalaniu cen tych metali.

To byłoby rozwiązanie na główny problem Azji – że cały czas większość cen ustalana jest w Londynie i w Nowym Jorku. Oni tańczą, ale muzyka gra w Londynie i Nowym Jorku. A Singapurczycy chcą grać swoją muzykę, ustalać własne ceny. Bo z czym to się wiąże? Nie chodzi o manipulowanie, ale bycie ośrodkiem centralnym, centrum wpływów, przewagę w sytuacji spięć politycznych.

Co będzie surowcem przyszłości?

– Energia i infrastruktura. Sztuczna inteligencja i budowanie centrów danych zmienia bardzo dużo na mapie potrzeb energetycznych.

Tuż za tym jest cały system połączeń i kabli w światowej infrastrukturze. Następnie systemy satelitarne przesyłu danych, tu już się zaczyna wyścig. Coraz więcej infrastruktury jest w kosmosie, to są choćby satelity obserwacyjne, które dostarczają danych na temat użytkowania terenu, pogody, dzięki czemu można lepiej wycenić ubezpieczenia. Firmy ubezpieczeniowe liczą na te dane, bo mogą z większą precyzją określić, ile mamy zapłacić ubezpieczenia za dom, w zależności od tego, czy huragan będzie szaleć na Filipinach albo zaleje dom we Wrocławiu.

Dla tych satelitów sektor finansowy jest jednocześnie głównym inwestorem i głównym klientem.

Przez całą historię świata rozwój technologii ściśle wiąże się z rozwojem finansów, bo głównym inwestorem w najnowsze technologie jest prawie zawsze sektor finansowy. Zwłaszcza technologie informacyjne.

Obecnie ponad 80 proc. satelitów jest we własności Chin i USA. Więc w kosmosie mamy dokładne odzwierciedlenie sytuacji geopolitycznej na Ziemi.

Kosmos staje się sceną, na której rozgrywa się przyszłość finansów. I niestety, Europa z tej rozgrywki właściwie wypadła. ●



FOT. JOHN CAIMS

***Prof. Dariusz Wójcik**

• jest profesorem geografii finansowej na Narodowym Uniwersytecie Singapuru, honorowym pracownikiem naukowym Uniwersytetu Oksfordzkiego oraz redaktorem naczelnym czasopisma „Finance & Space”. Został uhonorowany w tym roku Nagrodą Murchisona za najwartościowsze badania geograficzne ostatnich lat przyznawaną przez Królewskie Towarzystwo Geograficzne (Royal Geographical Society). Jedynymi Polakami, którzy otrzymali ją wcześniej, byli Henryk Arctowski (w 1900 r. za badania Antarktydy) i Maria Czaplicka (w 1920 r. za badania Syberii Północnej). Jego „Atlas of Finance” wygrał nagrody za najlepszą książkę w dziedzinach ekonomii, geografii i edukacji, jak i najlepsze wykonanie graficzne. Zostanie wydany jesienią w Polsce przez wydawnictwo Sonia Draga.

REKLAMA

Kraj/34377353

radio

ZET

POBIERZ

SŁUCHAJ RAZEM Z NAMI

Julia Budka

Iamiast zielonego blatu na czterech nogach jest wirtualny stół na ekranie komputera. Można jednak przy nim zarobić zupełnie realne pieniądze. Prawdziwi są również krupierzy i krupierki w sieciowym kasynie. Problemy w pracy też miewają boleśnie rzeczywiste. Po której stronie stołu staniesz?

Nikodem zaprasza do wydzielonej części salonu. Tej z biurkiem i dwoma wielkimi monitorami. Na blacie mikrofon i słuchawki, a w tle ogromne głośniki na statywie. – Bez muzyki nie gram, a poza pokerem tańczy i śpiewam – mówi.

Na ekranie pikselowa grafika stołu, przy nim ikony dwóch graczy. – Rzadko gram większe stoły. Tutaj idzie szybko i nie ma niepotrzebnego czekania.

– I tak prowadzisz więcej niż jedną rozgrywkę jednocześnie, więc co za różnica? – zastanawiam się.

Okazuje się, że znaczna, bo liczba graczy jest jednym z ważniejszych czynników dla rachunku prawdopodobieństwa. Ale że ich lista wydaje się nie mieć końca, choć bardzo się staram, niewiele rozumiem. Wpatrując się więc w czerwone kółeczko, zielony trójkąt, niebieski kwadrat i inne kolorowe figury przypisane do listy nicków po prawej stronie ekranu, zmieniam temat.

– Tak, teraz pokerowi podporządkowuję cały swój dzień – odpowiada Nikodem. – A zaczęło się od brydża w liceum i oczka na grosze. Jak ziomek chciał nas nauczyć grać w pokera, to byłem pierwszym, który od tego pomysłu odciągał. Ale na moje: „Ej, nikt nie umie w to grać. Zróbmy coś innego”, dostałem wymowne spojrzenie. Zamknąłem więc buzię i potulnie słuchałem reguł, które ogarnąłem... w dwie minuty. Później były niewinne partyjki ze znajomymi i internetowe gierki na żetony.

Przez pół roku grałem za darmo, w okolicy osiemnastki wpłaciłem pierwsze pieniądze. To było dekadę temu, za grę płaciłem maksymalnie dolara. Choć bywało, że do stołu mogłem dołączyć nawet za 2 centy.

W Polsce to coś złego. Nie ma przestrzeni na zarabianie dużych kwot w legalny sposób. A do tego się utarło, że wygrywa ten, kto lepiej oszukuje. Filmowy „Wielki Szu” nam zrobił krzywdę, wiesz? Pokolenie naszych rodziców sądzi, że jak poker, to tylko ruski i jedynie do przekrętów i prania brudnych pieniędzy. Jak pokerzysta, to typ spod ciemnej gwiazdy albo samotny leń uzależniony od hazardu, co zamiast szybkich pieniędzy ma problemy rodzinne i długi.

A można inaczej. Ale tylko za granicą. Tam możesz być gwiazdą, grać turnieje i otaczać się ludźmi świata show-biznesu. My tu niby mamy kluby pokerowe, ale wygrać możesz tylko kilka tysięcy. To za mało, żeby się opłacało. Zostają międzynarodowe turnieje, ale nie dość, że daleko, to jeszcze skarbówka potrafi się przyręczyć o podatek. Ostatnio były akcje, że gracze dostawali listy, żeby się wytłumaczyć z wygranych, które już opodatkowały europejskie kasyna.

Węc piszesz wyjaśnienia, licząc, że w końcu się odczepią. A przy kolejnym turnieju zabawa zaczyna się na nowo. Zostaje mi więc nielegalny online.

Rodzina myśli, że jestem programistą – taki spadek po skończonym technikum. Cały dzień siedzę przed kompem, tyle że zamiast projektować kolejną stronę, gram turnieje. Kilka, czasem kilkanaście równocześnie.

Nie chcę, żeby wiedzieli, tak jest spokojnie. Nie zrozumieliby, że granie może być sposobem na życie. Zresztą, jak wytłumaczysz babci, że poker to prawdziwa praca, skoro nawet polskie prawo wrzuca go do jednego worka z ruletką i jednorękiem bandytą? A tam liczy się tylko szczęście i nic więcej. Natomiast w pokerze bez umiejętności nie zajdziesz daleko.



JESTEM VIVIANNE. ILE DZIŚ OBSTAW

Rodzicom nic nie mówię. To pokolenie sądzi, że pokerem zajmują się uzależnieni hazardziści z problemami osobistymi

Ale jest promyczek słońca. W 2024 roku Międzynarodowe Stowarzyszenie Sportów Umysłowych uznało go za grę umysłową. Może to coś zmienić.

Bo to jest najtrudniejsza gra do policzenia. Nawet AI miała z nim problem. Dopiero niedawno powstały programy, w których sztuczna inteligencja może grać sama ze sobą. Tam jest za dużo zmiennych, o których musisz pamiętać i brać pod uwagę przy każdym ruchu.

Na pewno potrzebujesz dobrej strategii. Możesz grać pasywniej, agresywniej, blefować. Inaczej zagrasz, kiedy będziesz na pierwszej pozycji i mając dużo żetonów w ostatniej fazie turnieju, a inaczej mając mały *stack* na samym początku rozgrywek. Co to ten *stack*? Ilość pieniędzy lub żetonów posiadanych przez gracza. Do tego dochodzi wariancja, czyli losowość i szczęście. To ona najbardziej miesza, ale dzięki niej jest ciekawie, a ludzie wpłacają kasę. W żadnej innej grze amator nie może być lepszy od zawodowca, a tutaj wystarczy, że dostanie lepsze karty i je wykorzysta. Raz na ruski rok szczęście mu pomoże.

Przy większej liczbie rozdań szanse amatora spadają, ale zawsze jakieś ma. Dlatego niektórzy myślą, że jak są trzy razy gorsi, to po prostu wpłacą trzy razy i będą równi. Zawodowcy nie pokładają w szczęściu aż takich nadziei, ale gdy gra się jedynie rekreacyjnie, to może nawet działać.

AI jednak trochę się przydaje. Dzięki temu, że może grać sama ze sobą, to powstały

lepsze narzędzia do nauki gry. Biorą coraz więcej zmiennych pod uwagę, a rozgałęzienia decyzyjne robią się coraz bardziej skomplikowane. To już nie jest zwykłe prawdopodobieństwo na dany układ. Najambitniejsi gracze potrafią przesiedzieć godziny nad historią rozdań innego pokerzysty tylko po to, żeby znaleźć słaby punkt jego strategii.

Poker ewoluuje. Na zawodowym poziomie są ludzie, którzy całe dni siedzą nad oprogramowaniem rozwijającym poziom gry.

Nagroda jest zająca, bo na najwyższym szczeblu to są ogromne pieniądze. W najlepszych rozgrywkach samo wpisowe wynosi 100 tysięcy dolarów, a wygrać możesz nawet kilkanaście milionów.

Żeby im dorównać, musisz kupić te same narzędzia i się z nich uczyć. Zwracasz uwagę na coraz to więcej czynników, zapamiętujesz najlepsze ruchy dla danych sytuacji. A później wyłączasz pomoc i grasz, mając nadzieję, że zapamiętałeś.

Z moimi umiejętnościami 10 lat temu grałbym o najwyższe stawki, dzisiaj nie mam szans. Jest zbyt wielu lepszych.

W tej pracy musisz być cholernie sumienny. Tutaj nie mogę robić dupogodzin – za kawki i bimbanie nie dostanę wynagrodzenia. Kluczowa jest efektywność. Jeśli przez pół godziny nie jestem skupiony, to nie zarabiam. Muszę mieć świeżą głowę, inaczej, zamiast licytować, równie dobrze mogę podpalić

banknot. Wyjdzie na to samo. W pokerze na wszystko trzeba zapracować i to mi się bardzo podoba.

Choć do zawodowców też może się przyręczyć pech. Każdy, kto chce grać, musi zadać sobie pytanie, ile jest w stanie przegrać. A później pomnożyć to przez dziesięć. Dopiero wtedy jest bezpiecznie. Tak zwany *bankroll management*... Inaczej jednorazowe zejście pod kreskę wyrzuca cię z gry, bo po prostu nie masz za co wejść. Trzeba mieć duży bufor, żeby się utrzymać. Kilka dni niefartu z rzędu to normalna sprawa.

Mój najdłuższy *downswing*, czyli moment, w którym nie zarabiałem, trwał jakieś trzy tygodnie, może miesiąc. Było ciężko. Mental siadał. Musiałem nad nim pracować. Trzeba było wszystkie przegrane rozgrywki zostawić za sobą i siadać z myślą: może dzisiaj przełamie passę? I znowu w pysk. I znowu.

To irracjonalne, ale żeby przeciwdziałać, nawet jak idziesz w dół, to grasz. W końcu przełamiesz passę. Coś ruszy do góry. Jak nie idzie, to może jutro się uda. Wręcz i grasz dalej. Do skutku. Prawdopodobieństwo bycia ciągle na minusie jest znikome, ale może się zdarzyć. Raczej gdzieś będziesz na zero, gdzieś stracisz, ale w końcu w którejś rozgrywce zarobisz.

Owszem, na najczarniejszy scenariusz musisz być gotowy. Mieć pieniądze. Dlatego, póki są w grze, nie możesz o nich myśleć jak o kasie. Dla mnie są nabojami, narzędziami, dopóki nie trafią na konto w banku. Inaczej każda rozgrywka kosztowałaby zbyt wiele stresu.

Możesz też mieć inwestorów, którzy dadzą ci nieograniczone środki w zamian za część twojego profitu w przyszłości. Za każdym razem, gdy ci braknie, to ktoś dośle, ale wtedy



FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCIA WYBORCZA.PL

ISZ?

rośnie presja. A wariacja może być przeciwko. Możesz grać najlepiej, jak potrafisz, podejmować dobre decyzje, a i tak przegrywać.

Na szczęście masz swojego trenera. To osoba z ogromnym doświadczeniem pokerowym i wynikami. Ja swojego miałem w ramach grupy, dla której grałem, oddając im część profitu. Trener ma wgląd do twojej każdej rozgrywki. Jeśli widzi, że nie grasz jak mała, toaczy, że w dłuższym okresie zaczniesz wygrywać. Wtedy nie oddajesz kapitału.

Upswing, czyli wygrywanie więcej, niż się powinno, jest przyjemne. Ale włącza tryb nieśmiertelności. Mój największy przypadeł na pandemię. Już nigdy później nie było tak łatwej gry. Ludzie chyba specjalnie przychodzili, żeby przegrać. Grałem średnio wysokie stawki. Wpisowe jakieś 50 dolarów. Byłem niezniszczalny, piałem się w górę. A że przez całe życie byłem samoukiem, stwierdziłem, że czas dołączyć do *community*. Tam poznałem bardziej teoretyczną, wręcz naukową, część pokera i dostałem własnego trenera.

Pierwszą rzeczą, jaką się zajął, był mój próg wejścia do turniejów. Zrzucił mnie na niższe stawki. Spadłem z 60 do 15 dolarów. I przyszedł problem ego. Po co ta degradacja? Długo nie mogłem się z tym pogodzić. Ale z perspektywy czasu wiem, że to była dobra decyzja. Po prostu nie dawałem sobie rady z poziomem gry. Mój trener zobaczył to wcześniej niż ja.

Teraz przynajmniej raz w tygodniu spotykamy się z chłopakami i trenerem na analizie. Przeglądamy rozgrywki, mówimy, co można by zrobić lepiej i które zagrania były dobre, a które fartem weszły.

Gdy grasz prawie codziennie, i to w podobnych godzinach, to widzisz tych samych

ludzi. Można powiedzieć, że to moi koledzy z pracy. Reszta to gracze rekreacyjni albo amatorzy. Ale jak widzę kogoś któryś raz, to sobie go oznaczam. Na zielono pasywnych, czerwieni dla agresywnych. Po prostu wiem, że robią to samo co ja, więc też kumają bardziej.

Dobra, to zaczynamy. Pikselowy stół. Dwóch graczy. Podświetlające się ikony i wyskakujące opcje wyboru. Klik, klik-klik, klik. Zanim zdążyłam się zorientować, co się dzieje na ekranie, było po wszystkim.

– Za szybko? – pyta Nikodem – Czekaj, powtórzę. Dobra, ja to ten po lewej. Na ręce mam dziewiątkę i ósemkę. Bez koloru. Tu jest przeciwnik. O, podbija jeszcze przed *flopem* [trzema kartami wykładanym jako pierwsze na stół]. I teraz mogę sprawdzić, spasować albo przebić. Ta ręka jest średnia do gry, ale wystarczająco dobra.

Sprawdzam. Do *strita* [pięciu kolejnych kart w różnych kolorach] brakuje mi dziesiątki. Na razie czekam na jego ruch, bo jest agresorem. Znowu podbija, ja nadal sprawdzam.

Na *turnie* [czwartej karcie odkrywanej na stole] spadła dziesiątka, czyli mam już układ, zresztą drugi najlepszy. Mogę zagrać mocniej. Pokona mnie tylko dama i król w jego ręce, bo miałby wtedy wyższego *strita*. Zagrał 100 procent puli, więc ja go sprawdzę. Plan jest taki: zgarniam wszystko na ostatniej karcie, bo wiem, że on blefuje. Zastawiam na niego pułapkę, bo wtedy dostanę więcej żetonów. A o to chodzi w tej grze. Przede wszystkim zbieraj żetony.

Kurczę, spasował. Szkoda, że tak wcześnie.

Nikodem: – No ale nic nie miał. Do *strita* brakowało mu ósemki, a do koloru trefla. Potencjał był.

Wiesz, w online możesz blefować tylko przez *timing*, czyli szybkość albo wysokość podbicia. W realu dochodzi jeszcze mimika, tiki nerwowe czy ton głosu. Jedni grają pasywniej, inni idą w agresję.

Jak w każdym sporcie mądra agresja daje pieniądze. Ale ekstrema nie są dobre. Po tym poznasz amatorów. Jedni grają w myśl zasady „jak masz dobrą rękę, to graj, jak nie, to pasuj”. I choć to jest dobra zasada, to amatorzy są w niej zbyt ostrożni i zachowawczy. Lepiej wygrać niewiele, niż stracić za dużo. Zresztą słusznie. Drudzy wychodzą mocno, niezależnie od tego, czy mają rękę czy nie. Dobry gracz potrafi być zachowawczy i agresywny. Zna podstawy i teorię pokera. Potrafi po prostu dobrze to wszystko zbalansować i wcale nie chodzi o fifty-fifty. Wie, kiedy opłaca się wejść *all in*, a kiedy opuścić. Pasywnych kart nie możesz grać agresywnie i na odwrót. Musisz tylko wiedzieć, które są które. A tego uczysz się z czasem. Doświadczenie, nauka i spotkania z trenerem.

Znajomość prawdopodobieństwa też pomaga. No i masz programy do nauki. Popatrz tutaj. Możesz wylosować, co masz na ręce, i wybrać karty, które masz na stole.

Znów za szybko. W oczach mienią mi się kolorowe prostokąty. Czerwienie zmieniają się w bordo, trawiasty zielony przechodzi w głębokie odcienie. Kilka kliknięć myszki i powstaje zupełnie nowa mozaika. Na górze pasek narzędzi, karty w zieleniach, żółciach, czerwieni i niebieskościach. Procenty dochodzące nawet do 1750.

Całość wygląda jak pokręcona tabliczka mnożenia jakiegos szaleńca. Nikodem tłumaczy jak dziecku: to jest matryca, masz tutaj pokazane wszystkie możliwe kombinacje rąk. Z lewej strony są kolory, a z prawej *offsuity*, czyli te koloru pozbawione. Jesteśmy przed *flopem*, więc masz tylko podpowiedź, jak grać. Czerwone podbijas, niebieskie pasujesz, a zielone sprawdzasz.

Z trzema kartami na stole sytuacja się zmienia. Niektóre ręce są szare. Inne mienią się odcieniami bordo albo przechodzą w butelkową zieleni. Więcej zmian na *turnie* i *riverze* [piątej i ostatniej wspólnej karcie odkrywanej na stole]. Intensywność kolorów się zmienia.

– Prostokąt przypisany do ręki może mieć nawet kilka odcieni. Teraz masz pokazane *sizingi*, czyli wielkość zakładu, jakim

350 złotych miesięcznie za nadzieję

• W Polsce rynek kasyn online działa w ramach państwowego monopolu. Jedyną legalną platformą jest Total Casino, które prowadzi Totalizator Sportowy. Nie umożliwia on jednak gry z prawdziwym przeciwnikiem, a jedynie rozgrywki przeciwko komputerowi, a podatek wynosi 50 proc. z różnicy sumy stawek i sumy wypłaconych nagród. Dlatego prawie 80 proc. graczy korzysta z ofert nielegalnych operatorów.

• Szara strefa obejmuje ok. 2,7 miliona osób i generuje roczny obrót sięgający niemal 26 milionów złotych, uszczuplając domowe budżety średnio o ponad 350 złotych miesięcznie.

• W hazard online najczęściej angażują się mężczyźni do 44. roku życia. Zjawisko jest szczególnie powszechne wśród osób z wykształceniem podstawowym, które określają swoją sytuację materialną jako złą. Częściej grają mieszkańcy wsi niż większych miast.

• U pokerzystów sprawa wygląda inaczej. Częściej grają młodszy - prawie połowa graczy ma mniej niż 35 lat – a oprócz żetonów trzymają w garści również dyplom ukończenia wyższej uczelni i świadectwo pracy zawodowej.

• To nie chroni ich przed tzw. hazardem problemowym - zaburzeniem, w którym gracz nie potrafi się powstrzymać przed grą, traci coraz większe kwoty i relacje z bliskimi. Nie jest to równoznaczne z uzależnieniem patologicznym, jednak może do niego prowadzić. Jeśli coś w twoim zachowaniu zaczyna cię niepokoić, łapię się na tym, że nie umiesz przerwać – nie wstydz się, poproś o pomoc specjalistę lub dotęcz do grup wsparcia.

powinno się wejść przy danej ręce. Im ciemniejsze bordo, tym większą częścią puli powinnaś zagrywać. Ale tutaj wchodzi czynnik psychologiczny, czyli pytanie, czy nie boisz się tak zagrać. Program ci mówi, jak to zrobić najlepiej, ale czy cię na tyle stać, żeby wejść całym *stackiem*?

Jak w każdym sporcie, im jesteś wyżej, tym bardziej robi się z tego rywalizacja małych przewag. Każdy jest na szczycie, każdy jest dobry, każdy ma *skilla*. Więc to właśnie szczegóły robią różnicę. Czy masz dość odwagi, żeby zagrać ryzykownie, czy spasujesz tam, gdzie trzeba, choć ego ci nie chce pozwolić?

Mnie poker nauczył pokory, cierpliwości i odpuszczania tego, czego nie warto się trzymać. Kiedyś byłem bardzo emocjonalny i wkurzałem się o pierdoły. Teraz widzę, że to nie ma sensu. Przejmowanie się rzeczami, na które nie mam wpływu? Po co zużywać energię na bzdety?

Czy kiedyś rzucę pokera? No co ty.

Najpierw dostała służbowy uniform. Czar-ną, bandażową sukienkę, w której z trudem

„Z takimi włosami nie pracujesz. Masz wrócić do domu i zmyć to coś, co masz na głowie. Za niestawienie się w pracy masz pół tysiąca kary, za nieodpowiednią fryzurę – 150”

mogła oddychać. Długi naszyjnik figlarnie zachęcający do opuszczania wzroku. Oczywiście w komplecie z wiszącymi kolczykami. Na nogi zwykle czarne baleriny – jedy-ną oznakę miłosierdzia pracodawców. Włosy, naturalnie ciemne i proste, farbowała na blond i zawijała w loki, bo w takim wydaniu menedżer lubił ją najbardziej. Do tego obowiązkowy makijaż – mocne usta, najlepiej w krwistej czerwieni, a na powiece co najmniej kreska.

Kilkudniowe szkolenie wystarczyło, żeby pod narzuconym imieniem Vivianne mogła przed kamerą cieszyć oczy klientów.

Był rok 2022, a ona właśnie napisała maturę. Szukała pracy i gdy zobaczyła ofertę „przedstawiciel gier komputerowych”, postanowiła zaaplikować. W końcu kto nie chciałby połączyć pasji z pracą? Dopiero na miejscu się okazało, że wakaty dotyczy posady krupierki w onlinowym kasynie.

Nie wie, czy skusiła ją sama idea egzotycznej roboty czy zarobki. Za godzinę miała dostawać 28 złotych. Minimalna w tym czasie wynosiła niecałe dwie dychy. Co prawda nie mogła liczyć na napiwki, ale w ramach rekompensaty przewidziana była comiesięczna premia gotówkowa.

Niedogodności? Konieczność pracy na nocnych zmianach, ale przy pełnym wymiarze godzin wymagano jedynie trzech w miesiącu.

Podpisała umowę-zlecenie i rozpoczęła szkolenie, na którym uczyli ją prezencji i prowadzenia gier. Nauczyła się odpowiednio układać dłonie (ręka na ręce, palce razem, łokcie nie dotykają stołu), prezentować karty i utrzymywać uwagę klienta. – Masz rozpieszczać wzrok i umilać grę. Klient jest najważniejszy – przypominali bez owijania w bawełnę.

Może z tego powodu nie przejmowali się absolutnie niewygodnymi krzesłami, których oparcia sięgały jedynie łopatek i nie dawały żadnej podpory lędźwiom. Propozycje wymiany jednonogich hokerów spotykały się ze zdecydowaną odmową. W końcu były robione na zamówienie. Nawet nie pomyślano o gąbce, żeby drewniane oparcie obłożone miękkim, czarnym welurem nie wbiło się (zbyt mocno) w ciało. Co z tego, że niszczy kręgosłup? Ważne, że dobrze wygląda w kamerze.

Doskonała znajomość zasad gier była niezbędna. Na szczęście klienci mieli do wyboru jedynie bakarata, ruletkę lub blackjacka. Ten ostatni występuje w Polsce również w wersji bezkrupierowej. To swojskie oczko lub 21.

Choć egzamin okazał się jedynie formalnością, każdą wolną chwilę w tramwaju czy autobusie poświęcała na sumienne przeglądanie papierowego podręcznika otrzymanego na kursie. Jak na krupiera przystało, cała teoria musiała być w małym paluszku, jednak to nie znajomość reguł była ceniona najwyżej. Zdecydowanie ważniejsza była umiejętność prowadzenia rozmów zgodnie ze standardami firmy.

Polityka, religia, LGBT – tematy wzbudzające negatywne emocje czy możliwe preteksty kłótni były surowo zabronione. Prowadzenie zajmującej rozmowy? Niewskazane. Zakazano również zdradzać jakichkolwiek danych – nawet miasta, z którego nadawano transmisję gry, o prawdziwym imieniu nie mówiąc. Najlepszym rozwiązaniem był small talk – niezobowiązująca rozmowa o niczym, jednak na tyle przyjemna, żeby utrzymać gracza w trybie wydawania pieniędzy.

Vivianne miała ulubienicę – @zethos73. Mogła z nim rozmawiać o filmach, książkach i kulturze. Ale choć dobrze jej się prowadziło konwersację, myśl z tyłu głowy nie dawała spokoju: On musi płacić, żeby tu być. Rozmawiając ze mną, przegrywa pieniądze.

A może utrudnieniem w oswojeniu się z tą dziwną – choć służbową, to jednak relacją – był fakt, że głos mieli tylko krupierzy, a gracze mogli jedynie pisać na czacie? Ich słowa wyświetlały się na ogromnych monitorach rażących niczym słońce w zenicie.

A spomiędzy ekranów umieszczonych nad stołem rozbłyskiwały mocne reflektory. Każda zmiana kończyła się załzawionymi oczami i problemami z widzeniem. Kończyłaby się tak i bez jaskrawych lamp, skoro spędzała godziny na patrzeniu na piksele układające się w podgląd czatu lub na cyfry zegarów. Jeden informował o czasie pozostałym na wykonanie danego ruchu rozgrywki, drugi mówił, jak długo będzie jeszcze krupierować przy konkretnym stole. Rozgrywający zmieniali się co pół godziny, po czterech stołach czekała na nich chwila przerwy.

Dla Vivianne rozpoznawanie stałych bywalców nie stanowiło jednak problemu, nawet jeśli zmieniali nick. Rekordziści spędzali na platformie kilkanaście godzin ciągiem. Byli tam, gdy zaczynała zmianę, i zostawali na długo po tym, gdy już zmęczona kończyła pracę. A kolejnego dnia znowu im rozgrywała. Nie miała pojęcia, jakie sumy stawiają gracze, a o wygranych dowiadywała się jedynie wtedy, gdy szczęśliwcy postanawiali pochwalić się wygraną w SMS-ach.

Czuła, że coraz lepiej rozumie, dlaczego niektórzy tak to lubią. Kolorowe obrazki, wpadające w ucho melodyjki, ładna krupierka i wyrzuty dopaminy. Każda kolejna rozgrywka ma być już tą ostatnią. Wielka wygrana na wyciągnięcie ręki, za tym jednym, ostatnim już, kliknięciem. Kolejna klęska przyjęta na klatę, bo przecież nie można mieć aż tyle pecha. A skoro los ma się odmienić, to kolejne kliknięcie będzie już tym wygranym. Musi być. MUSI.

Udzielała się jej adrenalina, zwłaszcza gdy grały osoby, z którymi nawiązała bliższą relację albo z którymi dobrze jej się rozmawiało. Z @RedKingiem573# dyskutowała o książkach i filmach, z @Phlagathorn94 snuła podróżnicze plany.

Kibicowała im i choć nie mogła wiedzieć, co obstawiali i na jaką kwotę, to miała nadzieję, że tym razem los się do nich uśmiechnie. Dlatego najbardziej lubiła blackjacka. Ze wszystkich gier to w niej gracz miał największy wpływ na wynik rozgrywki.

Złe karty wywoływały w niej delikatne poczucie winy i smutek. Ten ogromny przeszył ją tylko raz. „Dzisiaj urodził mi się syn” – napisał @moroni7089. Pogratulowała mu serdecznie, choć jedyne, o czym mogła myśleć, to że w pierwszych godzinach życia noworodka jego ojciec sumiennie przegrywa kolejne żetony.

– Kasyna potrzebują człowieka. AI nie zastąpi ludzi, bo żaden model językowy nie da ci ludzkiego ciepła. To przyciąga i tego wyrzucić się nie da. W hazard wpada się z sa-

motności, a zostaje przez rozmowy z ładnymi kobietami. W ramach pracy poprawiamy im dzień – mówi i dodaje zaraz: – Nie myśl, że krupierzy są lepsi czy odporniejsi. Nieraz widziałam kolegów, którzy nawet na przerwach nie darowali sobie zakręcenia ruletką.

Vivianne nigdy nie grała i po drugiej stronie stolika znaleźć się nie chce: – Hazardowo zdarzyło mi się kupić zdrapkę. Jeden raz... Z jednej strony mnie to nie kręci, z drugiej widziałam, jak potrafi zniszczyć człowieka. Lepiej nie kusić losu.

Dziś, gdy widzi reklamy kasyn czy streamy rozgrywek, omija je szerokim łukiem. Uważa, że kasyna nie powinny już bardziej się rozwijać.

W firmie trzeba było się stawić na godzinę przed pracą i odwiedzić pokój menedżera, żeby dowiedzieć się, która z sal ci przypadnie, i dostać pozwolenie na rozpoczęcie. W siedzibie były trzy sale podzielone na dwie platformy różniące się obowiązującą sukienką i dodatkami. Oba uniformy były czarne, ciasne i podkreślające figurę, różniły się wycięciami dekoltyw i kolorami biżuterijnych kryształków.

Dwie sale przeznaczono dla Azjatów, gdzie gracze mogli wybrać zwykłą rozgrywkę lub zabawę w strefie VIP – tam krupierowały jedynie kobiety. Kolejne pomieszczenie przeznaczono dla amerykańskiej platformy. Żeby móc tam pracować, trzeba było legitymować się angielskim co najmniej dobrym. Vivianne lubiła tam pracować. Amerykanie byli bardziej otwarci i częściej nawiązywali kontakt, więc zmiana mijała szybciej.

Jednak jej preferencje nie miały znaczenia, bo decyzję podejmował menedżer. Zawsze przed rozpoczęciem zmiany należało się pokazać szefostwu. Według Vivianne wymagania kasyna były bardziej rygorystyczne niż te w modelingu – świecie, w którym czasami bywa.

Rozpocząć dzień na minusie było niełatwo. Kary za niedostosowany do wymogów wygląd, źle ułożone włosy czy nieodpowiedni kolor paznokci były dokładnie opisane w regulaminie i chętnie wykorzystywane. Do pokoju wchodziło się więc z duszą na ramieniu, a po pozytywnej weryfikacji kamień spadał z serca. Można było zacząć dwunastogodzinną zmianę złożoną z dwugodzinnych bloków krupierowania dzielonych trzydziestominutową przerwą.

Jeśli miało się szczęście lub nić sympatii łączącą z menedżerem, można je było spędzić przy czterech stolikach, zmieniając się z innymi krupierami co pół godziny. Brak szczęścia oznaczał ruletkę albo tasowanie.

Co prawda każdy krupier od czasu do czasu musiał dostać ten przydział. Byli jednak rekordziści, którzy doświadczali tej wątpliwej przyjemności nawet trzy razy podczas zmiany. Kończyli pracę nie tylko z załzawionymi oczami, ale również ze skórą zdartą z opuszków palców.

Ruletka i tasowanie miały jeszcze jedną wadę. Tam zdecydowanie łatwiej popełnić błąd, co oznaczało wezwanie menedżera i karę pieniężną wiszącą w powietrzu. Do najczęstszych przewinień należało zbyt wysokie tasowanie (najlepiej robić to na kilka centymetrów nad stołem i równoległe do niego), przypadkowe pokazanie karty czy nieprawidłowe rzucenie kulki w ruletce. A o to nietrudno, wystarczy, że kulka nie wpadnie do odpowiedniej kieszeni albo wykonana mniej niż pięć pełnych okrążeń.

W takiej sytuacji należało przerwać rozgrywkę i zawołać menedżera. Kiedy on odzwierał rozedraną i identyfikował problem, krupierzy przepaszali za zamieszanie i przerwanie gry. Następnie przeprosiny potarzał menedżer, wyjaśniając przyczyny „zaistniałej sytuacji”. Powtórnie przepaszal i wznawiał grę lub unieważniał rozgrywkę.

Szefostwo co miesiąc publikowało ranking szczegółowo opisanych błędów przypadających na pracownika. Osoby zajmujące najwyższe lokaty, a więc zazwyczaj bezbłędne, były zwalniane z placenia kar. Vivianne należała do grona szczęśliwców znad kreski.

Do czasu. Po czterech miesiącach postanowiła zmienić kolor włosów. Z ciemnego blondu przejść na jaśniejsze odcienie. Oczywiście miała zgodę menedżera – jak na wszystko, co było związane z wyglądem.

Problem zaczął się po jednym z zabiegów korekty koloru. Użyła różowego tonera. Może wzięła go za dużo, niewłaściwie przeprowadziła albo źle wymieszała. W każdym razie jedno z pasemek z tyłu głowy zdobiła różowawa smuga. Ledwo widoczna. Lecz przed czujnym wzrokiem menedżera nic się nie ukryje.

Jak zwykle poszła się dowiedzieć, na którą z sal ma się dzisiaj szykować. „Żadną” – usłyszała. „Z takimi włosami nie pracujesz. Masz wrócić do domu i zmyć to coś, co masz na głowie. Za niestawienie się w pracy masz pół tysiąca kary, za nieodpowiednią fryzurę – 150.”

Wściekła wróciła do domu. Po długim szorowaniu smuga zmieniła jedynie stopień wyblaknięcia. Kolejnego dnia usłyszała więc dokładnie te same słowa. Trzeciego razu nie było.

Wypowiedzenie nie było zwykłym aktem zwolnienia się. Napisała w nim o absurdalnych, uznaniowych karach. I o jawnym seksizmie. Wytrwale zamiatanym pod dywan, z którym mimo zapewnień nie zrobiono absolutnie nic.

Vivianne doświadczyła jedynie nieprzyjemnej wiadomości. Jeden z klientów grających w blackjacka nawiązywał w niej do *blow joba*. Czyli, no... elegancko powiedzmy, że do fellatio. Ale inne krupierki były wyzywane od głupich, grubych, brzydkich. Dowiadywały się, co to gracze by z nimi zrobili.

Szefostwo zapewniało o blokowaniu klientów, ale na słowach się kończyło. W końcu w interesie firmy nie leży odrzucanie najbardziej dochodowych hazardzistów. A na miejsce niezadowolonej krupierki zawsze znajdzie się inna.

Krupierzy też sprawiali problemy. Podczas zmiany stolików krupier złapał krupierkę za talię i przysunął krocze, rzucając oblesny komentarz. Całą sytuację zarejestrowały, jak wszystko, kamery, ale to nie wystarczyło, żeby szefostwo wyciągnęło konsekwencje.

– Ja nie miałam już nic do stracenia. Poprosiłam jeszcze o wzór odwołania od kary. Menedżerka rzuciła mi kartkę z drukarki i z uśmiechem stwierdziła, że i tak nikt nie weźmie tego pod uwagę. Jednak z wypłaty nie ucięli mi ani złotówki. Chyba się bali, że zrobię dym na socjalach. Albo doniosę do urzędu. Więc oddałam uniform i na dobre wypadłam ze świata hazardu. Plany na przyszłość? Zapobieganie i zwalczanie pedofilii. ●

*Imiona i nicki zostały zmienione na życzenie bohaterów.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Julia Budka

• Przyszła absolwentka Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Lubi słowa, detale, ukryte znaczenia i nowe sensy. Píše, by lepiej zrozumieć ludzi i to, jak żyją. W wolnym czasie robi długie spacery. Materiał o hazardzie to jej dziennikarski debiut.

OGLOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34377850

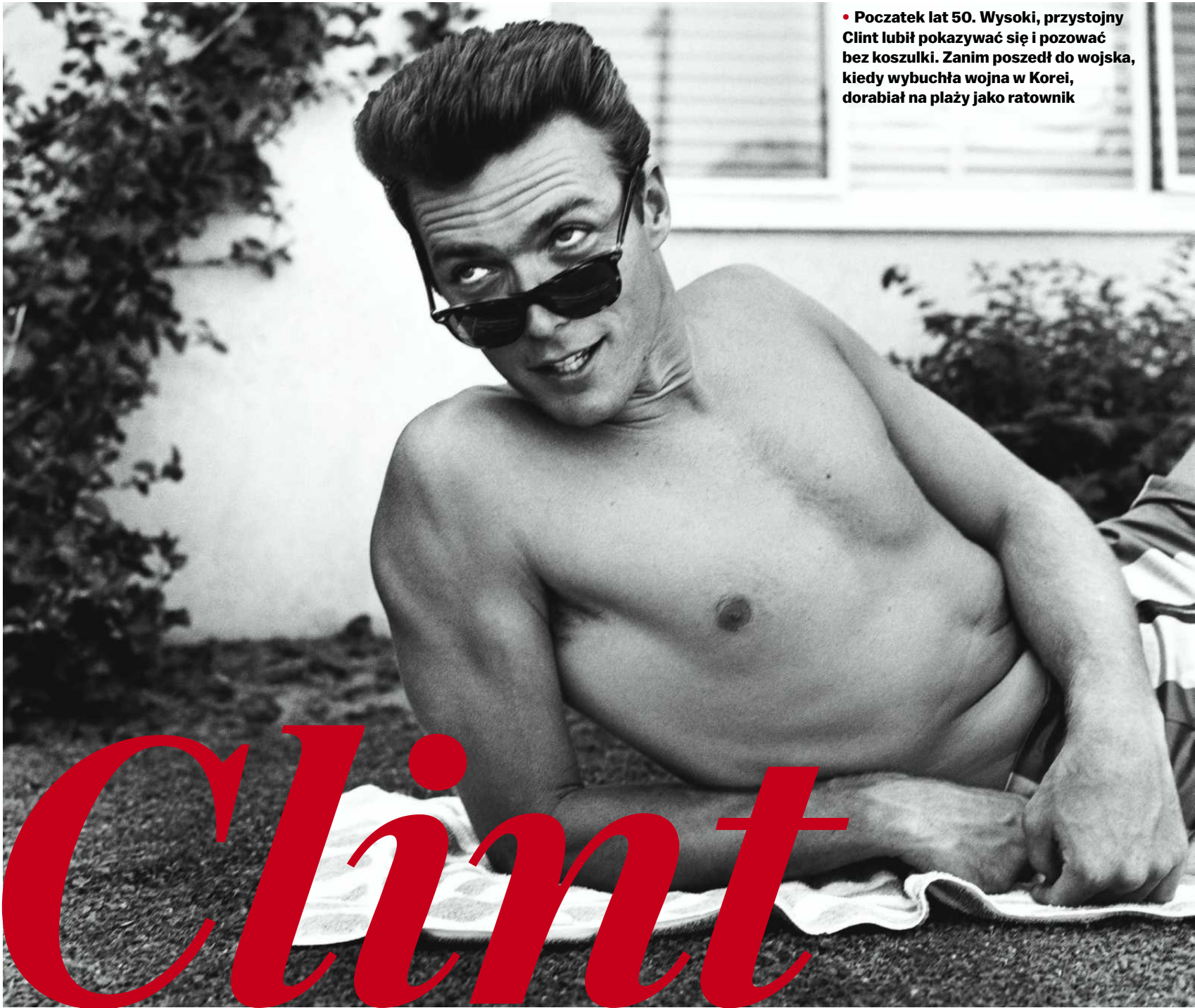


Znajdziesz w każdym sklepie



Szukaj na regale z prasą





• Początek lat 50. Wysoki, przystojny Clint lubił pokazywać się i pozować bez koszulki. Zanim poszedł do wojska, kiedy wybuchła wojna w Korei, dorabiał na plaży jako ratownik

Za garść Oskarów

Clint Eastwood kończy 95 lat. Przez większość kariery budował swój mit self-made mena, chłopaka znikąd, który dostał wygrany bilet od losu i podbił Hollywood. Prawda jest inna.

Radosław Czyż

Gdy byłem w liceum, był moim ulubionym aktorem. On, na zmianę z Toshiro Mifune – zależy, czy miałem akurat ochotę na western, czy kino samurajskie. Paradoksalne, bo grali przecież tę samą rolę w tym samym filmie. Akira Kurosawa wściekł się na wieść, że Sergio Leone nakręcił „Za garść dolarów” (1964), bez zezwolenia wykorzystując fabułę jego „Straży przybocznej” (1961). Kurosawa pozwał Leone, sprawa jednak zakończyła się ugodą.

W „Straży przybocznej” Mifune wcielał się w ronina, który przybywa do miasteczka terroryzowanego przez dwa zwaśnione gangi. Japończyk, piekielnie utalentowany aktor, był w tej roli doskonały i niewiele brakowało, by to on zapisał się w historii jako ikoniczny archetyp antybohatera.

Ale trzy lata później w „Za garść dolarów” jego rolę zagrał Clint Eastwood. I zrobił to jeszcze lepiej. To zaskakujące, bo Eastwood nie był nawet w połowie tak dobrym aktorem jak Mifune. I też nigdy się nim nie stał. Prawdziwy talent objawił dopiero jako reży-

ser. Ale nim do tego doszło, został ikoną amerykańskiego kina.

Wstydlive bogactwo

Przez większość kariery Eastwood budował mit self-made mena, chłopaka znikąd, który dostał wygrany bilet od losu i podbił Hollywood.

Wielokrotnie powtarzał w wywiadach, że był pierwszym członkiem rodziny, który coś osiągnął. Taktownie pomijał fakt, że rodzina, głównie ta od strony ojca, już od pokoleń należała do przemysłowej i politycznej elity. Wśród przodków miał komendanta nowojorskiej policji i sędziego pokoju oraz właścicieli kopalni. Pradziadek ze strony matki wybudował ekskluzywny hotel na Alasce w czasie XIX-wiecznej gorączki złota. Hotel miał 100 pokoi z osobnymi łazienkami, elektryczne dzwonki i psiarnię.

Rodziny z obu stron mieszkaly w Piedmont w Kalifornii, ekskluzywnym osiedlu otoczonym przez znacznie biedniejsze miasteczko Oakland. Gdy się tam sprowadzili, ze wzgórz porośniętych dębami rozchodził się malowniczy widok na San Francisco i Pacyfik.

Bajkowy krajobraz i bliskość do handlowego centrum północnej Kalifornii sprawiały, że na początku XX wieku ściągał tu właściciele kopalni, magnaci przemysłu energetycznego czy kolejowego itd. Szybko pobudowali tam ogromne, bogato urządzone rezydencje. W Piedmoncie liczył się prestiż.

W takim świecie 31 maja 1930 roku na świat przyszedł Clint Eastwood.

„Chude” lata Eastwoodów

W licznych wywiadach z początku kariery rzadko opowiadał o Piedmoncie, częściej o momencie, gdy jako kilkulatek wraz z rodzicami musiał opuścić dom. Przez mniej więcej sześć lat wielokrotnie się

przeprowadzali, by ojciec, Clinton senior, mógł znaleźć lepszą pracę.

Lata 30. to w Ameryce czas Wielkiego Kryzysu. Ale dobrze sytuowanych rodziców aktora nie dotknął on tak bardzo jak większości Amerykanów. Wbrew wspomnieniom Eastwooda nie był to dla nich czas chaosu i klepania biedy. Dzięki koneksjom ojciec przed każdą przeprowadzką miał już nową posadę. To nigdy nie była to praca fizyczna.

Clint wielokrotnie wspominał, że dłuższy czas spędził na ranchu babci w Sunol, na przedmieściu San Francisco. Opowiadał, że to ona ukształtowała jego charakter, nauczyła go jeździć konno i pokazała, co to znaczy samowystarczalność, bo rancho prowadziła sama.

Cóż, może i sama, ale dzięki dużemu spadkowi i pomocy świetnie zarabiającego syna (wujka aktora) stać ją było na pracowników.

Eastwoodowi do budowy wizerunku pasowała wersja o miesiącach ciężkiej pracy na ranchu. Jego matka wspominała, że dziwiły ją opowieści syna, bo nigdy nie spędzał u babci dłużej niż tydzień czy dwa.

W 1940 r. rodzice aktora powrócili w rodzinne strony, na osiedle obok Piedmontu. Żył im się dostatnio. Mieli dom z basenem, dwa samochody i uczęszczali do country klubu, w którym młody Clint dorabiał, nosząc kije golfowe.

Szkolny łobuz

W starszych biografiach Eastwooda pojawiała się informacja, że aktorstwem zaraził się w szkole. Zarówno liceum w Piedmoncie, jak i Oakland Technical High School, w którym spędził ostatnie lata liceum, miały świetne kółka teatralne. Amerykańskie media pisały, że Clint zmieniał szkoły, by przenieść się do lepszej klasy aktorskiej. Ale Clint w żadnej ze szkół na zajęcia teatralne nie uczęszczał.

Dlaczego więc zmienił szkołę? Według jego autoryzowanej biografii zaczęło mu przeszkadzać, że w Piedmoncie mieszkają wyłącznie biali i dość miał bigoterii.

Ale Eastwood szkoły zmienił nie przez bunt wobec rasistowskiego elitaryzmu, ale własne wybryki. Patrick McGilligan, autor jego nieautoryzowanej biografii „Clint. Życie i legenda”, dokopał się do artykułu z lokalnej gazety, w którym pisano, że Eastwooda „poproszono” o odejście z Piedmont High, bo na tablicy wyników na szkolnym boisku napisał obraźliwe słowa pod adresem jednego z nauczycieli, a na murawie spalił jego kukłę.

Po liceum Clint chwycił się dorywczych zajęć. Polubił bycie ratownikiem, bo z jego wzrostem i urodą łatwo było mu flirtować z plażowiczkami. Dobrą zabawę przerwała mu w 1950 r. wojna w Korei i pobór do wojska. Wielu jego kolegów zgłosiło się na ochotnika, on jednak czekał na list z przydziałem. Trafił do obozu treningowego w Fort Ord opodal Monterey, na południe od San Francisco.

Jak Clint nie poszedł na wojnę

Tu szczęście uśmiechnęło się do Eastwooda, bo dzięki legitymacji ratownika został instruktorem pływania i ratownictwa.

To wówczas nauczył się wkuwania na pamięć tekstu – szczegółowo znał treść wszystkich wykładów i poznał obsługę projektora filmowego. Obie umiejętności przydały mu się w późniejszej karierze.

Później często wcielał się w wojskowych czy twardych weteranów, a studia, promując filmy, przez wszystkie przypadki odmieniały jego wojenne zasługi, ale tak naprawdę Eastwood nigdy wojny nie doświadczył.

Jego jedyne „akcje” odbywały się w weekendy, gdy na przepustce opuszczał bazę i imprezował do upadłego. Najczęściej w objęciach kolejnych kochanek.

Eastwood już wtedy był nałogowym kobieciarzem, a jedna z randek niemal kosztowała go życie. Na spotkanie z dziewczyną wybrał się do Seattle. W tamtą stronę zalał się z załogą samolotu rezerw marynarki. W powrotną leciał w szturmowcu Douglas A-1. Popsuło się radio, zabrakło paliwa i pilot musiał wodować kilka kilometrów od półwyspu Point Reyes.

I pilot, i Eastwood do brzegu dopłynęli dzięki kamizelkom i tratwie ratunkowej. Później historia ta ewoluowała. Media podały, że aktor płynął wpraw najpierw przez 5, potem 8 km. Matka Clinty w jednym z wywiadów opowiadała nawet, że jej syn bohaterko przepłynął aż 11 km.

Ucieczka do Los Angeles

Z bazą Fort Ord wiążą się też legendy o aktorskich początkach Eastwooda.

„Studio filmowe Universal-International kręciło zdjęcia w Fort Ord w Kalifornii. Rzutki drugi reżyser dostrzegł młodego chłopaka o wzroście metr dziewięćdziesiąt, stojącego w kolejce w stołówce, i po” – to oficjalne materiały stacji CBS. To ona w latach 1959-66 emitowała serial „Rawhide”, dzięki któremu Clint zdobył popularność.

Komunikat stacji był oficjalny, ale nieprawdziwy. Biograf Patrick McGilligan wylicza, że według różnych źródeł do przyjazdu do Los Angeles Eastwooda zachęcił przyjaciel służący w tej samej jednostce, była dziewczyna lub „uwodzicielska blond telefonistka” ze studia filmowego itd.

Jaka była prawda? Eastwood pod koniec służby w Ford Ord dorabiał sobie jako kino-operator, wykidajło w miejscowym barze czy pracownik stacji benzynowej. Gdy na terenie bazy kręcono film, Clint nie był już na służbie.

Do LA pojechał odwiedzić kolegę z wojska, który po powrocie z Korei skorzystał z rządowego wsparcia dla weteranów i zapisał się na uniwersytet w Berkley.

Wtedy poznał Maggie, przyszłą panią Eastwood. Ale w 1953 r. wyjechał do Seattle i znów randkował z „jakąś dziewczyną albo dwiema”, dorabiał jako ratownik i instruktor pływania. Jedną z dziewczyn zaszała w ciążę. Clint zaproponował małżeń-



• „Co się wydarzyło w Madison County”(1995). Melodramat, to zupełnie nie jego klimat. Ale tylko tu, po latach od debiutu, i u boku Meryl Streep pokazał, że potrafi też coś zagrać

stwo, ale jej rodzice byli mocno niepokieszeni wizją zięcia ratownika. Eastwood poprosił więc o pomoc swoich rodziców, a ci zapłacili za aborcję.

Eastwood, ponoć cierpiący i zdruzgotany, wyjechał do LA. Tam zszedł się z Maggie i zapisał do miejskiego college'u.

Westerny i małpy

No i pięknie. Ale co z aktorstwem? Tu znów Eastwood miał po prostu szczęście. Lata 50. były dla Hollywood trudnym czasem. Kończyła się tzw. złota era, czas prosperity studiów filmowych. Mniej więcej połowa kin w kraju musiała zwinąć interes.

W Hollywood polowano na czarownice – szukano komunistów i ich sympatyków, co w efekcie wykluczyło z pracy wielu scenarzystów. Wiadomo, inteligent to komuch.

By jakkolwiek przetrwać, studia zdecydowały się na zmianę strategii. Walt Disney podpisał rewolucyjną, siedmioletnią umowę z telewizją ABC, a wyświetlane dotąd wyłącznie w kinach animacje zawitały w domach Amerykanów.

Universal ograniczał się do kręcenia tanich serii filmowych. Żeby było taniej, postanowił kręcić kolorowe filmy w plenerze, zamiast tworzyć skomplikowane makietki. Postawiono na westerny – bo doskonale nadawały się do nich pustynne okolice Los Angeles. I na młode talenty, a nie znane gwiazdy.

No i z dobrodziejstwem inwentarza witano gwiazdy zwierzęce, np. gadającego muła Francisa czy szympansa Bonzo, ekranowego partnera Ronalda Reagana w filmie „Bedtime for Bonzo”.

Jak zauważa McGilligan, dla Eastwooda będą to drogowskazy do kariery: zaczynał jako nieznane nazwisko, westerny przyniosły mu gigantyczny sukces, a w dwóch dużych przebojach – „Każdy sposób jest dobry” (1978) i „Jak tylko potrafisz” (1980) – grał z orangutanami.

Piękny jękała

W kwietniu 1954 r. Eastwood poszedł do biura castingowego Universalu. Od razu się tam spodobał: mierzący 193 cm wzrostu przystojniak o niebieskich oczach. Był małowówny, ale dowcipny, nawet czarujący. Sekretarkom ze studia przypominał młodego Gary'ego Coopera, dlatego nazywały go „Coop”.

Prywatnie emanował luzem, ale przed kamerą czy widownią wypadł sztywno i nieporadnie. Część kolegów po fachu z tamtego okresu wprost mówiła, że sprawiał wrażenie wsiowego głupka, który nie umie się wysłowić.

Z mówieniem w ogóle miał problem. Z nerwów często się jękał, mówił cicho, niemal przez zęby. Zajęcia z dykcji niewiele tu dały, dlatego i aktorskie rokowania wypadały raczej kiepsko.

Pierwszą poważną rolą, i to taką, która jego wady obróciła w cnoty, był serial „Rawhide”, w którym Eastwood grał Rawdy'ego, nierozgarniętego poganiacza bydła. Scenarzyści szybko wpisać się Clinty w cechy bohatera.

On sam nie lubił tej roli. Żle się czuł, grając niezbyt bystrego chłopaka – uważał, że się marnuje. Na szczęście już pod koniec emisji „Rawhide” na jego biurko trafił scenariusz do włoskiego westernu „Il Magnifico Straniero”, którego reżyserem miał być wschodzący talent Sergio Leone.

Reżyser znikąd

Leone potrzebował bardziej żywego posągu niż aktora. Jak wspomina, bardzo do brze trafił, bo Clint „miał wtedy tylko dwa wyrazy twarzy: w kapeluszu albo bez”.

Tytuł z czasem zmieniono na „Per un pugno di dollari”, „Za garść dolarów”. Reszta jest historią.

Quentin Tarantino nazywa ten film początkiem nie tylko gatunku spaghetti westernów, ale współczesnego kina w ogóle. Sposób inscenizacji scen akcji, montażu pod muzykę, która jest niewidzialnym bohaterem filmu, czy grania czytelnymi archetypami postaci, większość reżyserów (świadomie lub nie) wzięła właśnie od Sergio Leone. Tarantino dodaje, że film miał właściwie trzech twórców: reżysera, kompozytora Ennia Morricone i samego Ea-



• **„Za graść dolarów” (1964), spaghetti western, który zrobił z niego gwiazdę. Kapelusz z niskim rondem, poncho i sprane, czarne jeansy to jego ubrania, które zabrał na plan do Hiszpanii**

• **„Brudny Harry” i jego 44 magnum „najsilniejsza broń ręczna świata”. Policjant, który nie bawił się w procedury. Kolejna ikoniczna rola. Zagrał ją w pięciu filmach (lata 1971-88)**

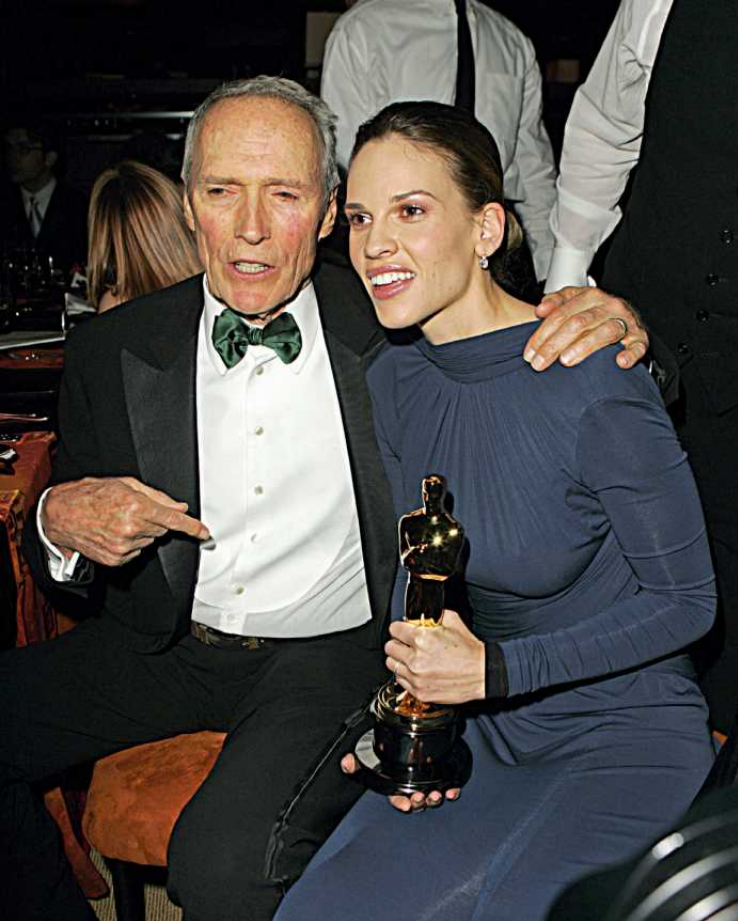
stwooda, który doskonale ogrywał swoje warsztatowe i fizyczne braki. Clint specjalnie skracał i wykreślał kwestie swojego bohatera z dialogów, cygaretkę, którą w usta wepchnął mu Leone, traktował jak kolejny powód, by zaciskać zęby i nic nie mówić. Z kolei charakterystyczne poncho, kapelusz i czarne dżinsy przywiózł sam, bo lepiej od kostiumografów wiedział, w czym wygląda korzystnie. Lekcje, które na planie trzech westernów („Za garść dolarów”, „Za kilka dolarów więcej” i „Dobry, zły i brzydki”) aktor wyciągnął ze współpracy z Leone, zdefiniowały resztę jego kariery.

Kiedy Harry poznał Magnum
Jako aktor nauczył się, że wygląda znacznie lepiej, niż gra, dlatego warto stawiać na minimalizm i wybierać role przenikliwych mruków i twardzieli. Jako reżyser połowę warsztatu podpatrzył właśnie na planach Leone. Reszty nauczył go inny wieloletni partner – reżyser Don Siegel, z którym stworzył serię o Brudnym Harrym.

Zaprzyjaźnili się już podczas pierwszego wyjścia na drinki, a współpracowali przy pięciu filmach: kryminalnym neo-westernie „Blef Coogana” (1968), westernie „Muły siostry Sary” (1970), osadzonym podczas wojny secesyjnej thrillerze erotycznym „Oszukany” (1971). Potem był „Brudny Harry” (1971) i „Ucieczka z Alcatraz” (1979), podczas której seansu telewizyjnego Donald Trump pomyślał niedawno o ponownym otwarciu więzienia. Od Siegla Clint reżyser podłapał precyzję i oszczędność formy, niechęć do wielokrotnych dubli. Obaj zresztą stawiali na konkrety, nie lubili przebierania w słowach. Kwintesencją tego był oczywiście „Brudny Harry”, hit frekwencyjny i jeden z najlepiej zarabiających filmów 1971 r.

Film sprawdził się jako pelen brutalnej akcji sensacyjny, pod względem technicznym niczego mu nie brakowało, a Eastwood przypieczętował nim swoją hollywoodzką ikonę. Był bezbłędny jako stawiający się ponad prawem glina Harry Callahan, dla którego salą sądową była ulica, a młotkiem obwieszczającym wyrok – spust wielkiego rewolweru Smith & Wesson Model 29, z długą lufą kalibru 44 Magnum.

Ale krytyka nie zostawiła na filmie suchej nitki. A przynajmniej jej progresywna część. Chodziło o kwestie społeczne, propolicyjny wydźwięk i mocno prawicową wymowę. „Newsweek” wręcz nazwał film prawicową fantazją. „Variety” pisało, że „gloryfikuje brutalność policji”, a sam Callahan to „su-



• **„Za wszelką cenę” (2004). Clint dostał drugiego Oscara za reżyserię, a Hilary Swank za główną rolę. Jej postać jest ponoć wzorowana na córce Eastwooda, z którą dopiero po latach odnowił kontakt**

perbohater, którego wyczyny prezentują się niemal satyrycznie”. Najcięższe działa wytoczyła jednak legendarna krytyczka Pauline Kael, która na łamach „New Yorkera” napisała, że film jest „zdecydowanym atakiem na wartości liberalne”, i nazwała go wręcz faszystowskim. Eastwood żalił się potem, że przez opinię Kael nazywano go rasistą, bo na początku filmu zabija czarnego przestępcę. W liberalnych środowiskach przylgnęła do niego łatka prawicowca i szowinisty, nawet kryptofaszysty. Cóż. Szowinistą był bez wątpienia, czego dowodem są jego historie z kobietami. Ma ośmioro dzieci z sześcioma kobietami, a żonaty był dwukrotnie. Maggie odeszła od męża z uwagi na jego liczne zdrady, dzieci z kochankami i emocjonalną obojętność, którą okazywał jej pod koniec małżeństwa. Z drugą żoną, prezenterką Diną Ruiz, pobrali się w 1996 r., gdy ona miała 30 lat, a on 65, rozwiedli w 2013 r. Wykreowany przez Eastwooda obraz bezwzględnej gliny stał się wzorcem dla wielu pokoleń szukających guza facetów, którzy upust swym emocjom dają w pracy. Niesławna brutalność policji jest jednym z problemów współczesnych Stanów. Eastwood jest też wierny tradycyjnym wartościom. Piedmont aż do 1992 r. był na Zachodnim Wybrzeżu opoką Republikanów, a wielu jego mieszkańców było hojnymi darczyńcami. Sam Eastwood lubił mówić o sobie, że choć od zawsze był republikaninem, to jednak „liberalnym” i „antyeestablishmentowym”, a swoje poglądy polityczne określał jako czysty libertarianizm. Jednak wszystkie te cechy przez lata starał się ukrywać, bo nijak nie pasowały do jego wizerunku amerykańskiego chłopaka z klasy robotniczej, który wspiął się na hollywoodzki szczyt. Próbowal swoich sił w polityce, w latach 1986-88 pełnił obowiązki burmistrza w miasteczku Carmel-by-the-Sea w Kalifornii. Od bardzo otwartego wspierania partii wstrzymywał się, z wyjątkiem 2012 r., gdy wystąpił na konwencji Republikanów. Poparł wówczas kandydaturę Mitta Romneya i dał kuriozalne wystąpienie, podczas którego przez dziesięć minut mówił do pustego krzesła reprezentującego Baracka Obamę. W 2016 roku poparł w kampanii prezydenckiej Donalda Trumpa, bo „mówi, co myśli” i „nie jest z pokolenia ciot”. W 2020 roku zmienił zdanie i poparł demokratę Mike’a Bloomberg’a. Ponownej prezydentury Trumpa nie komentuje.

Dobry reżyser
Eastwood od początku kariery budował wizerunek outsidera, który wychowywał się w biednym, wymieszanym etnicznie Oakland. Do masowej wyobraźni wkroczył jako człowiek bez imienia, rewolwerowiec znikąd, nie tyle szlachetny, ile przebiegły, ale przede wszystkim tajemniczy i pewny swego. To też jeden z najlepszych amerykańskich reżyserów, zwłaszcza jeśli chodzi o tzw. kino środka. Oszczędny w środkach, wręcz skromny, choć zazwyczaj obsadzający samego siebie w głównych rolach. Tak jak z Sergiem Leone rozpoczął nową falę westernu, tak zamknął ją w nagrodzonym 4. Oscarami (dwa dla Eastwooda) „Bez przebaczenia” (1992). Dwa z nich odebrał Eastwood: za najlepszy film i reżyserię. Lista jego osiągnięć jest oczywiście dłuższa. Kolejne dwa Oscary (najlepszy film i reżyseria) dostał za „Za wszelką cenę” (2004), a nominacje za m.in. „Listy z Iwo Jimy” (2006) i „Rzekę tajemnic” (2003). Nagrodzony Złotym Globem „Bird” (1988) oddawał jego miłość do muzyki (sam komponował muzykę m.in. do „Rzeki tajemnic”, „Za wszelką cenę” i główny temat z „Bez przebaczenia”). Pomimo wielu wad, które przez większość życia ukrywał przed światem, nie da się go nie podziwiać jako twórcy i popkulturowej ikony. ●

Danuta Pawłowska

Upalna, letnia noc. Brudna, przeпоcona sala gimnastyczna w jakiejś mazowieckiej szkole. Na materacach leżą bezwładne ciała. Najmłodsze ma kilkanaście lat, najstarsze jest po sześćdziesiątce. Niektórzy nawet nie zdjęli poliestrowych trykotów, po pobudce nie będą tracić czasu i wyjadą przed świtem. Lokalizatory GPS wciąż wysyłają pozycje zawodników.

Aluminiowe i karbonowe ramy podpierają drabinki gimnastyczne. Wszystko jest gotowe: bidony napelnione, zapasowa dętka zwinięta w podsiodłowie, w kieszeniach saszetki z żelami energetycznymi.

BARTEK SWACHA organizuje już piątą edycję zawodów Mazowiecki Gravel (MG) i pod koniec czerwca zaprasza na trasy po Kurpiach o długości od 80 do 500 km.

– Na osiemdziesiątkę mogą się porwać niedzielni kolarze, którzy naraz robili po 20-30 km – mówi Bartek. – To jest dystans rekreacyjny, a przekroczenie po raz pierwszy 50 km to krok w kierunku wypraw długodystansowych. Na mecie jest medal i apetyt na coś większego. Trasa 120 km pod gravele to dystans dla tych, którzy już kiedyś się zbliżyli do setki i chcą się sprawdzić na zawodach czy posmakować kolarstwa przygodowego.

Gravele to najmłodniejsze obecnie kolarzki o mniej nerwowym prowadzeniu niż klasyczne wyścigowe szosówki. Mają grube, terenowe opony, na których można zapuszczać się poza gładkie asfalty. Są śmiałowiercy, którzy śmigają nimi po szlakach dla rowerów górskich.

Zdaniem Bartka wyścig na ponad 200 km to już poważny całonocny przejazd, choć można zatrzymać się na nocleg.

Autorka tego tekstu cztery razy jechała MG na dystansach 230-250 km, zawsze z przerwą na nocleg, więc dobrze zna zapach sal gimnastycznych ze śpiącymi kolarzami w Radomiu, Grójcu i Liwie. Raz zdecydowała się na motel przy Zalewie Żegrzyńskim.

UWAGA: według regulaminu noclegi są możliwe tylko w ogólnodostępnych obiektach i można je rezerwować dopiero po starcie. Bo wszyscy muszą mieć równe szanse.

Tylko po co jechać w czymś, co z nazwy jest zawodami, ale bez szans na prawdziwe ściganie się, na końcu stawki, w dodatku na zwykłym rowerze?

Po atmosferę, satysfakcję, zwiedzanie okolicy plus coś, o co trudno podczas indywidualnych przejażdżek, nawet wyrp liczonych w dziesiątkach kilometrów – po poznawanie innych ludzi i siebie.

W dwie doby można zaliczyć niezły zestaw przygodowy: drzemka na przystanku, burza w lesie, zgubienie trasy, nieskończona liczba dziur w dętkach, zerwany łańcuch, przenoszenie roweru przez rzekę, pchanie go po piachu i wnoszenie na wiadukt. Na schodach przy DK 50 przed Górą Kalwarią powraca marzenie o karbonowej ramie, która waży tyle co kilkanaście galek lodów.

Bartek wie, że szosowcy, którzy będą jechać pięćsetkę, czyli dystans ultra, 500 km, raczej nie korzystają z noclegów. – Czasem na krótko się zatrzymują w punkcie kontrolnym na szybką regenerację.

Czy amatorzy oszukują? – Były przypadek, kiedy ktoś próbował skrócić trasę. Ale weryfikacja jest łatwa, bo zawodnicy mają nadajniki i widać na żywo, gdzie są.

Choć i bez nadajników cwaniacy nie mieiliby lekko. Zawodnicy są czujni. Uprzedzam komentarze: to nie donosicielstwo, ale troska o fair play. – Na przykład ktoś widział, że komuś żona podawała wodę z samochodu. To sprzeczne z regulaminem i jest podstawą do kary czasowej – dodaje Bartek.



W tym rokujadę wyścig przez Polskę – 1 500 km, 4000 km we Włoszech i 2000 km w Pirenejach. Mam 52 lata i żadnych sponsorów

ROBERT WOŹNIAK, emerytowany policjant, lat 52, przyznaje, że ma wysoko postawioną poprzeczkę. Wybiera zawody na dystansach co najmniej 1000 km. – Wiem, że zajmie mi to dwa dni. Na ten poziom pracowałem kilkanaście lat.

Kto może się porwać na taki dystans? Często w ramach kwalifikacji zawodnik musi wykazać, że w ciągu doby przejechał 500 km. – Ale jeśli kończysz ostatkiem sił, to znaczy, że nie dojedziesz do 1000. To są zawody dla kolarzy, którzy mają 2-3 rowery w domu – tłumaczy Robert. Czyli bawią się w to na poważnie, podporządkowując rowerowi sporą część życia.

– Ja mam dziewczę, ale część to dla przyjemności, bo jest i składak, i rower miejski. [A ja wiem, że kokietuje, bo na składaku przejechał 1000 km ultramaratonu Bałtyk – Bieszczady]. Tyle rowerów potrzebuję, bo czasem się psują, konieczne są naprawy i oddanie do konserwacji. Mam rowery na różnych kołach i oponach, bo na deszcz nie wyjadę na cienkich – tłumaczy Robert.

Na maraton Bałtyk – Bieszczady, rozgrywany co dwa lata na trasie Świnoujście – Ustrzyki Górne, poleca rower szosowy. Właśnie szykuje się na tegoroczną 15. jubileuszową edycję, ma specjalne zaproszenie jako osoba od lat związana z kolarstwem ultra.

Limit na pokonanie trasy to:

58 godzin dla tych, którzy zaczynają rano, i 72 godziny dla kolarzy startujących wcześniej, na noc. O tym, że to naprawdę poważna wytrypa, niech świadczy limit wieku – zawodnicy muszą mieć co najmniej 23 lata. Co około 100 km są punkty kontrolne, na których można się przespać, uzupełnić bidony, zjeść. Co roku na starcie staje 200-300 osób, kończy 80 procent z nich.

Rady od Roberta: trzeba trenować jazdę nocną i nie można od razu jechać na swoje 100 procent, lepiej rozkładać siły i przygotować się na niespodzianki. Nie wolno tracić czujności, bo np. w górach nocą zdarzają się przymrozki i śliski asfalt.

– Ja takie ultra na 2-3 noce to jadę bez snu – mówi Robert. Przed każdym ultramaratonem wymienia praktycznie wszystko w rowerze. Nowe opony i nowy napęd – czyli łańcuch, zębatki z przodu, tzw. kaseta, czyli zestaw zębatek z tyłu. – Nie ma nic gorszego niż odpaść z zawodów z powodu awarii – ostrzega.

Ale kiedy Robert jechał maraton dookoła Polski – 3 600 km – już spał. I to każdej nocy, przejeżdżając codziennie nieco ponad 300 km. Gdzie? – Śpię w hotelach lub w agroturystyce. Ale na dystansie 1000 kilometrów potrafią spać na przystankach, na ławkach w parku, latem gdzieś w polu na sianie albo na leżakach w punktach kontrolnych.

Robert od razu uprzedza, że jak wejdziesz do sali gimnastycznej np. w Łowiczu na trasie Bałtyk – Bieszczady, to jeden chrapie, drugi szeleści, bo się pakuje, trudno zasnąć. – Jak się położyć, to potrzebuję kilku godzin snu, inaczej bez sensu, a kolega jest już 100 km dalej i dla mnie to duża strata, i myślę sobie: kurde, i tak się nie wyspałem, mogłem cisnąć dalej – mówi.

Raz miał wypadek, bo kolega przysnął i wjechał w koło. – Pękła mi opona, a nikt nie wozu zapasu. Noc spędziłem w hotelu w Miłowie, rano poszukałem sklepu. Trochę boli taka strata czasu. Ale że szukam jasnych stron, to i tak lepiej, niż gdyby pękła mi rama. Bo to już byłaby dyskwalifikacja, rowerów nie można zamieniać w trakcie wyścigu, a karbonu w pierwszym lepszym warsztacie przy drodze nie zespawam.

Są różne kategorie startu w zawodach:

- jeśli jedziesz solo, to każda forma pomocy od innego zawodnika jest zabroniona, a gdy dochodzisz do kogoś, to musisz go wyprzedzić;
- jeśli, zadeklarowałeś jazdę w grupie, to możesz pożyczyć dętkę od kolegi, możecie robić wahadła i zmieniać się na prowadzeniu peletonu. – Ale to wyniki solo są bardziej prestiżowe i są większym powodem do dumy – przyznaje Robert.

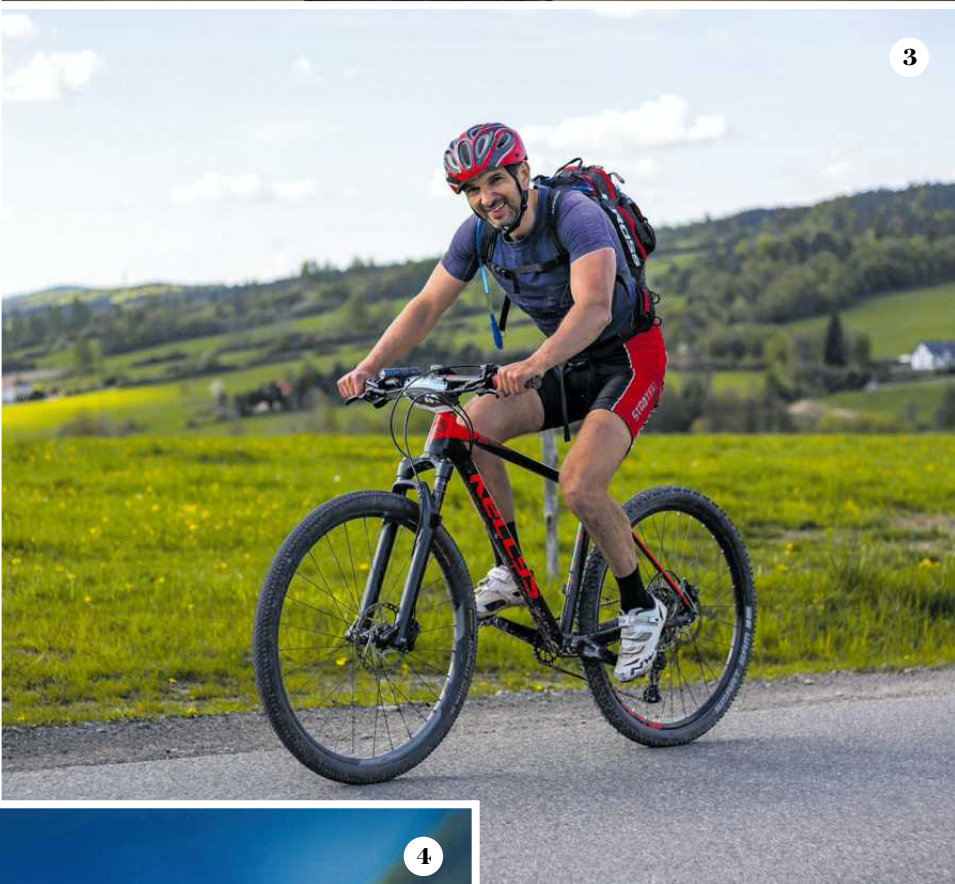
Oszuści? – Dawno temu to było częstsze, spotkałem się z sytuacją, że ktoś podjeżdżał jakiś odcinek autobusem – wspomina. – Jeden zawodnik odpoczywał na przystanku PKS, podjechał autobus i zauważył w środku dwóch innych. Teraz tak się nie da, ponieważ każdy ma nadajnik pokazujący jego pozycję na żywo i jak przyspieszy do

tróje

1



2



3



4

1 • Joanna Rumińska-Pietrzyk na trasie Race Through Poland. – Traktuję to, jak przygodę. Nie ma nagrody innej niż szacunek w środowisku ultrakolarskim.

2 • Paweł Puławski od kilku lat organizuje ultra wyścig Race Through Poland. 1500 km do przejechania i zasada, że nie wolno korzystać z dróg krajowych.

3 • Marcin Grudziński na trasie ultra maratonu Lajkonik. W tym roku zorganizuje go po raz czwarty. Trasy 250-1000 km i nowość 600 km wyłącznie na szosie.

4 • Robert Woźniak wybiera zawody na dystansach co najmniej 1000 km. Właśnie szykuje się do startu w 15. edycji maratonu Bałtyk – Bieszczady rozgrywanego na trasie Świnoujście – Ustrzyki Górne.

5 • Bartek Swacha to organizator zawodów Mazowiecki Gravel, czyli wyścigów na gravelach - modnych kolarkach z grubymi, terenowymi oponami. 5. edycja odbędzie się pod koniec czerwca na Kurpiach.

*W dwie doby można zaliczyć
niezły zestaw przygodowy:
drzemka na przystanku,
burza w lesie, zgubienie trasy,
nieskończona liczba dziur
w dętkach,
zerwany łańcuch,
przenoszenie roweru przez
rzekę, pchanie go po piachu
i wnoszenie na wiadukt*

70-80 km/h, to wiadomo, że wsiadł do pociągu czy autobusu. Ale są bardziej dyskretne formy nieregulaminowej pomocy – a to mąż przyszykuje suche skarpetki i podaje żonę czy robi szybki serwis rowerowy na trasie, a to ktoś przejedzie za umówionym samochodem znajomego całe miasto, inny przemknie pod zamkniętym szlabanem. Jednak najlepsi nie oszukują.

Wracamy do składaka Włóczy 3 i zawodów na 1000 km.

– Miałem już za sobą 20 ultramaratonów na dystansie od 1000 do 3600 km, wiedziałem, na co mnie stać, nie byłem człowiekiem znikąd – opowiada Robert – więc chciałem się zapisać w historii zawodów. Przejechałem to ultra w 66 godzin, limit wynosił 70, więc nie mogłem sobie pozwolić na sen przez trzy dni. Nawet z górki nie dało się jechać szybko, bo nie mogłem pedałować. Brakowało przełożeń – wspomina. I dodaje, że miał wtedy mnóstwo kibiców. Oraz że jak dotąd nikt nie powtórzył jego wyczynu z pandemicznego 2020 roku.

– Teraz dla mnie dzień bez 100 kilometrów to się nie liczy, ale pamiętam pierwszą setkę i jak walczyłem o życie. Teraz robię 50 tysięcy rocznie, do 200 to nawet nie piję.

Robert w swoim pierwszym projekcie „Rowerem na Księżyc” w 8 lat, 10 miesięcy i 15 dni pokonał 384,4 tys. km – czyli właśnie średnią odległość pomiędzy Ziemią a jej naturalnym satelitą. Dziś jest już daleko za Księżycem, na liczniku ma 627 tys. km przejechane w 14 lat i 4 miesiące. Teraz została tylko droga na milion. Nikt go nie przekona, że nie ma czasu.

– Zawsze wstawiałem 4.15 i o 5 już jechałem nabijać kilometry przed pracą. Musi być rygor, a to się przekłada na inne dziedziny życia. Teraz, na emeryturze, mogę sobie pozwolić na decyzję, czy jadę w deszczu, czy przesunę trening – przyznaje się do ulegania słabości.

JOANNA RUMIŃSKA-PIETRZYK mówi, że są różne odmiany ultrakolarstwa, ale ona bierze udział głównie w wyścigach w formule pełnej samowystarczalności.

Na czym to polega? Nie tylko obowiązuje zakaz korzystania z pomocy z zewnątrz, w tym pomiędzy zawodnikami. Trzeba jeszcze – choć w oparciu o punkty kontrolne i tzw. odcinki specjalne wskazane przez organizatora – ułożyć sobie własną trasę.

– TCR, czyli Transcontinental Race, to dla mnie jeden z najtrudniejszych wyścigów rowerowych. Taki wzorzec z Sèvres ultrakolarstwa. To szersza koncepcja, która nie tylko ma wymiar sportowy ścigania się przez cały kontynent, ale też polega na odkrywaniu i przekraczaniu granic własnych możliwości. Taki test charakteru – tłumaczy.

O tym teście często opowiadał legendarny kolarz i twórca wyścigu TCR Mike Hall, który zginął potrącony przez ciężarówkę podczas 5,5 tysiąca kilometrów zawodów w Australii. Duch Mike’a jeszcze wróci w tej opowieści.

To, że nie można pomóc koledze lub koleżance w potrzebie, jest psychologicznie bardzo trudna. Ale jeszcze bardziej świadomość, że nikt nie może pomóc tobie. Po kilku tysiącach kilometrów najprostsza czynność, jak choćby podłączenie nawiązki do powerbanku, okazuje się poważnym wyzwaniem. A zabroniona jest nawet pomoc przy zarezerwowaniu noclegu. To niby nic trudnego wyszukać cokolwiek w sieci i zadzwonić, ale zabiera czas i energię.

– W końcówce wyścigu w Grecji, po 3 tysiącach kilometrów, kiedy byliśmy już wycieńczeni dystansem i upałem, jeden z zawodników wypadł z zakrętu i miał do wymiany obie dętki. Niby-rutynowa usterka, a on stał bezradny na poboczu i kompletnie nie umiał sobie poradzić. Nie wyglądało na to, żeby coś stało się z kołami, najpewniej był tak roztrzęsiony po kraksie – opowiada Joanna. – Zaproponowałam, że mu pomogę, ale nie przyjął oferty, bo wtedy straciłby szansę na ukończenie wyścigu w ramach klasyfikacji generalnej, czyli nie tylko w limi-

cie czasu, ale i zgodnie z regułami samowystarczalności.

Ta klasyfikacja to wyznacznik postępu, jaki się dokonał i klasy zawodnika, bo ujęta jest w niej mniej niż połowa startujących. Dobrze, że zasady zezwalają chociaż na korzystanie z ogólnodostępnej infrastruktury – serwisów rowerowych, hoteli czy sklepów. Liberalizm organizatorów idzie tak daleko, że do serwisu w przypadku awarii można podjechać transportem publicznym – ale potem do miejsca, gdzie się przerwało, trzeba już wrócić rowerem.

Joanna mówi, że na wyścigach mało sypia – przez 12 dni na TCR kilka razy po 2-3 godziny. Śmieje się, że jej podejście do ścigania można określić jako martyrologiczne.

Pomaga jej doświadczenie, z każdym wyścigiem zna siebie lepiej i lepiej planuje. Liczy się nie tylko przygotowanie kondycyjne, ale i logistyczne, czyli dobór ekwipunku czy planowanie postojów. W przypadku wyścigów w najbardziej rygorystycznej formule samowystarczalności, obowiązuje zasada, że co zabierasz na start, musisz dowieźć na metę. Czyli nie można zostawiać żadnego ekwipunku po drodze.

– Zawsze mam lekką kurtkę puchową i śpiwór, którzy waży 200 gramów, sięga mi tylko do pasa, ale razem powstaje kombo do spania. Wszystko musi się zmieścić w torbie podsiodłowej – mówi Joanna. – Trzeba kombinować, na przykład zapasowe skarpetki mogą być rękawiczkami. Po 12 dniach jazdy każdy wygląda jak lump, nawet jeśli starasz się prac te rzeczy po drodze.

Sukces może zależeć od tak banalnej rzeczy jak stan tyłka. – Jeśli zaniedbasz higienę, dorobisz się odparzeń, to nie usiedzisz na siodełku. Mam dodatkowe spodenki, specjalne kremy plus środki medyczne na rany – wylicza Joanna. – Ale wiem, że czołówka męska w ramach minimalizacji bagażu nie bierze zapasowych spodenek.

Drugą najczęstszą przyczyną wycofania się z zawodów długodystansowych są problemy z szyją, tzw. kark Shermera. Mięśnie puszczają i nie możesz utrzymać głowy, która nagle wydaje się ważyć tonę. Nic z tym nie zrobisz. Ten problem to efekt różnych czynników: niedostatecznego przygotowania ogólnorozwojowego, złej pozycji na rowerze, ale przede wszystkim braku regeneracji i zbyt małej ilości snu.

– Mnie się przytrafiło to raz. Gdy ten problem wystąpi, można awaryjnie przewlec dętkę przez kask i zaczepić z tyłu o plecak czy kurtkę, aby odciągać głowę, bo inaczej opada i nie jesteś w stanie patrzeć na drogę – podsuwa Joanna. – A to nie tylko niebezpieczne dla ciebie. Stanowisz zagrożenie także dla innych.

Raz popuśla się Joannie prosta rzecz. – Jechałam na bezdętkowych oponach zalanych uszczelniaczem i nawalił mi wentyl – wspomina. I wszystko super, gdyby nie popuśło się również narzędzie. – Wsadziłam do opony dętkę, ale gdy ją pompowałam, rozleciała się pompka i zostałam z niczym – bez powietrza w oponach i bez możliwości ich napompowania. Do rana przeczekałam na przystanku autobusowym, a potem poszłam do najbliższego miasta kupić pompkę.

Co jeszcze może się wydarzyć? – Jeźdź na przerzutkach elektrycznych...

...ale fajnie, są wygodne i zwiększają niezawodność, bo się nie rozregulowują. Odpada problem brudnych czy rozciągniętych li-

nek – wtrącam zazdrośnie. Lecz okazuje się, że jak w życiu – coś za coś.

–...i wiem, że szanse ich naprawienia w razie awarii na trasie są zerowe – przyznaje Joanna. Dlatego przed wyścigiem zawsze robi duży serwis, wymienia wszystkie zużyte części. Chce mieć pewność, że zrobiła wszystko, co możliwe, by bezawaryjnie przejechać Europę. Albo żeby awarie były drobne i mogła sobie z nimi poradzić we własnym zakresie.

I tak niespodzianek na trasie jest mnóstwo. Wyścig TCR ma 4 tys. km, a trasę zawodnicy układają sami. Niby na jej zaplanowanie jest kilka miesięcy, ale nie da się uniknąć wpadek.

Podczas planowania trasy każdy coś pomyli – miał być most i jest, ale zamknięty, miał być asfalt i jest, ale w takim stanie, że łatwiej byłoby jechać po górskiej kamienistej ścieżce, zaplanowaliśmy stromy podjazd, a okazuje się, że mogliśmy przejechać doliną, tylko mapa nie uwzględniła lokalnej gruntówki. Miał być otwarty sklep, a jest nieczynny od roku.

**Jeśli zaniedbasz higienę,
to nie usiedzisz na siodełku.
Mam dodatkowe spodenki,
specjalne kremy plus środki
medyczne na rany.
Ale czołówka męska nie bierze
zapasowych spodenek**

Zawodnicy mają lokalizatory, które pozwalają śledzić przebieg wyścigu na stronie organizatora. *Dot-watching*, czyli śledzenie kropek, to nieodłączny element ultrakolarstwa, coś, co sprawia, że jazdą emocjonują się tysiące ludzi. Ale też element kontroli zawodników pozwalający weryfikować na bieżąco przestrzeganie zasad.

Z założenia jedzie się cały czas, dzień i noc. Zawsze trzeba być gotowym na niespodzianki, droga w remoncie, i co, że kilkudniowym – musisz szukać objazdu, nabijając kolejne kilometry w obolałe nogi. Trzeba sobie radzić na bieżąco, czyli kombinować. Kiedyś w Słowenii ulewy spowodowały powódź i zawodnicy musieli szukać objazdów zalanych dróg. Innym razem organizator rozsyłał ostrzeżenia o psach pasterskich, które atakowały zawodników.

– Mam trzy rowery, w tym jeden wyścigowy szosowy, ale zmodyfikowany, na szerszych oponach – wylicza Joanna. – W tym roku będę jechać Race Through Poland, Via Race z południa Włoch do Holandii oraz licząc 2 tys. km i 40 tys. m przewyższeń wyścig w Pirenejach w październiku. Tam wyzwaniem będą góry i pogoda.

Joanna ma 51 lat i nigdy nie miała nic wspólnego z zawodowym kolarstwem. Jest tłumaczką języka angielskiego, nie zabiega o sponsorów. – Mam wolność w wyborze startów. Jak się wycofam, to zawiodę tylko siebie. Moje starty traktuję jako przygodę – wyjaśnia. – Ścigamy się o nic, nie ma nagrody innej niż szacunek w środowisku ultrakolarskim.

PAWEŁ PUŁAWSKI, wielokrotny finiszier Trans Continental Race, który organizuje

wzorowany na kultowej imprezie polski wyścig Race Through Poland, dobrze pamięta, jak zaczynał przygodę z kolarstwem. – Przez pięć lat studiów pracowałem w kurierce, na pełen etat spędzałem dzień na rowerze.

Spodobało mu się to środowisko, wchodził głębiej w temat i na majówkę postanowił pojechać z Wrocławia do rodzinnej miejscowości Jazowsko koło Nowego Sącza.

– Wyszło mi 360 kilometrów w 20 godzin na stalowym rowerze z ostrym kołem, czyli z jednym przełożeniem, bez przerzutek i z zębatką zblokowaną z piastą, bez wolnobiegu, co oznacza, że nie możesz przestać pedałować, bo łańcuch cały czas kręci korbą – wspomina. – Nie zapomnę tego zmierzania się z ciemnością, zmęczeniem, górami pod koniec.

Wtedy nawet nie wiedział, że są takie zawody rowerowe. – Koledzy podrzucili mi film o uczestnikach trzeciej edycji TCR. Pomyślałem: ja piernicze, to jest coś dla mnie.

Wystartował w 5. edycji, w 2017 roku. Pierwsze dwa dni jechał razem z kolegą, jednak Emilian musiał się wycofać.

– Po drodze straciłem nawigację, połowę trasy jechałem na papierowej mapie, w Serbii musiałem iść do szpitala z powodu kontuzji kolana, dostałem blokadę, czyli bloker bólu, ale i tak ostatnie kilometry szedłem i pchałem rower. Dojechałem prawie ostatni, nawet dostałem specjalną koszulkę dla tych z końca stawki. Wtedy rzuciłem się z motyką na słońce, ale połknąłem bakcyła. Od tego czasu przejechałem 25 wyścigów na długich dystansach, w tym cztery razy TCR.

Rok po śmierci Mike'a Halla pojechał w nieformalnym wyścigu w Australii.

– Tym, który on organizował i w którym zginął, 5,5 tysiąca kilometrów, tylko już bez statusu formalnych zawodów, ponieważ po wypadku organizator dostał wezwanie od prokuratury, aby je odwołać. Jednak kilkadziesiąt osób było zdecydowanych, miało bilety na samolot, przygotowało siebie i sprzęt, więc przejechaliśmy te pół tysiąca kilometrów zgodnie z zasadami wyścigu ku czci Mike'a.

Tam też Paweł jechał na surowym, bezkompromisowym ostrym kole i już uświadamiał sobie, że może się serio pościgać, a nie tylko przejeżdżać dystanse, dobrze się bawiąc i szokując innych zawodników.

– Dolożyłem treningi, zmieniłem sprzęt. I dwa lata temu w TCR sklasyfikowano mnie na trzecim miejscu, a na Trans America Bike Race byłem drugi. A to 6,7 tys. km, 18 dni jazdy po prawie 400 km dziennie.

Pytam Pawła, ile ma rowerów. – Mniej niż pięć. Jeden główny, tzw. road plus, czyli połączenie gravela i szosy, mam też rower cargo czy towarowy, jak wolisz, typową szosówkę, górski i ostre koło. A, no to już wyszło pięć – wylicza.

TCR tak bardzo mu się spodobał, że postanowił zorganizować coś podobnego w Polsce. Race Through Poland jest krótszy, około 1500 km do przejechania, cztery obowiązkowe punkty kontrolne i cztery odcinki specjalne o długości 20-100 km. To, co się dzieje pomiędzy, to wybór uczestników.

Choć też nie do końca. Zawody Pawła od innych ultra wyróżnia żelazna zasada: nie można korzystać z dróg krajowych. Czyli wszystkie trasy o numerach jedno- i dwucyfrowych są zakazane. To istotne utrudnienie dla zawodników jest podyktowane względami bezpieczeństwa.

W tym roku odbędzie się 7. edycja. Trasa zahacza o Niemcy, Czechy i Austrię. Na start zapisało się 145 kolarzy, sami amatorzy.

Nagroda jest taka sama jak w TCR. – Satysfakcja, duma i szacunek. Wieksość zawodników jedzie, aby spełniać marzenia. To niszowy sport, mało jest sponsorów, to nie jest poziom sponsoringu kolarstwa zawodowego, gdzie zawodnicy nawet na poziomie regionalnym mogą z tego jakoś żyć – przyznaje Paweł.

I już szykuje się do startu w swoim II Transcontinentalu. W tym roku czeka go około 5 tys. km z Santiago de Compostela po wybrzeże Morza Czarnego w Rumunii. Trzeba dobrze wcelować w prom przez Adriatyk, aby nie tracić czasu.

MARCIN GRUDZIŃSKI w pierwszy majowy weekend zorganizował już po raz czwarty w Małopolsce ultramaraton Lajkonik.

Marcin wie, jak smakują długodystansowe zawody, bo w 2024 r. z Piotrem Albotą przejechali jeden z najbardziej epickich maratonów rowerowych – Silk Road Mountain Race. 2 tys. km po górach w Kirgistanie pokonali w 11 dni. Zajęli trzecie miejsce w parach, co do tej pory na tak trudnym maratonie nie udało się żadnej parze z Polski.

Jego Lajkonik mieści się w maratonowej normie, trasy 250-1000 km. Tak jak na najbardziej liczących się światowych wyścigach obowiązuje formuła samowystarczalności, tutaj jednak zawodnicy mogą sobie pomagać. No i na 1000 km mają limit 120 godzin, czyli pięć dni. A jednak jego uczestnicy relacjonują, że to chyba najtrudniejszy wyścig rowerowy w Polsce.

Tegoroczna edycja to także nowość – 600 km wyłącznie na szosie. Też niby nic wielkiego. Ale połowa zawodników tego wariantu postanowiła zejść z trasy i otrzymali status DNF. „Did Not Finish”, nie ukończył.

Kto odpada po drodze? Pierwszy powód to słaba kondycja lub kontuzja albo kontuzja zaniedbana, niedoleczona, np. kolano, które podczas 100-kilometrowej przejażdżki spisuje się jak nowe, ale odezwie się po kilkuset kilometrach.

Drugi powód to usterki techniczne roweru – coś nieprzeserwisowane, coś niedokręcone, nieskontrolowane zawczasu.

Trzeci powód to głowa. Czasem schodzą zawodnicy w dobrym stanie fizycznym, ale zajęchani mentalnie.

Wydawało mi się to niemożliwe – jak to, zrezygnować, gdy wciąż jest się w formie? Przecież można się jakoś pozbierać, zmotywować.

Aż wysłuchałam relacji z przejazdu chłopaków po Kirgistanie. Brak jedzenia, przeszywające zimno i niedźwiedzie o poranku na przełęczy. Byli i tacy zawodnicy, którzy rezygnowali po kilku dniach i kilkuset przejechanych kilometrach. Choć musieli zawrócić sto kilkadziesiąt kilometrów, aby zejść z trasy w miejscu, gdzie mogą liczyć na jakiś transport, woleli to niż dalszą jazdę.

A potem spojrzałam na itiner, czyli szczegółowy plan Lajkonika. Górki, wzniesienia, wzgórza i prawie góry. 25 tysięcy metrów przewyższeń. Czyli 25 km do podjechania w pięć dni.

Za dwa tygodnie będę jechał mój czwarty wyścig. Płaski, po Mazowszu. Ale i tak nerwowo jeszcze raz studiuję mapę. Wzniesień jak na lekarstwo, w zamian pustkowia. Z Różana do Serocka, najpierw wzdłuż Narwi w Puszczy Białej, potem lewym brzegiem Bugu.

Pewnie będę jechał to w nocy, pewnie będę jechał sama, bo wszystkie harpagony już dawno na mecie. Dobrze, że to tylko 100 km. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Danuta Pawłowska

• Magister inżynier od mechaniki i ekonomii oraz absolwentka podyplomowego dziennikarstwa. Kilka miesięcy spędziła w Parlamencie Europejskim. Od 2016 r. pracuje w „Wyborczej”. W dziale BIQdata zajmuje się analizą i wizualizacją danych oraz współpracą z działami danych w europejskich mediach. Jest miłośniczką wymagających leśnych i górskich wypraw zarówno na nogach jak i rowerze. Brała udział w wielu zawodach ultra i za sukces liczy sobie ukończenie w limicie czasu.

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY:
Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielniński;

MAGAZYN-KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymalski, Andrzej Kulasek, Grażyna Zabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski; **FOTOEDYCJA:** Rafał Szczepankowski, Dominik Gajda (Ale Historia)
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas

Biurow reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.





Ambasador

Gazety Wyborczej

Dołącz do wyjątkowego grona **100 osób**, które wspierają wolność słowa i rzetelne dziennikarstwo

W świecie pełnym dezinformacji rzetelne źródła wiadomości mają wyjątkową wartość. Dlatego stworzyliśmy Pakiet Ambadorski – limitowaną propozycję dla 100 osób, które chcą wspierać niezależne dziennikarstwo.

To jednorazowa inwestycja we wspólne wartości – wolność słowa, prawdę i rzetelność. W „Gazecie Wyborczej” doskonale wiemy, ile kosztuje obrona tych wartości.

Przez osiem lat rządów PiS byliśmy zasypywani pozwami, zastraszano naszych partnerów, hejtowano piszących na naszych łamach dziennikarzy. Robiliśmy jednak to, co do nas należy – patrzyliśmy władzy na ręce i ujawnialiśmy kłamstwa. Przetrwaliśmy ten czas dzięki wsparciu osób takich jak Ty.

Bycie Ambasadorem „Gazety Wyborczej” to nie przywilej. To wybór tych, którzy chcą realnie wpływać na przyszłość wolnych mediów w Polsce.

Adam Michnik
i zastępcy redaktora naczelnego
„Gazety Wyborczej”: **Roman Imielski,**
Aleksandra Sobczak, Bartosz Wieliński

Co zyskujesz jako Ambasador „Gazety Wyborczej”?

- ✓ Pełny dostęp na zawsze do treści Wyborcza.pl dla Ciebie i 2 osób
- ✓ Udział w kameralnym spotkaniu w redakcji z Adamem Michnikiem – wspólnie podsumujemy wybory prezydenckie
- ✓ Limitowany, unikatowy gadżet – pamiątka tylko dla Ambasadorów

Dowiedz się więcej na  **wyborcza.pl/ambasador**



Fenomen Woronowicza

Mem CZY everyman?

Według Adama Woronowicza
granie komedii właściwie niczym
się nie różni od grania dramatu.
Poza tym, że widzowie się śmieją.

Piotr Guskowski

Ludzie rozpoznają go po głosie. Ma charakterystyczny, trochę nerwowy śmiech. W zależności od sytuacji można w tym śmiechu wyczuć albo próbę przypodobania się komuś, albo nutę politowania.

Do tego łysina. Oswoił się z nią, ba, uczynił z niej swój atut. Żartuje nawet, że taka fryzura to idealny punkt wyjścia dla charakterystyki: łatwo zgolić na łyso albo nieco uzupełnić, można pożyczyć z jednej strony i zaczesać na bok czy nawet wydłużyć.

Był czas, kiedy Adam Woronowicz unikał komedii, w ostatnich latach wszedł w ten repertuar na całego.

Tragikomiczny urok nasz

W wywiadzie dla „Teatru” przekonywał, że brakuje nam dziś reżysera jak Andrzeja Munk, który pokazałby polską rzeczywistość w świetle tragikomicznym.

– Bo jesteśmy tragikomiczni – mówił Woronowicz. – W dramacie jesteśmy bardzo śmieszni, a w komedii bardzo dramatyczni. Bo i jako ludzie, i jako aktorzy my, Polacy, jesteśmy rozpięci między prozaicznością a romantyzmem, a gdy coś się stanie, od razu wyciągamy „Dziady”. Po czym znowu wpadamy w próżnię i „olbrzymy” w nas zaczynają spać.

Ta diagnoza tłumaczy przyczyny sukcesu aktora. Tworzone przez Woronowicza postaci są właśnie tragikomiczne. W najdoskonalszy sposób wyraża się to w kreacji w serialu „The Office PL” (od 2021). Woronowicz gra tu Darka Wasiaka, logistyka w siedleckiej firmie Kropliczanka produkującej wodę mineralną.

Na pierwszy rzut oka Darek Wasiak jest materiałem na mem. Miłośnik rekonstrukcji historycznych, zajadły przeciwnik ekologii, wege, politycznej poprawności oraz postanowień z Magdaleny. Stara nokia, kanapki z salcesonem, góralskie kapcie albo sandały, które zakłada po przyjściu do pracy. Woronowicz sam podpatrzył w jednym z biur na warszawskim Mordorze, że ludzie zmieniają buty na wygodne.

– Kiedy obserwuję go na planie, mam poczucie, że to dziecko w ciele dorosłego człowieka – w pozytywnym sensie, chodzi o radość z grania kolejnych scen – mówi o Woronowiczu scenarzysta serialu Jakub Rużyłło. – Każda scena zdaje się dla niego pozytywnym wyzwaniem, zero odpuszczania. Z tego powodu zdarza nam się ścierać o konkretne kwestie. I to raczej on wychodzi zwycięsko z tych potyczek, bo prawda jest taka, że czego Adam nie zagra, to jest zawsze śmieszne.

Ada(ś), to nie wypada

Od dziecka godził w sobie skrajności: ministrant z powołania, oazowiec, stały bywalec szkolnej biblioteki, a przy tym łobuz nie do okiełznania. Mama wracała z wywiadówką załamana, w dzienniku marne oceny i pełno uwag.

Zanosilo się na to, że Adam Woronowicz wylądował w szkole specjalnej. Szczęśliwie trafił jednak na scenę, gdzie mógł spożytkować rozpierającą go energię.

W akademiku szkoły teatralnej dzielił pokój z chłopakiem spod Grodziska – Marcinem Dorocińskim. Na studiach dalej bawił towarzystwo wygłupami. Profesorka wzięła go na bok: „Adasiu, nie jestem w stanie prowadzić zajęć. Rozśmieszasz wszystkich”.

Woronowicz doszedł do wniosku, że komedia to pójsie na łatwiznę. Postawił na repertuar dramatyczny, poważne role. Bezwzględny gangster w „Chrzcie” (2010), seryjny morderca z „Czerwonego pająka” (2015), były kapral Wojska Polskiego wywieziony z rodziną na Syberię w „Syberiadzie polskiej” (2013), a przede wszystkim ks. Jerzy Popiełuszko w „Popiełuszko. Wolność jest w nas” (2009).

Co nie znaczy, że ukrywał talent komediowy. Wystarczy wspomnieć jego popis w „Rewersie” (2009) Borysa Lankosza, gdzie wcielił się w pretendenta do ręki głównej bohaterki, który wizytę zapoznawczą skończy pijany pod stołem. Albo „Baby są jakieś inne” (2011) Marka Koterskiego, w których z Robertem Więckiewiczem przez półtorej godziny przeklinają owe baby, dając wyraz bezradności, frustracji i kryzysowi, jaki dopadł facetów.



1 • „The Office PL” (2021-) serial o życiu biurowym w firmie Kropliczanka, gra logistyka Dariusza Wasiaka. Na zdj. z Michałem (Piotr Polak) swoim nierozgarniętym szefem

2 • „Teściowie” (2021) Komedie o weselu po odwołanym ślubie. Jako

Tadeusz, mąż Wandy (Izabela Kuna), ojciec Weroniki, niedoszłej panny młodej. Zagrał tę postać także w drugiej (2023) i trzeciej części (premiera w tym roku)

3 • „LOL: Kto się śmieje ostatni” (program satyryczny) w stroju robota

4 • Jako „Pan Łomżunia”. W reklamie piwa Łomża występuje od 2021 r.

5 • „Depresja komika”, sztuka w Teatrze Polania (premiera w 2013 r.). Zagrał terapeutę Rafała Rutkowskiego. Na zdj. aktorzy i reżyser spektaklu Michał Walczak



Potrzeba komedii

Przełomem okazało się spotkanie z Rafałem Rutkowskim, kolegą z rodzinnego Białegostoku. W 2013 r. na deskach stołecznego Teatru Polonia zrobili pod okiem Michała Walczaka two-man show „Depresja komika” o podejściu Polaków m.in. do terapii i ciemnej stronie rozbawiania.

– Gramy terapeutę i komika, ale tak naprawdę jesteśmy lustrem ludzi po drugiej stronie. Dotykamy rzeczy, które są w nas niepozamykane, nieprzerobione, nieprzepracowane, jesteśmy tym obciążeni. Żyjemy z jakimś garbem, strach włączyć telewizor, jesteśmy przybici tą rzeczywistością – mówił wtedy Woronowicz w rozmowie z „Wyborczą”.

Krytyk Jacek Sieradzki w „Subiektywnym spisie aktorów teatralnych” pisał o Woronowiczu: „Ładuje w komediowe scenki całą swoją energię, tańczy, śpiewa, sprzedaje kawałki prywatności, jak się należy w stand-upie. Jest chodzącym, ba, szalejącym po scenie dowodem na to, że każdy aktor, najpoważniejszy i najartystyczniejszy, potrzebuje raz na jakiś czas występu w żywiołowej zgrywie (byłe zawodowo przyzwoitej!), pofolgowania temperamentowi, bezpośredniego odczucia miłości i oddania zakochanej widowni”.

Według Woronowicza granie komedii właściwie niczym się nie różni od grania dramatu. Poza tym, że widzowie się śmieją. Ze względu na tempo i intensywność komedia bywa też rzecz jasna większym wyzwaniem fizycznym.

Przekonał się o tym na planie „Mayday” (2020). Co prawda adaptacja farsy Raya Cooneya średnio się udała, ale Woronowicz jest tu nie do zdarcia. Ma brawurowe sceny, zagrane niemal na jednym oddechu.

Świetnie odnajduje się w duecie z Piotrem Adamczykiem. Obaj pierwszy raz wystąpili razem jeszcze w szkole teatralnej. To był dyplomowy spektakl Adamczyka „Gwałtu, co się dzieje!”. Mieli na sobie sukienki, fartuszki i pantofelki. – Okazało się, że na naszym roku nie ma takiego komediowego aktora jak Adaś, więc go po prostu zaangażowaliśmy – wspominał w jednym z wywiadów Adamczyk, który był dwa lata wyżej od kolegi.

Skąd ja pana znam?

W pewnym momencie Woronowicz zdał sobie sprawę z tego, że większą popularność niż role w filmach czy serialach przyniósł mu udział w reklamach. Starał się wybierać kampanie pomyślane z humorem. W spotach banku ING nawiązywał do bohaterów z kina Koterskiego: odkrywał, że znajomym sprzed lat udało się zrealizować plany, które u niego pozostały wyłącznie w sferze marzeń, albo ponosił konsekwencje zaciągniętej u babci pożyczki na wakacje w Bułgarii.

Teraz krzyczą za nim na ulicy „Pan Łomżunia!”. Woronowicz sączy piwko i delektuje się spokojem. Wypowiada dźwięczne zdrobnienia, odświeża rzadziej używane słowa „gdrzył” czy „bączek” (butelka o poj. 330 ml). Niektórzy twierdzą, że to jego najlepsza rola. Aktor się jednak nie obraża.

Mówią o nim, że mógłby zagrać wszystko. Woronowicz jest innego zdania. W programie „Szkoła filmowa” przyznał: – Trudno byłoby mi grać namiętnego kochanka, byłbym chyba śmieszny bardzo.

Idealny kochanek nieidealny

Gdyby był śmieszny, to chyba bardziej ze względu na konwencję, a nie dlatego, że wypada w tej roli nieprzekonująco. Jak

– Każda scena zdaje się dla niego pozytywnym wyzwaniem, zero odpuszczania. Z tego powodu zdarza nam się ścierać o konkretne kwestie. I to raczej on wychodzi zwycięsko z tych potyczek, bo prawda jest taka, że czego Adam nie zagra, to jest zawsze śmieszne

JAKUB RUŻYŁŁO
scenarzysta The Office PL

w „Moim wspaniałym życiu” (2021), gdzie kochankiem Agaty Buzek okazuje się dokarmiający gołębie nauczyciel higieny chowu bydła. Reżyser Łukasz Grzegorzek zdradził mi, że zdecydował się na Woronowicza ze względu na jego wielki, przepiękny pępek.

– Na zdjęcia próbne zaprosiliśmy sześciu kandydatów: jeden miał zachwycające włosy na plecach, drugi czerwone plamy na skórze, kolejny cudowną łysinę, inny piersi – wspominał. – Adam miał jednocześnie wiele z tych zalet. Ale oprócz tego ma w sobie dużo łagodności i czułości, którymi nasz filmowy kochanek obdarza bohaterkę.

Do wspomnianych atrybutów Iza Kuna dodałaby pewnie jeszcze jeden: smutek w oczach. Woronowicz był jej kochankiem w serialu „Klara” (2023), z kolei w „Teściach” zagrali małżeństwo (2021,2023). Tadeusz z poczciwiec z prowincji zagubiony na salonach. W niemodnym garniturze, z tupetem à la Marek Citko, stłamszony pod pantoflę bojowo nastawionej żony. Zaciąga jak „sledzik”, a kolejne kieliszki tylko rozwiązują mu język.

O dziwo dystansu do aktorstwa, a przy okazji do siebie, Woronowicz w dużej mierze nabrał dzięki reklamom.

– Stosunkowo późno uświadomiłem sobie w moim zawodzie jedną rzecz. Bardzo mi brakowało, żeby zaakceptować, że mogę być nieporadny, mogę nie mieć kaloryfera, mogę mieć niewyrzeźbione ciało, mogę być nieidealny – bo tacy jesteśmy – mówił w programie „Z Gwiazdami”.

Myszę, że to jest jeden z powodów, dlaczego budzi taką sympatię. Nie boi wystawić się na śmiech, odkryć swoich słabości i niedoskonałości. Ludzie nie czują się przy nim gorsi. I jeszcze jedno: Woronowicz otwarcie mówi o swojej wierze, ale nigdy nie zadeklarował się politycznie. Nie jest ani nasz, ani wasz. Jest po prostu swój.

Lubi grać przegrywów i dobrze mu to wychodzi

Jego Darek z „The Office PL” to niby boomer i konserwa, a jednak lubią go zarówno współpracownicy, jak i widzowie. Może dlatego, że poza wszystkim jest koleżeński

i bardzo lojalny? Mówi, że nie miałby problemu ze zwolnieniem połowy osób w biurze, ale w kryzysie okazuje wsparcie.

Woronowicz umiejętnie wygrywa podejrzliwość Darka, jego dziwactwa i kolejne niezręczności w relacjach z kolegami, ale nigdy nie popada w karykaturę. Reprezentuje cechy i mentalność, które dobrze znamy. Na podobnej nucie aktor wcielił się teraz w ekscentrycznego wyznawcę teorii spiskowych i preppersa, czyli tytułowego „Wujka foliarza” (2025) w filmie Michała Tylki.

Jakub Rużyłło podkreśla, że Woronowicz lubi odsłaniać wrażliwość Darka. – Gdy spojrzysz na Dwighta, czyli pierwotny wzór postaci Darka [z amerykańskiej wersji „The Office”], to jest to postać dużo rzadziej okazująca jakąkolwiek słabość. Regularnie przegrywa, bo taka jest rola tej postaci w tym świecie, ale raczej nigdy się do tego nie przyznaje, nie odsłania się. Woronowicza z kolei naturalnie ciągnie do odgrywania postaci świadomej swojego tragicznego położenia, dużo bardziej kruchej niż Dwight. Woronowicz lubi być przegrywanym i dobrze mu to wychodzi. Rozpoznanie tej tendencji spowodowało, że też zacząłem pisać tę postać w taki sposób, żeby pozwalać jej na pokazywanie tej bardziej wrażliwej strony i większej niestabilności emocjonalnej.

W gruncie rzeczy Darek jest postacią na wskroś tragiczną. Utknął gdzieś pomiędzy PRL-em, który wspomina z rozrzewnieniem – choć jest zadeklarowanym antykomunistą – a współczesnością. Utknął w pracy bez większych perspektyw na awans. A przede wszystkim: w nieszczęśliwym małżeństwie. Mieszka z żoną, choć od lat są w separacji.

– Dlaczego uważam, że podróże w czasie nie są możliwe? Bo gdyby były możliwe, 20-letniego mnie odwiedziłby 40-letni ja i powiedział: „Darek, zabieraj ten pierścienek i gerbery, i uciekaj – ona zrujnuje ci życie!”. Nie zrozumcie mnie źle: kocham moją żonę. Tylko nie za bardzo ją lubię – wyznał do kamery, z trudem powstrzymując łzy.

I to jest klucz. Woronowicz wystawia siebie na śmiech, ale jego bohaterowie nie stają się pośmiewiskiem. ●

Czułość. Wolność. Równowaga

Kiedys, gdy na porodówkę wchodziła 28-latką, położne zaznaczył jej wiek na czerwono, bo „stara pierwiastka” wymagała szczególnej uwagi. Dziś nikogo nie dziwi czterdziestolatka w ciąży.

Ciąża po czterdziestce

FOT. THOMAS BARWICK/GETTY IMAGES

Katarzyna Staszak

I o wideo bije na Instagramie rekordy popularności. Aga Rogala, popularna terapeutka rodziców, autorka poradników dla rodziców i par, siedzi przy stole, je i mówi do kamery. – Coraz więcej kobiet po czterdziestce rodzi dzieci. Nawet trochę zainteresowałam się tym tematem. Wszystko, co znalazłam na Instagramie było o tym, że to pierwsze dziecko, takie wystarane.

A przecież wiele kobiet zaszło w ciążę po czterdziestce nie dlatego, że planowały i walczyły o tę ciążę. Była to trochę niespodzianka. Te kobiety już mają dzieci. Może nawet myślały, że będą odcinać kupony od tego, że dzieci są coraz starsze, a tu nagle bęc! Gdzie one są te kobiety? Czy one w ogóle są na Instagramie, bo przecież, kurczę, istnieją. Może warto, żeby one miały większą reprezentację w mediach społecznościowych? – zapytała Aga Rogala i wstała z krzesła pokazując ciążowy brzuch. To będzie jej czwarte dziecko. Ma 43 lata, a jej dzieci mają lat 16, 14 i 8.

– Znowu będę musiała chodzić często do przychodni. To była moja pierwsza myśl, gdy się dowiedziałam o ciąży. Potem pomyślałam, że będę się potykać o wanię. To mnie jakoś emocjonalnie zdołowało. A potem uznałam, że nie mogę przewidywać trudno-

ści. I to jest zaskakujące dla mnie, ale po prostu przestałam się martwić. Nie sądziłam, że mam taką umiejętność – mówi Aga. – Jestem mocno obecna tu i teraz. Uwielbiam patrzeć, jak zbiera się burza. W takich momentach wychodzę przed dom i po prostu podziwiam. Bez myślenia o tym, czym powinienam się zająć zaraz czy za tydzień – opowiada Aga Rogala.

W odpowiedzi na swój „ciążowy coming out”, dostała masę wiadomości od kobiet, które zaszły w niespodziewane ciąży po czterdziestce. To opowieści o tym, jak są szczęśliwe, mimo początkowego zaskoczenia.

3 proc. szans na ciążę

Warynia Grela, współzałożycielka sieci perfumerii Galilu, urodziła syna, gdy miała 45 lat. – Długo myślałam o dziecku. Kiedy skończyłam 40 lat, podjęłam decyzję, że skoro nie udało się inaczej, to będę samodzielną mamą. Zawsze o sobie dbałam, nie lubiłam alkoholu, nie piłam kawy, nie paliłam, uprawiałam dużo sportu. Pierwszą miesięczkę miałam w wieku 15 lat, wydawało mi się, że może dzięki temu moje ciało jest biologicznie młodsze – wspomina Warynia.

Gdy oznajmiła ginekolożce, że jest gotowa na dziecko, usłyszała, że w tym wieku ma 3 proc. szans na donoszenie ciąży. – Jestem optymistka, więc uznałam, że to liczba wystarczająca dla mnie. Gdy już byłam w ciąży, ginekolożka powiedziała, że właściwie to nie ma statystyk dla kobiet takich jak ja – zdrowych, które po czterdzie-



**Warynia Grela
urodziła syna,
gdy miała 45 lat.**

**Kiedy powiedziała
ginekolożce, że jest
gotowa na dziecko,
usłyszała, że w jej
wieku ma 3 proc. szans
na donoszenie ciąży.
– Jestem optymistką,
uznałam, że to liczba
wystarczająca
dla mnie**

stce zaczęły starania o pierwsze dziecko – mówi Warynia Grela.

Urodziła syna dziewięć lat temu. – Ciąża to był jeden z najlepszych okresów w moim życiu. Nie miałam żadnych dokuczliwych objawów, biegałam, chodzi-

łam na siłownię do samego końca. Czułam się atrakcyjna i to było bardzo przyjemne – opowiada Warynia.

Wydawało się jej, że jest dobrze przygotowana do porodu i połogu, dużo czytała, sprawdzała. – Tymczasem zaskoczyło mnie wiele rzeczy, np. to, że obkurczająca się macica tak boli i że karmienie piersią jest bolesne i trudne. Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? Nie zgadzam się z gloryfikacją macierzyństwa. To nie jest tak, że w momencie porodu spływa na nas gloria promienista i tak już zostaje, to często trudne doświadczenie, nie tylko fizycznie, ale również emocjonalnie.

Po cudownej ciąży przyszło zmęczenie i brak czasu na to, co kocham, np. sport czy kino. Uważam jednak, że jestem znacznie lepszą mamą, niż byłabym, gdybym urodziła mając lat dwadzieścia parę albo po trzydziestce. Nie byłam wtedy na to gotowa. Może wszystkie powinnyśmy rodzić po czterdziestce – mówi ze śmiechem Warynia.

Nowy wiek matek

Liczba dzieci urodzonych przez matki powyżej 40. roku życia rośnie. W 2023 r. stanowiły ponad 4 proc. noworodków. W 2010 r. takich dzieci było 2 proc. – podaje Główny Urząd Statystyczny.

W 2023 r. urodziło się w Polsce 272 tys. dzieci. Statystyczna kobieta rodząca wówczas pierwsze dziecko miała 29 lat, a statystyczna Europejka – niemal 30 lat.

Coraz mniej dzieci rodzą kobiety z grupy wiekowej 20-29 lat, a coraz więcej kobiet po 30. roku życia.

Jednocześnie wyraźnie zmniejsza się skala porodów wśród nastolatek (15-19 lat) – jest ich rocznie mniej niż pięć tys., a w 2010 było niemal 19 tys. Matki nastoletnie w tabeli GUS zamieniły się miejscami z matkami po czterdziestce. W 2010 r. na porodówkach nasto-

latek było tyle, ile dziś kobiet dojrziałych.

– Według umownej granicy późne macierzyństwo zaczyna się po 35. r. życia. Parę lat temu miałam doktorantkę, która pisała o tym rozprawę doktorską. Miała większy problem z zebraniem informacji od kobiet, które rodziły przed 35. rokiem życia, niż od tych starszych – mówi prof. Grażyna Iwanowicz-Palus, konsultantka krajowa w dziedzinie pielęgniarstwa ginekologiczno-położniczego.

Gdy zaczynała pracę jako położna o kobietach, które rodziły po raz pierwszy mając 28 lat lub więcej, mówiło się „stara pierwiastka”. – Miałymy wpojone, że to ważna informacja. W dokumentacji szpitalnej taki wiek zakreślało się czerwonym długopisem. To był znak, że na tę pacjentkę trzeba zwrócić większą uwagę, bo mogą pojawić się różnego rodzaju problemy czy też powikłania w trakcie porodu. Z automatu była kwalifikowana do cięcia cesarskiego, choć czasem natura była szybsza i kobieta rodziła drogami natury, zanim znalazła się na sali operacyjnej – wspomina prof. Iwanowicz-Palus.

Dzisiaj 28-lletnia rodząca należy do grupy młodych rodzących. Granica wiekowa się przesunęła, ale zwyczajnie nie. – Matki po czterdziestce częściej kwalifikuje się do cesarskiego cięcia. Nie ma takiej potrzeby, jeśli nie ma wskazań medycznych, jeśli rodząca jest zdrowa i ciąża przebiega prawidłowo. Mam nadzieję, że gdy w życie wejdzie zaktualizowany standard opieki okołoporodowej, kobiety w każdym wieku naprawdę poczują się bezpieczne na porodówkach. Dokument ma być wkrótce zatwierdzony przez Ministerstwo Zdrowia – mówi prof. prof. Iwanowicz-Palus.

Zaznacza, że choć ryzyko powikłań ciążowych i okołoporodowych rośnie z wiekiem, to ogrom-

ne znaczenie ma kondycja zdrowotna kobiety. Dwudziestokilkulatka ze znacznym stopniem otyłości jest częściej narażona na powikłania, które nie będą dotyczyć, lub znacznie rzadziej będą dotyczyć szczupłej i zdrowej czterdziestolatki.

Co na to komórki jajowe?

– Kobiety chcą dziś najpierw za dbać o wykształcenie, pracę, komfort życia. Na przestrzeni wieków zmieniły się nasze cele, ale niestety nie nasza biologia. Dojrzały wiek nie sprzyja płodności – mówi położna.

Już po 30. r. życia organizm kobiety produkuje mniej progesteronu, a to może zmniejszyć szansę na implantację embrionu. Pięć lat później wyraźnie zaczyna spadać płodność, zmniejsza się rezerwa jajnikowa. – Statystyczny czas płodności się skraca, także dlatego, że szybciej niż kiedyś pojawia się u dziewcząt pierwsza miesiączka, a to oznacza wyższe ryzyko szybszej menopauzy – zauważa prof. Iwanowicz-Palus.

Lata po czterdziestce to dla większości kobiet czas perimenopauzy, czyli stopniowy spadek stężenia hormonów produkowanych przez jajniki. Cykle miesięczkowe stają się nieregularne – skracają się, wydłużają, albo znikają na kilka miesięcy, żeby nagle wrócić. Np. akurat w dniu, gdy założyłyśmy białe spodnie. Długie przerwy w krwawieniach mogą uspić antykoncepcją czujność. Tym bardziej, że słyszymy o niemal zero-wych szansach na naturalne zapłodnienie. Stąd ciążę niespodziewane, głównie u kobiet, które już mają dzieci.

– W cyklach coraz częściej nie ma owulacji, czyli nie ma komórki jajowej. Plemniki niczego na swojej drodze nie spotka. Dla kobiet, które planują wtedy zajść w ciążę to właśnie przyczyna zmartwień. A jeśli komórki jajowe są, to często z wadami genetycznymi – tłumaczy dr n. med. Monika Łukasiewicz, ginekolożka, która prowadzi diagnostykę niepłodności i jest edukatorką menopauzalną.

Mówi, że choć bardziej dbamy o siebie, w wieku czterdziestu lat możemy wyglądać na trzydzieści, to naszych komórek jajowych to nie dotyczy.

– Dlatego warto w młodszych wieku rozważyć zamrożenie jajeczek. Wiele kobiet nie chce rodzić w wieku dwudziestu czy trzydziestu lat, nie wie nawet, czy kiedykolwiek będzie chciała mieć dziecko. Jednak mówię o tym, bo w gabinecie widuję mnóstwo smutnych kobiet po czterdziestce, które żałują, że tego nie zrobiły – mówi dr Łukasiewicz.

Za granicą mrożenie komórek jajowych na wszelki wypadek jest bardziej popularne. W Polsce takie zabezpieczenie płodności jest finansowane przez państwo tylko osobom, które czeka leczenie onkologiczne. Poza mrożeniem komórek jajowych i zarodków, lekarze mogą też pobrać i zamrozić tkankę jajnikową. W tym ostatnim przypadku po terapii wszczepia się rozmrożoną tkankę z powrotem do organizmu kobiety.

Polkom trudniej zamrozić jajeczka

– Mrożenie jajeczek z powodów społecznych, czyli bez podania podstawy zdrowotnej nie jest w Polsce prawnie uregulowa-

ne. Zawsze musimy udokumentować, że istnieje medyczna przyczyna zabezpieczenia płodności, np. endometrioza lub wczesna menopauza u matki. A może kobieta jest całkowicie zdrowa, ale nie chce być samodzielną matką po trzydziestce? Może spotka właściwego partnera dopiero mając 42 lata i wtedy zapagnie być matką? Szanse, że uda się to naturalnie są minimalne. Dlatego namawiam kobiety do zastanowienia się nad mrożeniem komórek jajowych. Powinniśmy też głośno domagać się zmian w prawie, żeby nie trzeba było szukać powodów zdrowotnych do wykonania tej procedury – przekonuje dr Łukasiewicz.

Metody in vitro sprawiają, że możemy stymulować organizm do uwolnienia większej liczby komórek jajowych. Lekarze je pobierają i mrozą lub w innych wypadkach zapładniają pod mikroskopem i umieszczają zarodek w ciele kobiety.

– Pobieranie komórek jajowych do wykorzystania w przyszłości ma sens do 38 r. życia. Z wiekiem ich jakość spada. Spadają więc też szanse na ciążę w przyszłości – tłumaczy dr Łukasiewicz.

Warynia Greła doradza młodszy koleżankom zamrożenie jajeczek: – Możesz nie wiedzieć w młodości, czy chcesz mieć dzieci, wcale nie musisz ich w przyszłości mieć. Możesz jednak dać sobie większą szansę na ich posiadanie. Będziesz zadowolona z tej decyzji, jeśli już się zdecydujesz na dziecko.

Zamrożenie komórek jajowych z badaniami, stymulacją hormonalną i pobraniem kosztuje ok. 10 tys. zł. Każdy rok przechowywania zamrożonych jajeczek to wydatek do tysiąca zł.

Menopauza nie wyklucza ciąży

Większość Polek przechodzi menopauzę ok. 51 r. życia. – Jedna na dziesięć kobiet ma wczesną menopauzę, czyli między 40. a 45. r. życia. U jednej na sto występuje pierwotna niewydolność jajników, mówimy o niej, gdy menopauza pojawia się przed 40. urodzinami – wyjaśnia dr Łukasiewicz.

Po menopauzie naturalne zajście w ciążę nie jest możliwe, wciąż jednak pomoc mogą metody in vitro. Jeśli kobieta zamroziła wcześniej swoje komórki jajowe lub zarodki, może z nich skorzystać. Nie ma tu limitu wieku, a brak miesiączek nie jest żadną przeszkodą. Do donoszenia ciąży potrzebna jest macica, a nie sprawne jajniki. Kto nie ma własnych komórek, może użyć komórek jajowych dawczyni. Możliwa jest też adopcja niewykorzystanych przez inną parę zarodków.

– Czasem słyszymy opowieści, że ktoś bardzo późno został matką. Błędem jest myślenie, że to kwestia diety i sportu. Najpewniej chodziło o zamrożone w młodości komórki jajowe – podkreśla dr Łukasiewicz.

Pod wieloma względami po czterdziestce jest najlepszy czas na rodzenie dzieci. Zazwyczaj czujemy się spełnione zawodowo, mamy w tej sferze większe poczucie bezpieczeństwa, nie boimy się, że przerwa nam zaszkodzi. Lepiej znamy siebie.

– Absolutnie nie poczuwam się do swojego wieku, cokolwiek miałyby on oznaczać. Zawsze zresz-



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Ada Rogala, 43 lata
i troje dzieci:
16, 14 i 8 lat.

Jest w czwartej ciąży

- Wiele kobiet

zaszło w ciążę po

czterdziestce nie

dlatego, że planowały

i walczyły o tę

ciążę. Była to trochę

niespodzianka.

Te kobiety już

mają dzieci

tą zapominam, ile mam aktualnie lat. Na pewno nie chciałabym się cofnąć do młodszych lat. Z czasem lubię siebie coraz bardziej – mówi Aga Rogala. – Choć przyznam, że przez moment martwiłam się, czy według ludzi nie jestem za stara na kolejne dziecko. Bałam się, że ktoś to negatywnie skomentuje, że może zmarnowałam karierę albo nie umiałam zabezpieczyć. Szybko się z tego wyleczyłam, bo dostałam przepiękny odzew w internecie. Myślałam też, że moja lekarzka mnie opieprzy. A ona tylko powiedział, że nie widzi u mnie żadnych problemów – opowiada terapeutka.

Uważa, że jej wiek i doświadczenie ułatwią bycie matką niemowlęcia. – Wiem, że wiele rzeczy mogę zignorować, nie muszą być mama zgodną z jakimś nurtem, nie muszę poddawać się różnym modom. Bycie dziś matką po raz pierwszy oznacza narażenie na stresy i lęki, które mają kobiety motywować, żeby wszystko dziecku zabezpieczyły, o wszystko zadbały, czyli ostateczni coś kupiły. Dojrzałość pozawala mi nie ulegać tej presji – stwierdza Aga Rogala.

Kumulacja opiekuńczych obowiązków

Wyzwaniem dla matek po czterdziestce może być łączenie opieki nad wciąż małym dzieckiem z obowiązkami transformacji menopauzalnej. Ale nie musi tak być. Jeśli tylko nie ma przeciwwskazań zdrowotnych, można skorzystać z hormonalnego wsparcia. – Brałam tabletki hormonalne przed menopauzą, a potem przeszłam na hormonalną terapię menopauzalną. Nie zauważyłam u siebie żadnych objawów – mówi Warynia Greła.

Objawy związane ze spadkiem poziomu hormonów to nie jedyna trudność z jakimi część kobiet musi zmierzyć się po czterdziestce. – Może się okazać, że mając małe dziecko musisz się równie zająć starszymi rodzicami. To zawsze wyzwanie, a przy małym dziecku jeszcze większe – zauważa Warynia.

Dzieci lepiej wychowane

Z badań wynika, że dojrzałe matki lepiej radzą sobie z wychowaniem dzieci. Niezależnie od pochodzenia, wykształcenia i finansów rodziców dzieci starszych matek mają w wieku szkolnym mniej problemów behawioralnych, społecznych i emocjonalnych.

Aga Rogala była już młodą matką, teraz będzie matką dojrzałą. – Spośród swojego grona przyjaciół i znajomych najszybciej wzięłam ślub i zaszłam w ciążę. Pierwsze dziecko urodziłam mając 27 lat. Kiedy moi znajomi zaczęli pracować na karierę, zajmowałam się dwójgim małych dzieci. Ale potem ja miałam bardziej samodzielne dzieci, a oni zajęli się zmienianiem pieluch. W międzyczasie wiele się zmieniło, wydaje mi się, że dziś normą jest podróżowanie z dzieckiem, łączenie „dorosłego” życia z bliskością dzieci. Ograniczenia są często w naszej głowie. Wiem, że są dzieci, które wymagają wiele uwagi, ale generalnie nie postrzegam ich jako blokady uniemożliwiającej kompletne życie i rozwój. Na pewno teraz zwolnię, bo przed zajściem w ciążę prulam do przodu. Ale myślę, że wiele dobrych rzeczy się wydarzy w moim życiu, także zawodowym, właśnie dlatego, że jestem w ciąży, a nie pomimo – podsumowuje Aga Rogala.

Czy ciąża odmładza ciało?

Istnieje przekonanie, że ciąża odmładza ciało. Gdy podnosi się stężenie hormonów, w lustrze widzimy lepszą skórę i włosy. Jednak ten efekt mija razem ciążą.

Jeśli bardziej powszechne stanie się mrożenie jajeczek, coraz więcej będzie cięż bliżej pięćdziesiątki. Katarzyna Sokółowska, jurorka w programie TVN Top Model, została matką mając 49 lat.

Czy ciąża w dojrzałym wieku jest obciążeniem dla organizmu? – Tak, choć znaczenie ma też tryb życia, dieta i aktywność fizyczna. Ciąża zawsze jest papierkiem lakmusowym dla organizmu, ujawnia rozwijające się choroby. A z wiekiem mamy większe ryzyko wystąpienia chorób przewlekłych jak nadciśnienie czy cukrzyca. Generalnie jesteśmy coraz dłużej w dobrej formie, to nam sprzyja. Nie umiemy tylko zatrzymać perimenopauzy ze wszystki-

mi jej konsekwencjami dla płodności – podkreśla ginekolożka

Położna nie tylko na czas ciąży

Położne chcą, żeby Polki częściej korzystały z ich wiedzy – przed ciążą i jej trakcie, a także z powodu transformacji menopauzalnej.

– Wszystkie kobiety powinny mieć dostęp do edukacji przedporodowej, bo nie każda sama znajdzie w internecie potrzebne informacje albo w ich natłoku nie będzie potrafiła wybrać tych właściwych. Teraz taka edukacja dotyczy drugiej połowy ciąży, a wkrótce dostępna będzie od początku ciąży – mówi krajowa konsultantka położnictwa prof. Grażyna Iwanowicz-Palus.

Każda kobieta w swojej przychodni podstawowej opieki zdrowotnej ma zazwyczaj przypisaną położną, ale może wybrać położną niezależnie od zespołu lekarza rodzinnego. Położna, jest dla kobiety dostępna na każdym etapie życia, nie tylko w okresie ciąży i po porodzie. Możemy położną dowolnie zmienić, czyli zapisać się na koszt NFZ do specjalistki w innej poradni. Taka zmiana położnej jest możliwa nawet dwa razy w ciągu roku.

W Polsce nie mamy jeszcze systemowej opieki przedkoncepcyjnej, czyli spotkań z położną przed zajściem w ciążę, ale i taka porada jest możliwa. – Położna może choćby skierować kobietę na badania, zazwyczaj jest łatwiej dostępna dla pacjentki niż lekarz. A w kontekście dojrzałych matek warto zaznaczyć, że położne w całej Polsce przechodzą właśnie szkolenia z opieki dotyczącej transformacji menopauzalnej. Mają być dla kobiet pierwszym źródłem informacji o zmianach hormonalnych – tłumaczy prof. Iwanowicz-Palus.

Co radzi kobietom, które planują ciążę po czterdziestce? – Warto zrobić dokładne badania, m.in. sprawdzić, czy nie mamy zaburzeń metabolicznych takich jak cukrzyca czy innych chorób przewlekłych. Warto też dowiedzieć się, czy w rodzinie były jakieś choroby genetyczne. Nie trzeba też czekać z przyjmowaniem kwasu foliowego do ciąży, to witamina niezbędna do prawidłowego rozwoju płodu – podpowiada położna. ●

Czułość. Wolność. Równowaga

• Menstruacja, menopauza, równowaga w pracy, luka płacowa, rynek dla kobiet 50+, kompetencje przyszłości, siostrzeństwo – z wielką uwagą przyglądamy się naszym relacjom w nowej rzeczywistości. Z czułością i wrażliwością rozmawiamy o kobiecości, ale też męskości i niebinarności. Tworzymy nowy świat i pytamy o nasze miejsce w nim, zachowując balans. „Czułość. Wolność. Równowaga” to akcja społeczna „Wysokich Obcasów” i „Gazety Wyborczej”

OGŁOSZENIE

Kraj/34372962

Czułość. Wolność.
RÓWNOWAGA

ORGANIZATORZY

PARTNER

wyborcza.pl

wysokieobcasy.pl

KULCZYK
FOUNDATION

Fantazja z „Jurassic Park” stanie się możliwa?

Na razie nie umiemy przywrócić do życia mamutów, ptaków dodo czy tygrysów szablozębnych, ale niedawne eksperymenty genetyczne wskazują, że uparcie do tego zmierzamy. Niestety.

Groźna zabawa w Boga

Aleksander Gurgul

Wspaniały symbol amerykańskiego Zachodu jeszcze całkiem niedawno, ledwie 50 lat temu, mógł przestać owym symbolem być. W USA zostało go niespełna tysiąc osobników, a jego zasięg skurczył się o... 98 proc.! Niemal w ostatniej chwili wszczęty alarm i umieszczenie ginącej ikony na liście ESA, „Endangered Species Act”, czyli amerykańskiej ustawy o gatunkach zagrożonych, zawróciło niedźwiedzia grizzly, bo o nim mowa, znad przepaści.

Dziś w ekosystemie Wielkiego Yellowstone [obszar wokół parku narodowego, na którym żyją grizzly] żyje około 700 osobników, co stanowi ogromny sukces ustawy.

Niestety, jak wskazuje dr Kelly Dunning, badaczka zajmująca się zrównoważoną turystyką i rekreacją na Uniwersytecie w Wyoming, niedźwiedź wkrótce może się stać ofiarą tego sukcesu. Liczba osobników „przekroczyła cele odbudowy wyznaczone przez federalną agencję ds. zarządzania dziką fauną i florą, US Fish & Wildlife Service” i w związku z tym „grizzly kwalifikuje się do usunięcia z listy”.

ESA do niedawna uznawana była za rzadki przykład ponadpartyjnego działania dla wspólnego dobra – pisze Dunning w kwietniowym numerze czasopisma „Frontiers in Conservation Science”. Nieste-

ty, „jak pokazuje nasze studium przypadku dla niedźwiedzia grizzly, zarządzanie dziką przyrodą w ramach ESA zmieniło się, stając się politycznym polem bitwy, na którym nauka jest coraz bardziej zagłuszana przez partyjną ideologię, biurokratyczne opóźnienia, walkę o władzę i konkurencyjne interesy polityczne”.

Dunning przypomina, że już dwa razy próbowano grizzly usunąć z ESA, w roku 2007 i dziesięć lat potem, ale udało się obronić zwierzęta w sądach. Teraz zespół, w którym pracowała Dunning, przeanalizował 750 różnych dokumentów i ponad 2,8 tys. cytatów, które padały z ust różnych stron konfliktu wokół grizzly. Wniosek? Sprawa niedźwiedzi została totalnie upolityczniona.

Przesuń się, grizzly

Lokalnym politykom Dunning zarzuca, że „ich retoryka prześlągnięta populistycznymi apelami do społeczności ranczerskiej na zachodzie USA przedstawia grizzly jako gatunek, który udało się odbudować, a biurokraci z Waszyngtonu opóźniają proces przekazywania zarządzania [gatunkiem] z powrotem do stanów”.

Z drugiej strony wskazuje, że organizacje pozarządowe posługują się hasłem wielkiego wymierania, którego jesteśmy świadkami, obawiając się, że zmiana prawa może uruchomić polowania na niedźwiedzie, a jeśli dojdzie do zbyt dużej redukcji populacji, to nie uda się ponownie odzyskać tych pięknych zwierząt.

Głos naukowców pozostaje w cieniu debaty polityków, a gdzieś pośrodku tej dys-

kusji tkwi opinia publiczna.

I to właśnie martwi Dunning – że zamiast fachowców o przyrodę kłóć się politycy.

„To upolitycznienie zagraża przyszłości ESA. Gdy politycy przekrzykują naukowców, gdy sądy dyktują [na czym polega] biologia lub opóźniają szybkie reakcje zarządców, a odbudowa [populacji] staje się kartą przetargową, prawo może stracić wiarygodność w oczach opinii publicznej” – kwituje badaczka. Uważa, że naukowców dłużej już nie stać na stanie z boku i tylko przyglądanie się temu, jak jakiś gatunek rozpala debatę polityczną do czerwoności. Muszą usiąść do stołu, w przeciwnym razie kakofonia głosów „interesariuszy” zagłuszy ryk grizzly na amerykańskim zachodzie.

ESA, kamień milowy w amerykańskiej ochronie przyrody, podpisał w grudniu 1973 r. prezydent Richard Nixon, republikanin. Teraz media donoszą, że administracja Donalda Trumpa, a więc republikańska, przymierza się do olbrzymiej zmiany w ustawie. Chodzi o to, by zmienić w niej pojęcie „szkody” w siedlisku danego gatunku. Przyrodnicy obawiają się, że to otworzy furtkę po prostu do niszczenia siedlisk i masowej wycinki lasu, by zwiększyć dostęp do złóż ropy, gazu i innych surowców. A to równia pochyła dla niektórych gatunków z listy ESA.

Dziś ustawa chroni około 1,7 tys. gatunków rodzimych dla USA zwierząt i roślin. Do rangi jej symbolu ochrony urosły m.in. bieliki amerykańskie. Gatunek był skrajnie zagrożony, głównie z powodu stosowania w rolnictwie środka owadobójczego DDT.

Niedźwiedź ludojad

„Niedźwiedź zaatakował mężczyznę w Bieszczadach. »Szarpał i gryzł«, »Tragedia w lesie. Mężczyzna padł ofiarą niedźwiedzia”, »Nagle zza drzewa wyskoczył niedźwiedź. Mężczyzna użył siekiery, jest nagranie”, »W Bukowcu niedźwiedź lub niedźwiedzie zabiły 21 kóz. Wójt gminy Solina obawia się o bezpieczeństwo ludzi”, »Bieszczady: niedźwiedzie zabiły 22 kozy. Prawdziwa rzeź”.

To tylko kilka nagłówków z ostatnich tygodni z polskich mediów dotyczących sytuacji, w których brały udział niedźwiedzie, majestatyczne drapieżniki żyjące we wszystkich krajach, w których rozciągają się Karpaty. Język, jakim epatują tytuły, ma dać jasno do zrozumienia, jak wielkim zagrożeniem dla człowieka jest niedźwiedź.

W tym miejscu uderzę się w piersi, sam napisałem kiedyś newsa, który miał nagłówek: „Niedźwiedź polarny zabił kobietę i chłopca w wiosce na Alasce”. Albo taki: „Niedźwiedź zaatakował w słynnym parku narodowym. Nie żyje para turystów i ich pies”.

W każdym z tych tekstów tłumaczyłem, jak ekstremalnie rzadko dochodzi do takich sytuacji, ale czy wszyscy przeczytali do końca i ze zrozumieniem?

Zagrożenia ze strony niedźwiedzi oczywiście nie można bagatelizować. To duże i zaskakująco szybkie zwierzęta, które natura wyposażała w zęby i pazury. Jeśli niedźwiedź wystraszy się człowieka, który na przykład wejdzie nagle na jego terytorium, może (ale nie musi!) zaatakować. W wielu przypadkach kończy się tylko na pozorowanej szarży, która ma człowieka





(w domyśle konkurenta do pożywienia) tylko odstraszyć.

Raport „Niedźwiedź 2030” przygotowali eksperci z parków narodowych – Bieszczadzkiego i Tatrzańskiego, a książkę pt. „Niedźwiedź szuka domu” napisała Anna Maziuk. Z prac tych wynika jasno, że w przytłaczającej większości przypadków atak niedźwiedzia, w którym ucierpiał człowiek, to wynik działań człowieka, a nie zwierzęcia.

Ludzie wchodzą niedźwiedziom w teren między innymi:

- rozbudowując domki na wynajem,
- szukając po lasach poroża jeleni,
- zostawiając na noc niezabezpieczone śmietniki przydomowe (ale ważne są też kompostowniki),
- rozsypując tony karmy pod myśliwskimi ambonami,
- tworząc „miejsca nielegalnej utylizacji padłych zwierząt gospodarskich”,
- wycinając drzewa, zwłaszcza wiekowe jodły – taką wycinkę prowadzą Lasy Państwowe (w Bieszczadach) oraz górale ze Wspólnoty 8 Wsi z Witowa w Tatrach (o czym też przeczytamy we wzmiankowanym raporcie „Niedźwiedź 2030”).

Wilk zły, ale zarobić daje

Dlatego nie tylko w Bieszczadach, ale także w innych częściach Europy i świata słyszy się coraz częściej, że do drapieżników trzeba strzelać.

Słowacja zdecydowała się na radykalny krok i odstrzalił aż 350 niedźwiedzi. Szwecja postanowiła zabić aż 500 niedźwiedzi, jak również połowę populacji wilków. Unia Europejska jest o krok od obni-



• **Naukowcy z Colossal Biosciences wykorzystali geny „wilka strasznego” pobrane ze skamieniałości oraz geny wilka szarego. Na zdjęciach: młode 15 dni po narodzinach (na górze) i te same osobniki liczące już 150 dni** FOT. COLOSSAL BIOSCIENCES (2)

żenia statusu ochronnego wilka, co może wzmocnić odstrzał tego zwierzęcia. Antywilcza histeria narasta, mimo że – jak wskazują badania – tzw. wilki zuchwale to w zasadzie promil wszystkich osobników.

W USA republikanin Tom Tiffany zasiadający w obecnej kadencji Izby Reprezentantów stanu Wisconsin oraz kilku jego politycznych znajomych w styczniu tego roku ponownie przedstawili projekt ustawy mającej na celu zniesienie federalnej ochrony wilków szarych. Choć według oficjalnych danych procent zgłoszonych przez gospodarstwa rolne skarg jest znikomy.

Czy drapieżniki będą zjadać zwierzęta gospodarskie? Będą i tego nie uda się uniknąć w 100 proc., ale jak pisał niedawno Adam Wajrak, te zjedzone to kropla w oceanie hodowli zwierząt w Europie, a jak kiedyś z kolei pisał Robert Jurszo, są metody, które pomagają ograniczyć takie sytuacje.

Co ciekawe, na drapieżniki można szczuć, ale nie przeszkadza to na nich zarabiać. Utrzymujący się z turystyki kasują nie małe pieniądze, sprzedając czapki, kubki i koszulki z wizerunkiem niedźwiedzi. Ręka do góry: Kto jadł śniadanie w pensjonacie „pod niedźwiedziem” albo obiad „w niedźwiedzim zajeździe” choćby w Bieszczadach?

Kojarzycie memy z Władimirem Putinem, który z nagim torsem ujeżdża gdzieś na Syberii niedźwiedzia? Podróżując po Podhalu i pisząc książkę o tym regionie, oglądałem np. etykiety piwa, na których to góral ujeżdża tę „dziką bestię” w leśnej kniei.

Podobną sytuację zaobserwowałem w rejonie wspomnianego parku narodowego Yellowstone, gdzie w połowie lat 90. XX wieku udało się reintrodukować wilki. Prywatne firmy organizują wycieczki, pensjonaty, sklepy z pamiątkami, nawet minizoo (sic!) zarabiają olbrzymie pieniądze na wilkach z Yellowstone, ale kiedy trzeba podnieść głos w ich obronie, wśród lokalsów zapada krępująca cisza.

Wilkor „wraca z zaświatów”

Czy zwierzęta drapieżne są dla człowieka niebezpieczne? Bez dwóch zdań. Czy możemy uniknąć sytuacji konfliktowych z nimi? Zdecydowanej większości tak.

To, że człowiek też stanowi dla zwierząt – nie tylko drapieżnych – zagrożenie, również żadnej wątpliwości nie ulega. Ma na dodatek w swoim arsenale sidła, wnyki i strzelby. Ale jeszcze groźniej zrobiło się, gdy dotarły do nas wieści zza Atlantyku o pewnym eksperymencie.

Oto prywatna firma biotechnologiczna Colossal Biosciences „wskrzesała” albo może – jak sama firma by tego chciała – „odwyginęła” (od angielskiego słowa *de-extinct*) „wilka strasznego” (ang. Dire wolf, nie ma polskiej nazwy gatunkowej).

Gatunek ten (*Aenocyon dirus*) wymarł ponad 10 tys. lat temu, był inspiracją dla wilkorów z powieści „Gra o tron” George’a R.R. Martina.

IUCN SSC Canid Specialist Group (CSG), najważniejsza bodaj światowa instytucja naukowa zajmująca się ochroną gatunków psowatych, wydała bardzo zachowawcze oświadczenie, w którym czytamy, że wilk szary, którym się posłużono, i „wilk straszny”, który rzekomo miał zostać odtworzony, różnią się tysiącami genów, a firma wykorzystwała ledwie garść.

„Kwestie, czy takie genetycznie zaprojektowane organizmy są wystarczającymi odpowiednikami ich wymarłych odpowiedników, a także potencjalna rola tego postępu technologicznego w ochronie istniejących zagrożonych gatunków, muszą być dokładnie ocenione. Żadna z tych kwestii nie może jednak odwracać uwagi od głównego priorytetu ochrony gatunków, tj. ochrony pozostałych populacji zagrożonych gatunków w funkcjonujących ekosystemach” – napisało IUCN SSC Canid Specialist Group.

Wśród głównych zagrożeń dla przetrwania gatunków psowatych CSG wymienia utratę i degradację siedlisk, konflikty człowieka z dziką przyrodą, gatunki inwazyjne, wreszcie choroby i ogólne zakłócenia procesów naturalnych.

Jednocześnie CSG wskazuje kierunek, w którym tego typu badania genetyczne powinny zmierzać: „Technologie edycji genów mogą oferować określone korzyści dla przetrwania gatunków, np. usuwanie szkodliwych mutacji lub zwiększanie różnorodności genetycznej w małych, wsobnych populacjach, a nawet potencjalne przywrócenie pierwotnej różnorodności (ang. *reviving ancestral variation*) utraconej w żyjących obecnie populacjach”.

Zaznacza przy tym jednak, że „prezentowanie tej technologii jako gotowego do użycia rozwiązania w zakresie ochrony przyrody jest przedwczesne i grozi odwróceniem uwagi od pilniejszych potrzeb zapewnienia funkcjonowania i zdrowych ekosystemów”.

Gwałt na przyrodzie

Wyhodowanie trzech szczeniąt wilka szarego z edytowanymi genomami w celu upodobnienia ich do wymarłego wilka strasznego można co najwyżej uznać za dowód możliwości technicznych, ale nie przyczyni się do ochrony przyrody – wskazuje CSG.

Dlaczego?

„Wilk straszny wyginął w obu Amerykach około 12 tys. lat temu, a jego kontekst ekologiczny – w tym gatunki ofiar, takie jak mamuty i gigantyczne leniwce naziemne – nie jest już obecny” – piszą badacze.

I bodaj najważniejsze zdanie z ich oświadczenia: „Szybkie postępy w edycji genów mogą przyczynić się do przyszłych działań na rzecz ochrony przyrody, będąc przydatnym dodatkiem do naszego zestawu narzędzi ochrony przyrody, ale

nie powinny być przyjmowane jako panaceum na obecny kryzys różnorodności biologicznej.

Przypomina się dr Ian Malcolm (Jeff Goldblum) z filmu „Jurassic Park” (rok 1993) w dyskusji z Johnem Hammondem (Richard Attenborough), miliarderem, który stworzył park dla uciechy gawiedzi. Hammond mówi, że gdyby miał odtworzyć kondory, które są na granicy wyginięcia, to by to zrobił. Malcolm mu przypomina, że to my, ludzie, zapędziliśmy niektóre gatunki nad tę krawędź. „Dla mnie to gwałt na świecie przyrody” – konkluduje dr Malcolm.

W 1982 r. żyło na świecie zaledwie nieco ponad 20 kondorów kalifornijskich. Dzięki olbrzymim wysiłkom obrońców przyrody dziś jest ich ponad 560, z których blisko 350 żyło na wolności (pozostałe m.in. w ogrodach zoologicznych).

Chichotem historii by było, gdyby dzieło Stevena Spielberga okazało się proroczą zachętą do tego, co dziś robi Colossal Biosciences. Ale podkreślmy jeszcze raz: droga do genetycznego odtwarzania zwierząt wymarłych jest bardzo daleka.

Lista jak hotel California

Kiedy jednak obserwujemy to, co dzieje się w polityce, a zwłaszcza w USA, gdzie prezydent Donald Trump i jego pomagierzy planują demontaż systemu ochrony przyrody, a także presję, jaka narosła wokół dużych drapieżników, oraz fakt, jak szybko rozwija się sztuczna inteligencja, powinniśmy się poważnie zastanowić nad konsekwencjami tych „newsów” i czytać je łącznie. Zwłaszcza że, cytując dr Dunning, „nikt już nie słucha naukowców”.

Doniesienia z Colossal Biosciences odwracają uwagę od najważniejszego problemu, jakim jest ochrona bioróżnorodności (w tym gatunków zagrożonych, np. wilków i niedźwiedzi) w epoce galopujących zmian klimatu.

Mało tego. Doug Burgum, sekretarz zasobów wewnętrznych USA, napisał, że jego departament jest podekscytowany zarówno tym, jaki potencjał niesie technologia „de-ekstynkcji”, jak i tym, w jaki sposób mo-



• **Wilk straszny, który wyginął przeszło 10 tys. lat temu, był inspiracją dla George'a R.R. Martina, do stworzenia w „Grze o tron” postaci potężnych wilkorów. Surogatką „małych wilków” była suka psa domowego**

FOT. COLOSSAL BIOSCIENCES

że ona służyć przywracaniu do życia utraconych gatunków. A także, uwaga: wzmocnić wysiłki na rzecz ochrony bioróżnorodności i pomóc zagrożonym gatunkom.

W jaki sposób? Burgum tego nie wyjaśnił. Ale w kolejnym akapicie dodał, co tak naprawdę chodzi mu po głowie: „Lista gatunków zagrożonych wyginieciem stała się jak hotel California: gdy jakiś gatunek się na niej znajdzie, nigdy jej nie opuszcza. 97 proc. gatunków dodanych do listy już na niej pozostaje. Dzieje się tak, ponieważ status quo koncentruje się bardziej na regulacjach niż na innowacjach” – napisał człowiek, który nadzoruje ochronę przyrody w USA.

„Nadszedł czas, aby zasadniczo zmienić sposób, w jaki myślimy o ochronie gatunków. W przyszłości musimy świętować usuwanie ich z listy zagrożonych, a nie dodawanie. Jedyną rzeczą, którą chcielibyśmy, aby wyginęła, jest potrzeba istnienia listy gatunków zagrożonych wyginieciem. Musimy na-

dać doskonalić działania na rzecz odbudowy populacji, aby stało się to rzeczywistością, a cud technologii »de-ekstynkcji« może pomóc w budowaniu przyszłości, w której populacje nigdy nie będą zagrożone” – dodał Burgum.

Kubek z misiem i plastikowa żmija

Nietrudno wyobrazić sobie politycznego nominata, który stwierdzi, że oto znaleźliśmy się na takim etapie rozwoju cywilizacyjnego, że możemy wytępić jakiś gatunek, a potem go wskrzesić z próbówki, jeśli tylko będziemy tego chcieli (np. dla celów komercyjnych polowań, bo przecież inwestycja musi się spłacić).

Ale zmartwienie może być jeszcze głębsze.

Czy te polityczne działania i nowinki biotechnologiczne nie otwierają przypadkiem furtki do groźniejszego poglądu, że niebawem nie będzie już czegoś takiego jak „gatunek zagrożony”?

Patrzę też na to, jak na konsekwencję zabawy w Pana Boga, w którą człowiek gra od wieków. „Czynić sobie ziemię poddaną” – jak mawia pewien duchowny z Torunia i pewien ksiądz myśliwy z Puszczy Białowieskiej oraz ich polityczni sprzymierzeńcy. Najpierw strzelbą i wnykami ludzie tępili poszczególne gatunki zwierząt, a teraz za miliony dolarów (które można by wydać na ochronę przyrody) będą „wskrzeszać” te wymarłe, które co najwyżej są ich podróżkami.

Dlatego nie widzę w tym niczego „ekscytującego” dla planety, która zmierza na skraj przepaści nazywanej kryzysem klimatycznym i szóstym wielkim wymieraniem.

Bo to fatalna wiadomość dla drapieżników, które niektórzy chcą wystrzelać tylko dlatego, że zjadają im kozy, owce albo krowy. A przecież jest to absolutnie normalne, że wilk albo niedźwiedź pożywi się czasem zwierzyną gospodarską, a potem rolnikom wypłaci się za to odszkodowanie (wiem, wolnorynkowcy powiedzą, że to strata pieniędzy podatników!).

Strach przed wilkami albo niedźwiedziami jest naturalny, ale powtórzmy receptę, którą już przytaczaliśmy: nie wchodzić im w drogę, dać im spokój i trochę przestrzeni do życia.

Niestety, wciąż wywieramy presję na przyrodę. W Polsce od 24 lat nie tylko nie powstał żaden park narodowy (w tym roku szanse ma park narodowy Doliny Dolnej Odry), ale te już istniejące (jak również rezerваты przyrody) obudowaliśmy parkingami, drogami i patodeweloperką. To sprawia, że zamieniają się one powoli w wyspy.

Akcja Lasów Państwowych, której celem jest powołanie 100 rezerwatów przyrody na 100-lecie istnienia, wydaje się plasterkiem na krwawiącą ranę. Zresztą, te same albo podobne błędy popełniają inni. Niedawno w „Wyborczej” pisaliśmy o pędzie do budowy rekreacyjnych chat zwanymi „hytte” w Norwegii.

Znikają korytarze ekologiczne, zarówno te leśne, jak i te górskie, którymi migrują dzikie zwierzęta. Natomiast te korytarze, które udało się ochronić, stały się autostradami dla tirów zwożących drewno z lasów, quadów, crossów, a w zimie skuterów śnieżnych.

W moim najgorszym śnie o utracie dzikiej przyrody nie ma już niedźwiedzi, wilków, rysi, żmij, bielików ani rybołówów.

Są za to sklepiki z pamiątkami, w których można kupić koszulkę z niedźwiedziem, kubek z wilkiem, czapeczkę z rysiem, plastikową żmiję i pióropusze ze sztucznymi piórami bielików i rybołówów. ●

REKLAMA

Kraj/34374466

“

Ta książka to zaproszenie do rozmowy o tym, jak być mężczyzną, który nie rani ani innych, ani siebie i który nie chce już trzymać się patriarchalnych wzorców.

JOANNA FLIS,
psycholożka, prowadząca
podcast *Madame Monday*. Po dorosłemu

W mówieniu o męskości i męskim doświadczeniu pozostajemy zdumiewająco bezradni. W tej książce wynajdywane są nowe języki dla męskiego doświadczenia

- bardzo ich potrzebujemy, bo dotychczasowe są kompromitująco ubogie i przestarzałe.

DR HAB. WOJCIECH ŚMIEJA,
profesor UŚ, badacz masculinity studies

Jak dziś być mężczyzną?

(I NIE ZGUBIĆ PO DRODZE SAMEGO SIEBIE)

Kołąkowski i jego krąg

LISY, JEŻE I PRZYJACIELE FILOZOFA

Podobno Anna Achmatowa twierdziła, że jej rozmowa z Isaiah Berlinem,
a raczej to, że Stalin się o niej dowiedział, spowodowała zimną wojnę.

Zbigniew Mentzel*



Barańczak Stanisław

(1946-2014) – poeta, tłumacz, krytyk, eseista, szekspiolog, wykładowca na Uniwersytecie Harvarda

Nie wiem, ile wierszy Barańczaka znał Leszek Kołąkowski, wiem, który nie przestawał go zachwycać. „Obserwatorzy ptaków” z tomu „Widokówka z tego świata i inne rymy z lat 1986-1988”. Ten wiersz zaczyna się od skrętu samochodu „z drżącej w upale szosy numer 8/ z jej motelami, pędem i stacjami Esso”.

Ameryka. Stan Massachusetts. Nadmorski rezerwat ptaków. Broszurki wręczone przyjezdnym. Mapki ze strzałką „TU JESTEŚ”. Zielonogłowe kaczki. Bure gęsi. Wielka czapla błękitna „bardzo rzadko spotykana”. I grupa ludzi stłoczonych na piaszczystej skarpie: „obserwatorzy ptaków, ludzie, którzy/ na pytanie »Kim jestem?»

mówią sobie: »Jestem/ obserwatorem ptaków«! Był ich prawie tuzin./ wpatrzonych w jedną stronę”.

Kołąkowski mógł się z nimi utożsamiać. On także był obserwatorem ptaków! Nie, nie jeździł jak tamci co niedziela do nadmorskiego rezerwatu, ale w Summertown, letniej dzielnicy Oksfordu, gdzie mieszkał blisko rzeki (jednym z jego sąsiadów był prezes Brytyjskiego Towarzystwa Ornitologów), mógł obserwować ptaki w swoim niedużym ogrodzie.

Bywałem świadkiem, jak na trawniku bardzo już słabym wzrokiem w niepojęty sposób potrafił wypatrzyć znieruchomiałe, nie większe od wróbli ptaki nieznanego mi gatunku.

Zakończenie wiersza Barańczaka także było Kołąkowskiemu bardzo bliskie: „Więc świat może jest po to, by przesył, otworzył/ nas czasem znak, jak strzałka: »JESTEŚ TUTAJ«/ wśród ludzi, obcych, ale jesteście – zaufaj –/ po jednej stronie, współobserwatorzy/ ptaków, pogody, innych rzeczy«”.

Traf chciał, że właśnie z ptactwem związany jest słynny pojedynek Kołąkowskiego z Barańczakiem na rymy. Zaczęło się niewinnie. Barańczak napisał wiersz „Cietrzew”. Tytułowy ptak przeklina swój los: nigdy żaden poeta nie znalazł do niego rymu. Żaden, z wyjątkiem oczywiście „Stacha Barańczaka”, który taki rym bez trudu wymyślił: „ma nie u szczytu w Trzeviach, lecz na samym dnie Trzew...”.

Przeczytawszy wiersz w „Zeszytach Literackich”, Kołąkowski, nie namyślając się długo, podjął wyzwanie. Oto jego replika:

„Barańczaka, co do »cietrzew«/
Rym wymyślił, rychło zetrze w/ Proch
wieszcz większy, co swe wieszczce w-/
Łasne będzie rymy piał!/ Tamte rymy –
niezle – lecz czcze w/ Porównaniu, ja-
koś bledsze w-/ Ręcz: jakby z Pary-
żem się Tczew/ Lub z Londynem mie-
rzyć śmiał!”.

Tak oto mistrz Barańczak nieoczekiwanie znalazł pogromcę. Ale w innym niedoszłym pojedynku słowo-

twórczym Kołąkowski chyba musiałby uznać wyższość rywala. W układaniu palindromów Barańczak nie miał sobie równych.

Przeczytawszy jego „palindromader”: „NAM, RUSI, BĄBLE MĄK! LUBECI, MASO, SZNYCLE JADA JELCYN Z SOSAMI, CEBULKĄ, MELBĄ, BISMURMAN!” – autor bajek z królestwa Lailonii oddał mecz walkowerem. Barańczak w swej ambicji nie był jednak zaspokojony. Marzyło mu się pobicie rekordu Europy należącego w tej dziedzinie do francuskiego pisarza Georges’a Pereca (jego „Le grand palindrome” liczy sobie 5 tys. 562 litery).

Skąd taka potrzeba? Być może – pisał w jednym z „Mini-wykładów o ma-xi-sprawach” Kołąkowski – w pasji rekordów i zaciekawieniu ekstremami „kryje się jakiś korzeń metafizyczny: potrzeba wykraczania poza to, co jest, jakaś dziwnie wyrażona, nieraz w groteskę i absurd przechodząca – jak wszystko, co ludzkie, złe czy dobre – nadzieja nieskończoności”.

• Stanisław Barańczak, Leszek Kołąkowski i jego żona Tamara na półwyspie Cape Cod w Massachusetts, USA, początek lat 80. XX wieku
FOT. ARCHIWUM
RODZINNE

Na starej fotografii zrobionej na Cape Cod, półwyspie w Massachusetts, widać siedzących obok siebie na piasku Stanisława Barańczaka, Leszka Kołakowskiego i jego żonę Tamarę. Jest w tym zdjęciu trojga przyjaciół niezwykle spokojny do wyobrażenia jedynie wśród ludzi, którym nie tylko dobrze jest ze sobą rozmawiać, ale którzy potrafią wspólnie dobrze milczeć.

Berlin Sir Isaiah

(1909-97) – filozof, historyk idei, wykładowca na wielu uniwersytetach europejskich i amerykańskich, jeden z głównych przedstawicieli XX-wiecznej myśli liberalnej



Kołakowski nazywał go „jednym z olbrzymów stulecia”, pełen dumy, że to dzięki niemu mógł się znaleźć w Oksfordzie w tym samym college’u, z którym i Berlin był związany. „Ten Żyd rosyjski z Rygi stał się jednym z najważniejszych ośrodków myśli społecznej i filozoficznej w kraju tak trudno dostępnym dla cudzoziemców jak Anglia”.

Ramin Jahanbegloo, Irańczyk, który doktoryzował się z filozofii na Sorbonie, przeprowadzając z Berlinem głośny cykl rozmów, odniósł wrażenie, że spotkał człowieka „żyjącego trzy tysiące lat”, tak głęboka była jego znajomość historii i różnych kultur. Sam Isaiah Berlin mówił, że choć nosi imię proroka Izajasza, to prorokiem nie jest ani nie chce spekulować na temat przyszłości.

W XX wieku, który według niego był jednym z najkrwawszych w dziejach, znajdował niewyczerpany materiał do namysłu nad tragizmem ludzkiego życia. „Nigdy nie byłem »prokomunistyczny« - mówił w wywiadach. – Nigdy. Niektórzy z moich rówieśników grawitowali ku komunizmowi, ale dla każdego, kto widział rewolucję rosyjską w działaniu, było niepodobieństwem, by uległ pokusie. Przed 1919 rokiem widziałem w Rosji wiele strasznych rzeczy”.

Wykłady Berlina w Oksfordzie były podobno niezwykle: miał fenomenalną pamięć i pograżając się w skomplikowanych wywodach – podobnie jak Kołakowski – nigdy nie korzystał z notatek. Pewnego dnia – opowiadał Ralf Dahrendorf – wiatr porwał kartkę, którą Berlin wyjątkowo trzymał przed sobą w czasie wykładu. Student, który ją podniósł, zobaczył, że były na niej tylko dwa słowa: „Rousseau. Wolność”.

Wszystkich słuchaczy Berlina zdumiewała prędkość, z jaką mówił. Pod tym względem ze znanych Polaków mógł z nim rywalizować tylko Władysław Bartoszewski.

Jeden z najpiękniejszych esejów Berlina poświęcony pojmowaniu historii u Lwa Tolstoja (Tolstoj był jego ulubionym pisarzem obok Turgieniewa) nosi tytuł „Jeż i lis”. Autor przywołuje słowa greckiego poety Archilocha: „Lis wie wiele rzeczy, a jeż tylko jedną, ale wielką”, twierdząc, że ujawniają one jedną z najgłębszych różnic, jakie dzielą umysły. Dla tych, których zalicza do jeży, istotna jest tylko jedna

główna idea, jedna wizja, jeden cel. Lisy z kolei zmierzają do wielu celów, ich myśl jest raczej dośrodkowa niż dośrodkowa, rozprasza się, błądzi wśród sprzeczności.

Lisem był według Berlina Szekspir, jeżem zaś Dante. Jeżami byli też Hegel, Dostojewski, Nietzsche, lisami – Montaigne, Goethe, Erazm... Kołakowski zapytany, kim czuje się bardziej, lisem czy jeżem, odpowiedział bez wahania, że z lisem o wiele łatwiej byłoby mu się utożsamić niż z jeżem. „Nie mam takiej jednej rzeczy, której czułbym się posiadaczem, która dla mnie byłaby fundamentalna i która by mi wystarczała”.

Podziwiając dorobek naukowy Berlina, Kołakowski cieszył się też ze wspólnych spotkań towarzyskich. „Gdyśmy się spotykali we dwójkę albo we trójkę – z moją żoną Tamarą – rozmawialiśmy zawsze po rosyjsku, co Isaiah lubił, a do czego niewiele miał okazji”.

Ze względu na swoją erudycję i szerokość zainteresowań Berlin mógł prowadzić rozmowy na różne tematy: malarstwo hiszpańskie, poezja Achmatowej i Mandelsztama, muzyka Wagnera i Strawińskiego, filozofia Spinozy, przede wszystkim jednak mówił o świecie współczesnym, o sprawach żydowskich i izraelskich, także o sprawach polskich.

Podobno Achmatowa twierdziła, że jej rozmowa z Berlinem, a raczej to, że Stalin się o niej dowiedział, spowodowała zimną wojnę. Josif Brodski w esejach o Berlinie przypomina słowa Emila Ciorana, że dwie najbardziej zajmujące rzeczy w całym wszechświecie to metafizyka i plotki. Berlina zajmowało jedno i drugie.

Przez jakiś czas pracował w dyplomacji w Waszyngtonie. „Stamtąd – wspominał Kołakowski – pochodzi anegdota o tym, że Churchill poprosił kiedyś, żeby przy obiedzie posadzonego Berlina obok niego. Zaczęła się konwersacja, ale trochę dziwna, z czasem coraz dziwniejsza, bo Churchill myślał, że jego rozmówcą był Berlin, znany kompozytor piosenek, i to wywołało w końcu wielką konfuzję”.

Dziewulska Małgorzata

(ur. 1944) – teatrolożka, reżyserka, eseistka



Jan Błoński zaliczał ją do „postać promiennych”: „Małgosi się wszystko udawało: działania parateatralne, latanie na lotni i pisanie artykułów”. Jej naturalnym środowiskiem była inteligentka Warszawa lat 60.: „Warszawa tej malowniczej bohemy składającej się z modelek, aktorów i intelektualistów, studentów i piosenkarzy, lektorów PZPR i lewicowych katolików, tłumaczy i dziennikarzy, sportowców i »grandes dames«...” (Barbara Toruńczyk).

Jeśli właściwy temu środowisku snobizm polegał na naśladowaniu osób, które uchodziły za ciekawsze od innych, Dziewulska nie była snobką. Ze swoją inteligencją, licznymi talentami, uro-

dą, świetnym gustem nikogo naśladować nie musiała – to ją naśladowano.

Na Wydziale Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego Kołakowski był promotorem jej pracy magisterskiej. Temat? „Paradoksy myślenia monistycznego. Wprowadzenie krytyczne do metafizyki Alfreda Northa Whiteheada”.

Ambitne przedsięwzięcie. Wysoki próg trudności. Whitehead w 1967 roku był u nas filozofem mało znanym. Ten pochłonięty matematyką, bliski ateizmowi agnostyk po doświadczeniach I wojny światowej, u której kresu zginął jego syn – pilot zestrzelonego samolotu, szukać zaczął odpowiedzi na wielkie pytania metafizyczne. Boga, jak się zdaje, odnalazł, ale pozostał bezwyznaniowcem.

Język, jakim się posługiwał, pisząc o Stwórcy – „Poecie świata”, „Współtowarzyszu naszych cierpień” – pełen był mglistych, wieloznacznych sformułowań. Pisanie pracy wymagało od Dziewulskiej wtajemniczenia w hermetyczną angielszczyznę. Przypuszczam, że pod tym względem i promotor, i jego magistrantka wiele mogli sobie nawzajem zawdzięczać.

Kiedy zaszczyty przez lobużów i nieudaczników z PZPR Leszek Kołakowski wyjeżdżał z kraju w 1968 r., wśród 34 grubych zeszytów, które zgłosił do odprawy celnej, jeden prawie w całości wypełniały notatki o Whiteheadzie.

Oprócz filozofii Dziewulska studiowała reżyserię w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej. Po dyplomie z teatrem związała swoje życie zawodowe. W czasie krótkiej odwilży po upadku Gomulki współtworzyła eksperymentalne Puławskie Studio Teatralne, upatrzyniwszy razem z kolegami na mecenasa... Ministerstwo Przemysłu Chemicznego. Pomysł w PRL-u był wariacki, tyle że – jak twierdził wtedy Konstanty Puzyna – dla kultury współczesnej w naszym kraju nie było rzeczy groźniejszej aniżeli słowa „jeszcze nie zwariowałem” w ustach partyjnego biurokraty.

Biorąc później udział w kilku przedsięwzięciach zespołowych (współpraca z Laboratorium Jerzego Grotowskiego, krakowski

Starym Teatrem, teatrami warszawskimi – Narodowym i Dramatycznym, a także z redakcją miesięcznika „Res Publica”), Dziewulska pozostawała indywidualnością – postacią osobną, duchowo suwerenną. Jedną z jej książek nosi tytuł „Inna obecność”. Choć dotyczy on kilku wielkich twórców, takich jak Konrad Swinarski czy Tadeusz Kantor, można go też odnieść do samej autorki.

W wykładzie „Rozpad komunizmu jako wydarzenie filozoficzne” wygłoszonym w Berlinie wkrótce po zburzeniu muru dzielącego miasto Leszek Kołakowski podkreślał, że „choroby naszej kultury nie zostały spowodowane przez komunizm, są one czymś dla niej swoistym”. Dziewulska chyba nigdy o tym nie zapominała.

Znamienne, że w świetnym szkicu o wymianie listów między Janem Błońskim a Sławomirem Mrożkiem za najważniejszy fragment ich korespondencji uzna-

WIER SZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Adam Zagajewski

Wolność

„Ludzie nie pragną wolności” - Benedetto Croce
Sandor Marai, „Dziennik”

*Ludzie nie pragną wolności, dawniej
Tego nie wiedziałeś, wieczny kandydat
Na nieśmiałego buntownika;
Ludzie pragną suchego i ciepłego miejsca,
Plaży nie kamienistej, bezpiecznych
Dni, nakrytego stołu, okrągłych jabłek
- ale nie pragną wolności, wolność
Nie pozwala na spokojny sen,
Wolność jest kamieniem
Wolność jest metaforą, a metafory
Nie da się do końca zrozumieć.*

Wiersz z tomu Adama Zagajewskiego „**Trzy czwarte**”, opublikowanego po jego śmierci, Wydawnictwo a5, Kraków 2024



ła kilka takich oto zdań o komunizmie: „Między innymi tamten ustrój dlatego jest niedobry (...), bo on usprawiedliwia zwałanie na niego całego zła i jeżeli ktoś na przykład źle się czuje w życiu, to przypisuje swoje złe samopoczucie ustrojowi, czyli pozbawia się wiedzy o istotnych przyczynach swojego złego samopoczucia, które mogą tkwić w życiu jako takim niezależnie od ustroju”.

Plotka, o której mało kto już dziś pamięta, głosi, że Małgorzata Dziewulska jest pierwowzorem Małgorzatki z dramatu „Faust”. Kołakowski, lecąc gruźlicę, napisał go w sanatorium w Otwocku. Oboje – dramatopisarz i jego muza – musieli się nieźle bawić (kto wie, może i smucić?) monologiem pełnym gorzkich żalów, których musiał wysłuchać Faust:

„Już jest kawa, i cukier zaraz przyniosę,/ A ty ani żyjesz, ani śpisz,/ Tylko palisz papierosa za papierosem/ I nie mówisz do mnie nic./ Wyczyściłam tak ładnie dywan/ I kupiłam na stolik bez,/ I czekałam na ciebie przez dwie godziny chyba/ I serce mi biło, wiesz?/ I tak chciałam już, żebyś przyszedł,/ I już wczoraj upiekłam keks./ I wyrzuciłam z okna chyba połowę doniczek,/ Bo były nieładne, wiesz?/ A ty siedzisz taki smutny i niedobry,/ I patrzysz nie wiadomo gdzie,/ I keksu nie jesz, bo mówisz, że nie jesteś głodny./ To śmieszne tak mówić, no nie?”.

Garton Ash Timothy

(ur. 1955) – historyk, eseista, dziennikarz, profesor Uniwersytetu Oksfordzkiego, jeden z najbardziej wpływowych europejskich intelektualistów



10 lutego 1984 r., w dniu ogłoszenia wiadomości o śmierci radzieckiego genseka Jurija Andropowa, cieszące się światowym rozgłosem stowarzyszenie dyskusyjne Oxford Union zorganizowało ważną debatę. Jak zwykle według rytuału z lat 20. XIX wieku. Po uroczystej kolacji – pisał w pa-

ryskiej „Kulturze” Radosław Sikorski – luminarze stowarzyszenia ubrani we fraki, z goździkami w klapach wprowadzili na salę obrad zaproszonych mówców. Szli wśród nich obok siebie Leszek Kołakowski i Timothy Garton Ash.

Deбата toczyła się nad przyjęciem wniosku, że „normalizacja” w Polsce jako następstwo stanu wojennego, który gen. Jaruzelski wprowadził, aby stłumić rewolucję „Solidarności”, jest „niezbędnym warunkiem pokoju w Europie”.

Wniosek poparł James Sherr, kierownik Royal United Services Institute (zespół doradców zajmujący się obronnością i bezpieczeństwem z siedzibą w Londynie). Przyjęcie reform oczekiwanych przez „Solidarność” byłoby jego zdaniem precedensem, który szybko znalazłby naśladowców w całej Europie Wschodniej, co nie tylko osłabiłoby międzynarodową pozycję Imperium Radzieckiego, lecz także stanowiłoby dla niego „śmiertelne zagrożenie ze strony własnej ludności”.

Takiemu stanowisku sprzeciwił się kategorycznie Timothy Garton Ash. Za sedno rozumowania Sherra oraz biorących jego stronę w dyskusji uznał „tezę o nieszczęśliwym niedźwiedziu”: „Imperium sowieckie jest zbyt rozprzestrzenione, jest targane konwulsjami sprzecznego swego systemu ekonomicznego (...). Doznaje ono ataków lek-

kowych – nieszczęśliwy miś. Każdy nowy kryzys czyni niedźwiedzia bardziej nerwowym, zwiększa prawdopodobieństwo, że wyrwie się on z klatki i wyładuje agresję w sposób niszczący nas wszystkich. Za wszelką cenę trzeba więc misia uspokoić, mówić do niego łagodnie, usuwać mu pchły z sierści, karmić piernikami”.

Argumentacja taka zdaniem Asha jest błędna i historycznie, i moralnie. Jest błędna historycznie, bo gdy w przeszłości próbowano niedźwiedzia udobruchać, nie stawał się mniej agresywny – przeciwnie, jego apetyt rósł w miarę jedzenia. Jest także błędna moralnie, bo pierniki, które

Zachód tak szczerze chce nieź-wiedziowi ofiarować, nie należą do niego. „To Polacy, nie my, doświadczają »narzuconej stabilizacji«, a my, nie Polacy, korzystamy z pokoju w Europie”.

Kołakowski wypowiedział się w podobnym duchu. Przypomniat, że był już w powojennej historii moment, kiedy Rosjanie czuli się naprawdę zagrożeni. „Był to okres mniej więcej dwóch lat, zaraz po śmierci Stalina. Naprawdę byli w rozsypce i nie wiedzieli, w którą stronę się obrócić. Czuli się zagrożeni – i co się stało? Wycofali się z wojny koreańskiej i pogodzili z niepodległością Austrii”.

Oba wystąpienia – Asha i Kołakowskiego – większość zebranych przyjęła z entuzjazmem. Wniosek odrzucono. 118 głosów padło „za”, 253 były „przeciw”.

W zakończeniu książki „Homelands. Historia osobista Europy” (2024) Timothy Garton Ash przypomina jako swoją dewizę słowa francuskiego pisarza Romaina Rollanda: Potrzebujemy „pesymizmu intelektu i optymizmu woli”.

Słowa te mogłyby stanowić motto pośmiertnie wydanej książki Leszka Kołakowskiego „Niepewność epoki demokracji” – zbioru szkiców napisanych z przekonaniem, że upadek komunizmu nie tylko nie rozjaśnił krajobrazu naszej cywilizacji, ale na odwrót – krajobraz ten zaciemnił, pozbawiając go sensu określonego przez wyrazistą opozycję totalitaryzm – demokracja.

„Pesymizm intelektualny lat 70. XX wieku – stwierdził Ash – położył podwaliny pod wzlot lat 80., który przyniósł jeden z najbardziej przepelnionych nadzieją okresów w historii kontynentu. Nieuzasadniony optymizm intelektualny dekady otwierającej nowe tysiąclecie prowadził do upadku, który rozpoczął się w drugiej połowie tej dekady”.

Obaj – Garton Ash i Kołakowski – proponowali podobną postawę życiową: „Przewiduj najgorsze, ale staraj się osiągnąć najlepsze”.

Woroszyński Wiktor

(1927-96) – poeta, prozaik, tłumacz, rusycysta, krytyk filmowy, współpracownik KOR, wykładowca niezależnego Towarzystwa Kursów Naukowych

W zbiorze prac ofiarowanych Leszkowi Kołakowskiemu z okazji 60. rocznicy urodzin („Obecność”, Aneks, Londyn 1987) jeden z jego najbliższych, najbardziej mu oddanych przyjaciół – Wiktor Woroszyński – zamieścił tekst niezwykle, dziś już całkiem zapomniany, a i wtedy chyba niezauważony. Był to „Sylwetki 1927” – kilka krótkich wspomnień, może lepiej „charakterów” – opowieści o losach mniej lub bardziej znanych osób urodzonych w tym samym roku co autor i Kołakowski.

Pojawiają się tam aktorzy Zbigniew Cybulski i Tadeusz Łomnicki, rosyjska śpiewaczka Galina Wiszniewska, niemiecki pisarz Günter Grass, malarz Jacek Sempoliński, partyjny dygnitarz Kazimierz B., w którym łatwo się

domyślić Kazimierza Barcikowskiego (mimochodem wspomina Woroszyński o trzech innych przedstawicielach władz najwyższego szczebla: Edwardzie Babuchu, Józefie Tejchmie i Stanisławie Kani – wszyscy oni z tegoż rocznika 1927).

Niezwykłość tekstu polega na tym, że jest on załącznikiem, przybliżeniem, brulionem niezwyklej powieści o polskich losach. Powieści, która dotąd nie została napisana.

Woroszyński tylko wyrywkowo przedstawia biografie rówieśników. W dramatyczny zwykły sposób przecinają się one ze sobą i krzyżują z jego własną biografią – biografią narratora opowieści, który stara się odnaleźć ukryty sens pokoleniowych doświadczeń.

„Tak z porządku zewnętrznego – bo w nim przecież mieści się wspólnota biografii, związek ludzi, którzy razem studiowali, ulegali wpływom, buntowali się, »udzielali sobie swobody« – wciąż prowadzą podziemne kanały i korytarze do porządku innego, niezgłębionego, odczuwanego jako istniejący i dążący do dramatycznego spełnienia, ale wiecznie nieodkreślony, niewysłowny”.

U ludzi z rocznika 1927, których pochłaniał totalitaryzm brunatny albo czerwony, Woroszyńskiego intryguje fenomen dwistości wewnętrznej, ich „wiedza – niewiedza, wiara – niewiara, upokorzenie – triumf, obrzydzenie – ekstaza”. Zastanawia go też wspólny status wychodźcy.

„Czy nie to upodabnia nas wzajem? – wagon z piecykiem i rurą, ciężarówka wojskowa, dworzec w Gdańsku i Dworzec Gdański w Warszawie, mokre płyty Wnu-kowa i Okęcia – wygnaćcy, emigranci, zbiegowie – oto kondycja przypisana nam przez epokę – nie twierdzą, że nam jedynie, ale nam w szczególny sposób, bo to my mieliśmy dwanaście lat, kiedy rozpoczęła się wojna, osiemnaście – kiedy się skończyła...”

Gdyby Wiktor Woroszyński napisał autobiograficzną powieść „Rocznik 1927”, pierwowzorem jednej z najważniejszych tam postaci byłby bez wątpienia Leszek Kołakowski.

Próbuję wyobrazić sobie jej początek. Miejsce akcji: Łódź, u zbiegu ulic Świerczewskiego i Sienkiewicza, między Komitetem Polskiej Partii Robotniczej a kościołem Świętego Krzyża. Dwóch przyjaciół, 18-letnich komunistów, szukuje się do Wielkiej Dyskusji. „Nie ma rozmów obojętnych, każda jest obroną i atakiem, manifestacją i walką – kły na kły, argument na argument, sztyderstwo i patos...”

Jak napisać taką powieść dzisiaj? „Skoro tyle pamiętasz, wystarczyć połączyć” – poradził niegdyś przyjacielowi James Joyce. ●

*Zbigniew Mentzel

• ur. w 1951 r., prozaik, eseista i krytyk. Wydał m.in. powieść „Wszystkie języki świata” (finał Nagrody Nike), dwa tomy rozmów z Leszkiem Kołakowskim „Czas ciekawy, czas niespokojny” i jego biografię „Kołakowski. Czytanie świata” wyróżnioną Nagrodą im. Jana Długosza za najlepszą książkę z zakresu humanistyki w roku 2021.



Teksty pochodzą z nowej książki Zbigniewa Mentzela „**Podręczny słownik przyjaciół i nieprzyjaciół Leszka Kołakowskiego**”, Znak, Kraków 2025. Tytuł całości od „Wyborczej”.



FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Co się wyduje

Przygody człowieka piszącego

Kazimierz Orłoś: – Wierzę w najprostsze zbawienie. Przez ludzką pamięć i pozostawione książki.

Krzysztof Siemieński*

Można moim zdaniem pojmować życie jako książkę – powieść, którą sami o sobie piszemy, a więc odpowiadamy za jej treść i sens. I jako niespodziewaną i niezwykle przygodę. Patrząc wstecz, myśleć o urodzie życia, przypominać sobie wszystkie wyjątkowe chwile, niezwykle momenty przeżywane w różnych latach” – mówi Kazimierz Orłoś, jeden z najwybitniejszych polskich pisarzy, z którym rozmawiał Krzysztof Lisowski, przyjaciel i redaktor jego książek wydanych przez Wydawnictwo Literackie.

Niedawno nakładem tej oficyny ukazały się „Rozmowy o ludziach i pisaniu”, zapis toczony przez nich wielowątkowej dyskusji, z której dowiadujemy się, jak wyglądała ta przygoda urodzonego w 1935 roku autora wielu znakomitych opowiadań i powieści.

W 1973 roku Orłoś, wówczas 38-letni, ale już dość poczytny pisarz, podpadł władzom, opisując w „Cudownej melinie” nadużycia partyjnych kacyków sprawujących władzę w małym miasteczku. Peerelowska cenzura oczywiście nie dopuściła powieści do druku, więc autor zawiózł ją do Paryża.

Opublikował tekst pod własnym nazwiskiem w Instytucie Literackim Jerzego Giedroycia, co było rzuceniem rękawicy komunistycznej władzy. Co prawda nie trafił za to do więzienia, ale został wyrzucony z pracy w radiowej redakcji słuchowisk i objęty całkowitym zakazem druku.

Kiedy w 1977 roku powstał magazyn literacki „Zapis”, wydawany nielegalnie i bez cenzury przez związaną z KSS „KOR” Niezależną Oficynę Wydawniczą, Orłoś został jednym z jego redaktorów.

Zakaz druku twórczości Orłosia w oficjalnych wydawnictwach obowiązywał do 1989 roku. Pewnie dlatego jego nazwisko kojarzy się głównie z polityką, nad czym on sam ubolewa. „Zawsze moje teksty traktowały o losach ludzi prostych, o przeżywaniu przez nich nieszczęść, niesprawiedliwości, krzywdy, o borykaniu się z życiem. I to chyba główny mój temat. Ale była także przyroda – Mierzeja, Bieszczady, życie w tamtym świecie, wśród lasów i jezior, jak na Mazurach”.

Tłumaczy, że „Cudowna melina” i „Trzecie kłamstwo” były po prostu reakcją na peerelowską rzeczywistość, niezgodą na udawanie, że jest ona czymś normalnym i akceptowalnym. Bo przecież „świat należało opisywać takim, jakim był naprawdę”.

W książce Orłoś opowiada m.in. o tym, dlaczego mimo napaści Rosji na Ukrainę nie przestał czytać Czechowa, Bunina czy Babla, i wyjaśnia, dlaczego aby zrozumieć Rosję Putina, należy znowu przeczytać „Inny świat” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i „Na nie-ludzkiej ziemi” Józefa Czapkieskiego.

Mówi o braciach swojej matki – Stanisławie i Józefie Mackiewiczach – o ich wojennych i powojennych losach i twórczości, wymienia też innych piszących członków swojej rodziny (zapominając jednak o wnuku Cata-Mackiewicza Piotrze Niemczyku). Wspomina zmarłych przyjaciół i tych nielicznych jeszcze żyjących, smutno konstatując, że sam przebywa „na kurczącym się skrawku”.

Orłoś nigdy „nie kłaniał się okolicznościom” i płaci za to również w wolnej Polsce. „Przypuszczam, że moje poglądy – moje spojrzenie na scenę polityczną Polski w latach 90. – były dla lewej strony co najmniej

zbyt radykalne. Krytykowałem wtedy brak rozliczeń z nomenklaturą komunistyczną i niedostrzeganie, że przez prawie 50 lat ludzie ci rządili w PRL-u pod dyktando ZSRR.

Dziś uważam, że fakt przejścia od dyktatury do demokracji za porozumieniem i to, że nie doszło do rozlewu krwi, należało cenić więcej. A coraz bardziej panoszące się w kraju nacjonalizm i szowinizm są w istocie w interesie imperialnej Rosji, dziś w rękach Putina. I to należy uznać za największe niebezpieczeństwo.

Kaczyński ze swoim PiS-em odpychał nas przecież od Unii Europejskiej i demokracji Zachodu. Być może cezurą – momentem, gdy zdecydowanie inaczej spojrzałem na rzeczywistość polityczną w kraju – było moje wystąpienie z Kapituły Nagrody Józefa Mackiewicza, które traktuję jako ostateczne odcięcie się od poglądów ludzi popierających Kaczyńskiego” – stwierdza. I z goryczą dodaje:

„Usłyszałem wtedy opinię życzliwej osoby: »Przez tych z prawej zostałeś skreślony, ale ci z lewej i tak nie uznają cię za swojego«. Więc tak oto trywialnym podsumowaniem mógłbym zakończyć rozważania o mojej obecnej sytuacji w życiu literackim współczesnej Polski”.

Zajmując mówi Orłoś o swoim, kształtowanym początkowo przez religijną matkę światopoglądzie, który radykalnie zmienił, widząc brak zaangażowania w wiarę u ojca, a porzucił ostatecznie religię pod wpływem lektury „Szkiców sceptycznych” Bertranda Russella, które przeczytał, mając 22 lata.

Orłoś deklaruje się jednoznacznie jako ateista: „Właściwie po co, dlaczego, w jakim celu mamy być zbawieni? Aby już wiecznie istnieć w jakiejś niematerialnej formie i tylko wielbić Pana Boga? Powtórzę: po co? A tak-że: za co?”. I jeszcze: „Zawsze starałem się słuchać, co mówi nauka. Nie wierzyć, ale wiedzieć. Racjonalizm, sceptycyzm, a nie wiara w byty nadprzyrodzone. Więc tak, jestem ateistą, skoro należę do tych, którzy kwestionują twierdzenia nieudowodnione naukowo, sceptycznie odnoszących się do odpowiedzi religii na pytania, na które odpowiedzi nie ma, i odrzucających dogmaty”. Dodaje: „Wierzę w najprostsze zbawienie – przez ludzką pamięć i pozostawione książki”.

Myślę, że tego rodzaju zbawienia Kazimierz Orłoś może być pewien, bo jego twórczość jest najwyższej próby. Więc choć on sam obawia się, że „autentyczna literatura – ta, której tematem zawsze był dramat ludzkiego istnienia – znalazła się w cieniu, na marginesie”, to jestem przekonany, że po jego powieści i opowiadania będą sięgały kolejne pokolenia czytelników. ●

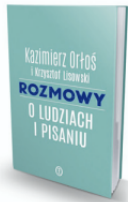


FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

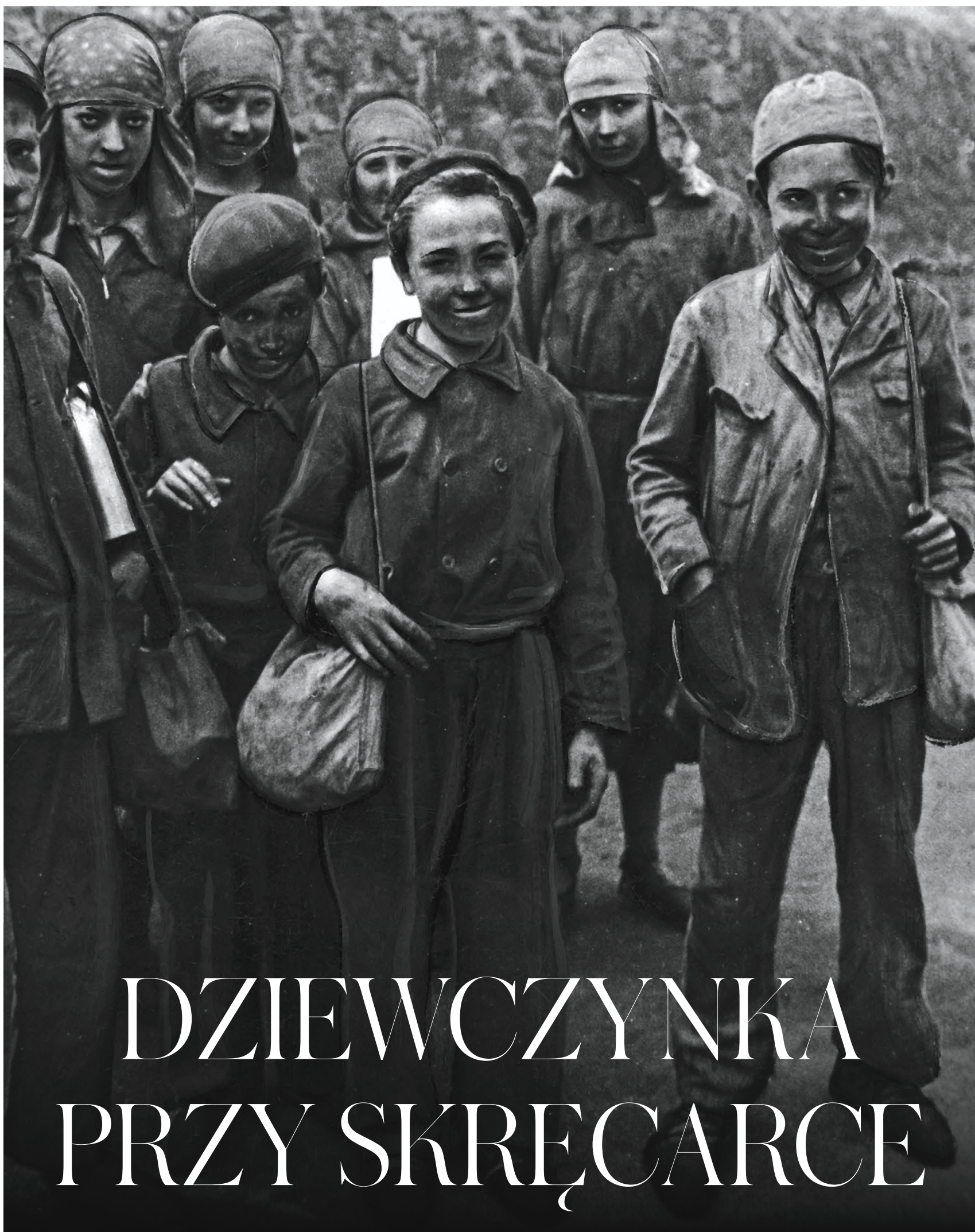
*Krzysztof Siemieński

• ur. w 1958 r., w PRL-u działacz opozycji, drukarz („Tygodnika Mazowsze”, „Vacatu”, książek Nowej). Dziennikarz, żeglarz.

Krzysztof Lisowski i Kazimierz Orłoś, „**Rozmowy o ludziach i pisaniu**”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2024



• Grupa polskich dzieci po wyjściu z pracy w kopalni, 1930–1935 rok, Henin-Lieutaud (Francja)



DZIEWCZYŃKA PRZY SKRĘCARCE

W XIX wieku w zaborze rosyjskim bywały zakłady pracy, w których co drugi pracownik był dzieckiem.

Z MAGDALENĄ KOPEĆ ROZMAWIA WOJCIECH SZOT

WOJCIECH SZOT: Sześciolatka Olga Rafałówna „podeszła do pieca i manipulując z ogniem, spowodowała zapalenie się na niej sukienki”. Był rok 1928. Ile dzieci pracowało w polskich fabrykach? **MAGDALENA KOPEĆ,** AUTORKA KSIĄŻKI „PASTUSZKOWIE, GAZECIARZE, TKACZKI. JAK ZMUSZANO DZIECI DO PRACY”: Niezwykle trudno to ustalić. Dokumentacja fabryk –

zwłaszcza z XIX wieku – jest szczątkowa. Wiemy na przykład, że gdy w 1876 roku przyjrano się przebiegowi kariery zawodowej majstrów szklarskich ze Śląska, okazało się, że co trzeci z nich zaczął pracę przed dwunastym rokiem życia. Funkcjonowało już ustawodawstwo chroniące dzieci przed wyzyskiem, wprowadzano inspekcje fabryczne, ale to nie powstrzymywało fabry-

kantów przed korzystaniem z „pomocy” – jak to często nazywano – dzieci.

W Królestwie Polskim, czyli w zaborze rosyjskim, początkowo było zaledwie kilku inspektorów fabrycznych. Niewiele mogli zdziałać. Często też ich oszukiwano, nie wpuszczano na inspekcje albo tuż przed ich wizytą wyprowadzono z fabryki dzieci. Brakowało sankcji przeciwko zatrudniającym dzieci. W efekcie

bywały zakłady, gdzie wśród pracowników było 5 proc. dzieci, ale też i takie, w których co drugi pracownik był małoletni.

W II Rzeczypospolitej Polskiej niewiele się poprawiło. W 1924 roku weszła w życie ustawa o pracy młodocianych i kobiet, która zakazywała zatrudniania dzieci poniżej 15. roku życia. Jednak trzy lata później na liście osób zgłoszonych do ubezpieczenia w warszawskiej Kasie Chorych znalazło się 1112 dzieci poniżej tego wieku. Pracodawcy szukali luk w przepisach albo zwyczajnie ryzykowali kary – niezbyt zresztą dotkliwe.

Samo określenie tego, co uznamy za pracę, nie jest oczywiste.
– Nie mamy jednej odpowiedzi. Czy chodzi o formalne zatrudnienie? Czy jednak za pracę uznamy to, że dziecko – zwłaszcza na wsi – przez cały dzień zajmowało się opieką nad młodszym rodzeństwem, pasionką, oporządzaniem gospodarstwa?

Lepiej było na wsi czy w mieście?
– Wiejskie dzieci były bardziej obciążone pracą. W gospodarstwie praca nie ustawała. Miały też dużo mniejszą szansę na edukację. Choć w II RP wprowadzono obowiązek szkolny, to dzieci, które miały do szkoły więcej niż trzy kilometry, były z niego zwolnione. Jeśli rodzice nie chcieli puszczać dziecka do szkoły, to po prostu tego nie robili. Zmiana prawna to było jedno – zresztą stopniowa, bo stopniowo ujednolicano i wprowadzano nowe przepisy na ziemiach po trzech zaborach, jednocześnie zachodziła zmiana społeczna i w połowie lat 20. XX wieku obowiązek szkolny spełniało już jakieś 70 proc. dzieci.

Chodzenie do szkoły nie chroniło dziecka przed pracą. Pracowały po szkole, ale też przed nią – funkcjonował system szkolnictwa wieczorowego. Do takich szkół chodzili choćby dzieci przyuczane do zawodu w zakładach rzemieślniczych. W praktyce taka edukacja była fikcją, bo zgodnie z przepisami właściciel takiego zakładu musiał zwalniać je do szkoły zaledwie na sześć godzin tygodniowo. Poza tym, jak dziecko czy nastolatek po całym dniu pracy mógł się skutecznie uczyć?

Korzystasz z pisanych na konkursy pamiętników, o których prof. Paweł Rodak mówił w „Wyborczej”, że to jeden z najbardziej niezwykłych polskich fenomenów. Jak opisywano w nich dzieciństwo?
– Tak, to konkursowe pamiętnikarstwo było fenomenem – i do dziś nie jest w pełni wykorzystane. Jeśli chodzi o fragmenty o najmłodszych latach życia, to wiele uwagi poświęcano sposobom wychowania, jakby ludzie chcieli wyjaśnić czytelnikowi świat, w którym dorastali, utrwalić go. Pisano, jak dzieci były traktowane przez rodziców, gdzie spały, co jadły, do czego były zobowiązane.

Czasem też pojawiają się refleksje na temat dzieciństwa. Pamiętnikarze piszą, że było ono trudne, że żalują braku edukacji. Niektórzy podkreślają, jak trudno było im wyrwać się z biedy – jednym się udało, inni pogodzili się z losem.

Takie wspomnienia były dla mnie najtrudniejszą lekturą. Wspomnienia dzieci, które miały marzenia o edukacji, wiedziały, że są zdolne, lubiły czytać i się uczyć, ale ich sytuacja majątkowa nie pozwalała na rozwijanie tych umiejętności. W tych pamiętnikach wielokrotnie pojawia się żal wobec losu, czasem jakaś apatia, rezygnacja.

Były dzieci, które marzyły o pracy?
– Tak! To może być zaskakujące, ale pojawiają się osoby, które wołały pracę od edukacji, czy w ogóle od dzieciństwa. „Nie chciałam się uczyć, chciałam pracować, tylko tkalnia mi się podobała” – pisze kobieta, której ojciec miał sześć lat, gdy sam zaczął pracować.

Nie było takich głosów wiele, ale nie można ich ignorować. Z pewnością dla wielu dzieci praca stawała się wartością, bo umożliwiała im znalezienie własnego

miejsca w hierarchii społecznej. Dopóki nie zaczęły pracować, nie miały znaczenia. „Za ruska lżej było żyć biednym ludziom!” – krzyczy kobieta, której inspektorka chce zabronić wysyłania do pracy chorego dziecka.

Przypomina to historię opisaną przez Andera Izagirre w wyróżnionym Nagrodą im. Kapuścińskiego reportażu „Potosi. Góra, która zjada ludzi”. Hiszpański reporter opisuje boliwijskie dzieci pracujące w kopalni, które od społeczności międzynarodowej domagają się nie zakazu pracy, ale pomocy w uzyskaniu godnych warunków w niej.
– Opisuję w książce historię Ignasia, którego rodzice byli alkoholikami, a on pracował w fabryce szwarcu na przedmieściach Przemysła. Sklejał pudełka na pastę do butów i marzył, że zarobi i ucieknie. Był uzdolniony artystycznie, chciał się uczyć w Wiedniu. Wiemy, że uzbierał jakąś sumę i ruszył w podróż. Niestety, nie wiemy, dokąd go zaprowadziła.

Praca dzieci to chwytliwy temat, łatwo tu o uproszczenia. A to nie było takie jednoznaczne. Chciałabym, żeby ta książka otworzyła ludzi na myślenie nie tylko, że było strasznie, ale że było bardzo różnie. Jeśli ktoś szuka czarno-białego świata, to tu go nie znajdzie. Tu jest mnóstwo odcieni szarości, a i pewnie znalazłyby się jeszcze inne kolory.

Wydaje mi się, że te generalizacje tworzyli też przez lata sami historycy. Choćby rozważaniami nad konceptem dzieciństwa. Philippe Ariès uważał, że odkrycie dzieciństwa nastąpiło dopiero pod koniec XIII wieku, gdy uznano, że dziecko ma duszę. Inni zaś twierdzili, że nastąpiło w późnym renesansie, gdy zauważono, że dziecko powinno być „podmiotem szczególnego traktowania”. Co o tym sądzisz?
– Rzeczywiście dyskusje o koncepcie dzieciństwa toczą się od wielu lat. Jedni rozumieją je jako etap fizycznego rozwoju, inni patrzą na psychikę dziecka, a kolejni na jego miejsce w kulturze i społeczeństwie. Debata trwa, od kiedy dziecko stało się przedmiotem szerszego zainteresowania historyków, czyli od lat 60. XX wieku. Ariès uważał, że w średniowieczu do dzieci nie podchodzono emocjonalnie, bo wiele z nich szybko umierało i rodzice nie przywiązywali się do potomstwa. Inni zaprzeczają tym tezom.

Myślę, że ludzie zawsze byli ludźmi. Może i żyjemy w innych czasach, ale pewne odruchy są wspólne w każdej epoce. Oczywiście zmienia się to, jak traktujemy dzieci, jak je wychowujemy, uczymy, przygotowujemy do życia, ale nie sądzę, że zmienia się więc rodzic – dziecko. Może kiedyś inaczej okazywano uczucia, ale nie znaczy to, że tych uczuć nie było.

Cytowani przez ciebie pamiętnikarze jednak o własnym dzieciństwie nie mieli za wiele dobrego do powiedzenia. Wiele pamiętników powstało jednak po II wojnie światowej, gdy jak najgorszy obraz sanacyjnej Polski był politycznie użyteczny.
– Rzeczywiście autorzy pamiętników pisanych na konkursy wiedzieli, że nie wszystko warto opisywać. Ale w przypadku opisów dzieciństwa nie było sensu kłamać. Poza tym te opowieści pokrywają się ze sobą i są zgodne z informacjami z innych źródeł. Doskonałym materiałem są relacje zgromadzone w archiwum Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej na Uniwersytecie Łódzkim. To zbiór relacji osób, które pracowały przed II wojną światową w Łódzkim Okręgu Przemysłowym. Wszyscy odpowiadali na podobne pytania, ale z ich opowieści wiele można się dowiedzieć o przestrzeni, w której żyli, i warunkach panujących w mieście. O dzieciństwie mówią czasem tylko jedno zdanie, ale niekiedy to zdanie jest kluczowe.

W łódzkim archiwum znalazłam choćby relację Reginy, która jako 14-latką zaczęła pracować w fabryce włókienniczej. Był rok

1924 i choć do pracy przyjmowano od 16. roku życia, to na jej wiek przymknęto oko – ojciec był w zakładzie majstrem. Dziewczynka początkowo pomagała ojcu przy rajgowaniu, czyli zakładaniu osnowy na krosna, i innych drobnych pracach. W 1925 roku zakład upadł i bratowa Reginy załatwiła jej pracę w innej fabryce. „Przyuczenie do pracy na skręcarce trwało dwa-cztery tygodnie, ale ja się nauczyłam w trzy dni. Jedna z robotnic rozchorowała się, a nie było zapasowej kobiety...”. Warto zobaczyć w sieci skrętarkę, by zrozumieć, jak olbrzymią maszynę musiała obsługiwać nastolatka. W ciągu dnia przenosiła około 200 szpul z przędzą. Każda ważyła dwa kilogramy.

Jako historyczka musisz wyłączyć emocje, by opisywać losy tych dzieci, ale jestem ciekaw, które historie najbardziej cię poruszały.
– Mam córkę, więc choćby z tego powodu najtrudniejsze były dla mnie historie dziewczynek. Szczególnie tych, które łądowały na ulicy i wpadały w prostytucję.

Poruszające były też historie wypadków, jak ten, gdy młodej odbieracze maszyna rotacyjna złapała warkocz, nawinęła go na walek, wyrwijąc włosy razem ze skórą głowy. Ta historia utkwiała mi w głowie. Historia ośmioletniej prostytutki, która opowiada, że jest zadowolona, bo zarabia za każdym razem rubla, a jak awansuje w hierarchii, to będzie zarabiać pięć rubli... Jak to czytam, to wciąż mam ciarki. Najbardziej dzieci już w wieku 10 lat były w bardzo złym stanie zdrowotnym, co umożliwiało stręczycielom niemal niewolnicze ich wykorzystywanie.

To nietławe odseparować się emocjonalnie od takich historii. Jestem historykiem i obecnie zawodowo zajmuję się II wojną światową, martyrologią, historią pacyfikacji. Trudno zajmować się takimi tematami, trzeba znaleźć sposób na to, by rozumieć, by wejść w te historie, ale jednocześnie mieć jakiś zapas, jakiś dystans, który pozwoli ochronić własne emocje.

Niewiele w twojej książce Kościoła katolickiego, instytucji przecież zawsze szczytającej się pomaganiem dzieciom.
– Rzeczywiście Kościół nie jest tu obecny. Może poza historią Ludwika Moriconi, przełożonej generalnej Zgromadzenia Córek Maryi Niepokalanej, który to zakon pomagał młodym prostytutkom. Moriconi założyła w Warszawie Zakład dla Dziewcząt, w którym dawała dach nad głową dziewczynom, które uciekały z domów publicznych. Zaangażowanie osób duchownych w walkę z pracą dzieci było rzadkie. Czasem w komentarzach, artykułach prasowych znaleźć można jakieś zawołane uwagi na ten temat, ale bardzo ogledne. Spotkałam się też z relacjami, z których wynikało, że to właśnie księża byli przeciwni edukacji dzieci, zwłaszcza dziewczynek, i przeciwni oczywiście ruchom chłopskim jako naruszającym odwieczny porządek.

Dla Kościoła problemem było to, że walkę o poprawę losu dzieci prowadziły przede wszystkim ruchy lewicowe, którym z religią nie było po drodze. Ale być może, że robiono dużo więcej, niż wynika z dokumentów. Może Kościół, może duchowni udzielali pomocy po cichu, może gdzieś w parafii jakiś duchowny na swoim podwórku próbował coś zdziałać, jednak w materiałach, które poznałam, pracując nad książką, właściwie nie ma ani słowa o tym, by Kościół aktywnie włączał się w działania mające na celu poprawienie jakości życia pracujących dzieci.

Przytaczasz piosenkę żebrzącej dziewczynki: „Niechaj wie o tem wszelaka dusza:/ Wzgardzisz sierotę, wypchniesz Jezusa;/ Bóg to uczyni po twoich dzieciach./ Będą się tułać po cudzych śmieciach”. Sierotom Kościół jednak pomagał.
– Tak, ale to już zupełnie inny temat niż praca dzieci przed II wojną światową. Jeśli sierota trafiła do przytułku zamiast na ulicę, może miała szansę na lepsze życie.

Wracamy do refrenu naszej rozmowy – nic nie jest oczywiste.

– Lubimy uproszczenia i dlatego często zadowolamy się jedną wersją „prawdy”. Nawet w „zwrocie ludowym”, który jako zjawisko jest niezwykle cenny i ważny, tkwi niebezpieczeństwo upchnięcia wszystkiego w proste rozwiązania, jedną narrację.

Odkrywanie chłopskich korzeni jest niezwykle istotne, ale nie oznacza, że musimy na stos wyrzucić książki o szlachcie. Zobaczmy, jak z jednej i drugiej perspektywy pisana jest historia, czy i jak możemy te opowieści połączyć, a co w nich się wyklucza? Byli chłopci, którzy cierpieli wielką biedę. Byli też tacy, którzy mieli dominującą pozycję nad „swoim” szlachcicem. Czym innym jeszcze było życie magnata. Inna była też świadomość, inna conceptualizacja samej pracy.

Z twojej perspektywy pradziadek chłop był ciemniejszy. Z jego? Niekoniecznie. To był jego normalny świat, który odczuwał jako oczywisty, tak jak my dzisiaj ten, który nas otacza. Może to jest dla nas najtrudniejsze do przyjęcia – że na ogół ludzie się go dzili z losem. Dzisiaj żyjemy raczej w epoce buntu, sprzeciwu, indywidualizmu. Trudno sobie wyobrazić taki brak perspektyw, jaki przebija z tych opowieści o dzieciństwie.

Jednocześnie praca dzieci była przez literaturę i sztukę romantyzowana. W twojej książce znajduje się urocze wręcz zdjęcie młodego druciara.
– To zdjęcie wykonane w atelier Waleriana Twardzickiego pod koniec XIX wieku. Chłopiec jest czysty, ma na sobie nieporwane ubranie, do tego jest dobrze oświetlony, a garnki wiszą na nim w symetrycznym porządku. Ma być ładnie. Jeśli to prawdziwy uliczny sprzedawca garnków, to prosto z atelier fotografa wyszedł na ulicę, gdzie czekały na niego chłód, głód i całodzienny marsz w poszukiwaniu klientów.

Ma być ładnie, bo czytelnik wówczas wiedział, że rzeczywistość jest inna?
– Trochę tak. To miał być taki uroczy obrazek prezentujący „typ uliczny” – przedstawiciela grupy społecznej nadającej koloryt ówczesnej Warszawie. W moim odczuciu obrazek druciara krzyczy: patrzcie, wcale nie jest mi tak źle, jestem zadowolony i dumny ze swojej pracy!

Sienkiewicz, którego przytaczam, pisał w prasie, że „my, współcześni, wiemy dobrze, że nie jest to walka o byt, ale o niewymyte garnki, o niewyszorowane rondle, o koszykowe, o próżniactwo i o zbytnią skłonność do miłosnych płomieni”. Dla uprzywilejowanych warstw los służby czy właśnie pracujących dzieci mógł być zupełnie przezroczysty. Gdy ruch robotniczy domagał się poprawy warunków pracy, Sienkiewicz kpil, że to po to, by się lenić.

To mi przypomina szefa, który nie chce dać podwyżki pracownikom.
– Nasza mentalność tak szybko się nie zmienia. Zmieniają się tylko okoliczności. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Magdalena Kopeć

• Pisarka, historyczka i muzealniczka. Autorka powieści „Trzy zimy” (2019), „Łato Sabiny” (2022), „Gorzkie korzenie” (2023).



„Pastuszkowie, gazeciarze, tkaczk. Jak zmuszano dzieci do pracy”

Magdalena Kopeć
Wielka Litera 2025

• Radzieccy i zagraniczni dziennikarze w miejscu ostatniej próby jądrowej przeprowadzonej na poligonie w Semipałatyńsku 19 października 1989 roku, dwa lata przed ich wizytą. Zdetonowano wówczas 600 metrów pod ziemią 75-kilotonowy ładunek

FOT. ALEXANDER LISKIN / SPUTNIK / BE&W



Semipałatyński

WRZÓD POSOWIECKI

Całkowita moc 456 eksplozji jądrowych przeprowadzonych na poligonie w Semipałatyńsku w Kazachstanie była 45 tysięcy razy większa od siły bomby atomowej zrzuconej na Hiroszimę.

Robert Stefanicki

O siemnastoletnia Diana Murzagalijewa na wystąpieniach pojawia się z ustami zaklejonymi taśmą. Ma to symbolizować lata przeżyte w milczeniu.

– Tak właśnie się czułam, dopóki nie skończyłam dziewięciu lat – tłumaczy, gdy taśmę zdejmie, by opowiedzieć swoją historię. Urodziła się z dyzartrią, formą porażenia mózgowego, która sparaliżowała części jej twarzy i języka. Lekarze przypisywali to narażeniu na promieniowanie z testów nuklearnych przeprowadzanych w pobliżu jej rodzinnego miasta w Kazachstanie.

– Moje struny głosowe nie funkcjonowały prawidłowo. Podczas gdy inne dzieci się śmiały, śpiewały i bawiły, ja milczałam – wspomina. Lata spędziła w szpitalach i ośrodkach rehabilitacyjnych razem z innymi dziećmi z poważnymi schorzeniami wywołanymi radiacją. Wiele z nich zostało osieroconych lub porzuconych, a zdrowi rówieśnicy je wyśmiewali.

42-letnia matka Diany nie słyszy od dzieciństwa. Babcia zmarła na raka. Prababcia, urodzona we wsi Karaul w pobliżu miejsca testów, podczas pierwszej eksplozji atomowej 29 sierpnia 1949 roku była siedemnastolatką w ciąży. Jej córka przeżyła zaledwie rok; w sumie z dziewięciorga dzieci czworo zmarło przed ukończeniem dwóch lat.

Urodzona 18 lat po ostatniej próbie atomowej Diana przeszła wiele operacji korygujących zdeformowane organy. Zdeterminowana, by przekuć swoje cierpienie w coś pozytywnego, poświęciła się walce o środowisko, prawa dzieci niepełnosprawnych i zakaz broni nuklearnej. Była jednym z mówców podczas zlotu aktywistów antynuklearnych, który odbył się w marcu 2025 roku w Nowym Jorku na marginesie organizowanego przez ONZ trzeciego Spotkania Państw Stron Traktatu o Zakazie Broni Jądrowej (TPNW).

Innym gościem był Karipbek Kujukow, malarz i Ambasador Dobrej Woli Kazachstanu, który urodził się bez rąk na skutek promieniowania. W jego pracach przewija się motyw grzyba atomowego. – Moje życie, tak jak historia Kazachstanu, uosabia

horror testów broni jądrowej – zaczął swoje wystąpienie i opowiedział o zawałonych domach, zatrutym bydłe, o żołnierzach pływających w jeziorach przesiąkniętym odpadem nuklearnym, o rodzinach zbierających skażony metal, aby przeżyć, i o wadach genetycznych.

CHOROBA POLIGONOWA

Ponoć to szef tajnej policji Stalina Ławrientij Beria w 1947 roku wybrał rzekomo niezamieszkały obszar we wschodnim Kazachstanie na główny poligon doświadczalny dla broni jądrowej Związku Radzieckiego – nie zważając na jego bliskość do historycznego miasta Semipałatyńsk

(obecnie Semej). Poligon zajął 18 tysięcy kilometrów kwadratowych – powierzchnia zbliżona do naszego województwa pomorskiego.

W latach 1949-89 przeprowadzono tam 456 eksplozji jądrowych, w tym 86 atmosferycznych i 25 naziemnych. Ich całkowita moc przekracza 45 tysięcy razy siłę bomby atomowej zrzuconej na Hiroszimę. Skutki promieniowania wykryto później w organizmach 220 tysięcy osób.

– Od małego widziałem, jak kolejni moi koledzy i sąsiedzi chorują na białaczkę, tracą wzrok albo dostają guza mózgu i umierają – mówi Bolatbek Baltabek w filmie „Chcę dalej żyć”, który wyświetlono w Nowym Jorku. Twórcy – Almizan Achmetow i Assel Achmetowa – zebrali w nim świadectwa ocalańców z okolic Semipałatyńska.

Do 1963 roku wszystkie testy odbywały się nad ziemią i tworzyły radioaktywne chmury, które opadały na okoliczne wioski. Radzieccy urzędnicy nie informowali społeczeństwa, co robią na poligonie. Niekiedy nakazywali mieszkańcom wyjść na zewnątrz podczas eksplozji, najwyraźniej chcąc ich uchronić przed ranami w razie uszkodzenia budynku.

– Uczniom kazano wyjść na boisko – opowiada w filmie Ayimkul Wesse. – Nauczyciele bali się, że szkoła się zawali. Nie wiedzieli, co się dzieje. Myśleli, że to trzęsienie ziemi.

Jewgienij Szumiłow: – Huk był potężny. Jako chłopcy byliśmy ciekawscy, musieliśmy to zobaczyć. Potem przestaliśmy zwracać uwagę. Trzęsie się, znaczy wojskowi coś detonują. Znaczy potrzebne.

Powietrze i źródła wody uległy skażeniu. Zwierzęta gospodarskie jadły trawę rosnącą na radioaktywnej glebie, a ludzie spożywali radioaktywne mleko i mięso. Okoliczni mieszkańcy zaczęli narzekać na problemy zdrowotne, tajemnicze zgony. Dzieci rodziły się z niepełnosprawnością fizyczną i psychiczną. Wskaźniki zachorowań na raka gwałtownie wzrosły i nawet dziś pozostają znacznie wyższe niż w innych częściach Kazachstanu.

– Jako dzieci baliśmy się samobójstw, zwłaszcza gdy ktoś się powiesił – opowiada Baltabek. – W każdym miesiącu ktoś umierał w ten sposób. Starsi mówili, że nawet podczas Wielkiego Głodu ludzie nie odbierali sobie życia. Przeklinali tych, którzy założyli poligon. Powieszenie się nazywaliśmy chorobą poligonową. Nawet po zamknięciu poligonu w ciągu 20 lat życie odebrało sobie 40 osób, mam zapisane wszystkie nazwiska. Jednym z nich był mój syn Ardak. Był w dziewiątej klasie. Po szkole przyszedł do domu i powiesił się w stodole.

NEVADA W KAZACHSTANIE

W 1963 roku ZSRR po rozmowach z USA i Wielką Brytanią podpisał układ w sprawie ograniczenia testów atmosferycznych. Próby w Semipałatyńsku przeniesiono pod ziemię, co oszczędziło okolicznym mieszkańcom najgorszych skutków opadu, ale nadal uwalniały się gazy radioaktywne. Ostatni raz w 1989 roku.

Ekspertka od polityki nuklearnej Togzhan Kassenowa w swojej książce „Atomowy step: Jak Kazachstan zrezygnował z bomby” opisuje kluczową rolę Olzhasa Suleimenowa, poety i polityka, który założył „najbardziej masowy ruch pokojowy w Związku Radzieckim”. Wówczas był członkiem Rady Najwyższej ZSRR. Komunistyczne mocarstwo weszło już na ścieżkę implozji, a polityka głośności Michaiła Gorbaczowa zachęcała do większej przejrzystości działań wojskowych. W lutym 1989 roku pilot z bazy lotniczej Chagan w pobliżu miejsca testów zadzwonił do Suleimenowa, aby powiedzieć mu, że radioaktywna chmura o wysokości 220 metrów i szerokości prawie dwóch kilometrów przesunęła się nad osiedla wojskowe i tereny cywilne.

Ponad milion osób podpisało petycję o zakończenie testów nuklearnych na poligonie w Semipałatyńsku. Wiece trwały przez cały rok 1989 oraz 1990

Suleimenow, który wówczas ubiegał się o reelekcję, wykorzystał zaplanowany występ telewizyjny niecałe dwa tygodnie później, aby wygłosić improwizowane przemówienie na temat zagrożeń związanych z testami nuklearnymi. Bezprecedensowo publicznie zażądał, aby Moskwa zaprzestała eksperymentów w pobliżu Semipałatyńska i na dobre zamknęła poligon.

Trzy dni później tysiące ludzi zebrało się przed budynkiem Związku Pisarzy w Almatach na wiecu, na którym Suleimenow ogłosił nowy ruch antynuklearny o nazwie „Nevada”. Był to sprytny manewr mający pokazać, że problem skutków testów nuklearnych jest wspólny dla wszystkich społeczności nim dotkniętych, bez względu na lokalizację geograficzną. W szczególności Kazachowie demonstrowali solidarność z Amerykanami walczącymi o zamknięcie poligonu w Nevadzie. Suleimenow zdał sobie sprawę z tego, że kampanię trzeba rozszerzyć poza granice Kazachstanu, ponieważ ZSRR nigdy nie zaprzestanie testów nuklearnych, dopóki USA będą je kontynuować.

Ruch został później przemianowany na Nevada-Semipałatyńsk; jego logo przedstawia sylwetki amerykańskich Szoszonów i kazachskich starszych dzielących się fajką pokoju.

ŚWIADOMOŚĆ ZATRUTA STRACHEM

Głośność stworzyła grunt pod zmiany, Moskwa i Waszyngton zapoczątkowały dyskusję na temat kontroli zbrojeń. W 1988 roku naukowcy z obu krajów przeprowadzili wspólny eksperyment mający na celu sprawdzenie siły podziemnych eksplozji jądrowych, co było oznaką rosnącego zaufania między dwoma jeszcze niedawno otwarcie wrogimi potęgami.

Protesty w Kazachstanie miały poparcie Nursultana Nazarbajewa, późniejszego pierwszego prezydenta Kazachstanu, wówczas drugiego w hierarchii polityka, który dążył do umocnienia swojej władzy i uzyskania większej autonomii dla Kazachskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Apel Suleimenowa spotkał się również z przychylnym odzewem wśród narodu kazachskiego, sfrustrowanego dziesięcioleciem sowieckich represji. Ledwie dwa lata wcześniej w kilku miastach krwawo stłumiono protesty przeciwko zmianie na stanowisku pierwszego sekretarza republiki, gdy Moskwa zastąpiła Kazacha etnicznym Rosjaninem.

Ponad milion osób podpisało petycję o zakończenie testów nuklearnych w Semipałatyńsku. Wiece trwały przez cały rok 1989 oraz 1990, przyciągnęły aktywistów z amerykańskich grup antynuklearnych, a także Japończyków ocalałych z bombardowań Hiroszimy i Nagasaki. Największa demonstracja miała miejsce 6 sierpnia 1989 roku, w 44. rocznicę zrzucenia bomby atomowej na Hiroszimę. W Semipałatyńsku zebralo się około 50 tysięcy osób. Odczytano wtedy oświadczenie: „Nasza świadomość jest zatruta strachem przed przyszłością. Boimy się pić wodę, jeść jedzenie, rodzić dzieci”.

Tymczasem Związek Radziecki się rozpadł. Moskwa na początku 1991 roku zgodziła się ograniczyć liczbę testów nuklearnych, ale nie była gotowa ich zakończyć. Nazarbajew wykorzystał okazję, gdy decydenci byli zajęci próbą zamachu stanu przeciwko Gorbaczowowi i 29 sierpnia 1991 podpisał dekret zamykający poligon w Semipałatyńsku – dokładnie 42 lata po pierwszej próbie nuklearnej. W grudniu Kazachstan ogłosił

niepodległość od Związku Radzieckiego, który sam przestał istnieć 10 dni później.

ATOMOWY SPADEK

Kazachstan odziedziczył spadek, o który nie zabiegał – ponad tysiąc głowic jądrowych, ponad setkę międzykontynentalnych pocisków balistycznych, dziesiątki ciężkich bombowców zdolnych do przenoszenia bomb jądrowych i tony materiału nuklearnego. Gdyby to zachował, byłby czwartą co do wielkości potęgą nuklearną na świecie. Jednak kazachskie przywództwo zdało sobie sprawę z tego, że kraj miałby wówczas ograniczony dostęp do inwestycji, rynków globalnych, instytucji międzynarodowych, technologii. Nie bez znaczenia były też silnie antyatomowe nastroje w społeczeństwie.

Po negocjacjach ze Stanami Zjednoczonymi Kazachstan postanowił rzec się broni jądrowej. W 1994 roku przekazał głowice Rosji. W 2006 Kazachstan, Kirgistan, Tadżykistan, Turkmenistan i Uzbekistan podpisały traktat taszkiencki, który ustanowił strefę wolną od broni jądrowej w Azji Środkowej.

Pozostawione głowice nie były jedynym problemem, jaki został po upadku Związku Radzieckiego. Naukowcy i wojskowi zniknęli z poligonu, pozostawiając po sobie rozległy kompleks tuneli i otworów wiertniczych, a w nich niewykorzystane materiały jądrowe całkowicie niezabezpieczone. Nazarbajew natychmiast ogłosił zamknięcie ośrodka, odwołano przygotowywaną próbę nuklearną. Materiały pozostały w tunelu jeszcze przez kilka lat. Republika Kazachstanu wysłała prośbę do sekretarza obrony USA Williama Perry’ego o pomoc przy ich zabezpieczeniu i wyeliminowaniu infrastruktury. Była to mozolna praca. Dopiero w 2000 roku program Departamentu Obrony przy wsparciu laboratorium Los Alamos należącego do Departamentu Energii zakończył projekt uszczelnienia 181 tuneli i 13 szybów testowych w Semipałatyńsku.

Po atakach Al-Kaidy na USA wzrosły obawy przed terroryzmem nuklearnym i kradzieżą pozostałych w tunelach materiałów, które wystarczyłyby do wypełnienia tuzina głowic. Ekipy robocze zakopały więc materiał w cemencie, zatkały i zawałiły tunele, a także ponownie uszczelnili i ukryły portale tuneli.

JAPONII NIE PRZESZKADZA ATOM

W 1995 roku Nazarbajew mianował Suleimenowa ambasadorem w Rzymie, co wielu uważa za nieudolnie zawołowaną próbę usunięcia rywala politycznego. Osiągnąwszy swój główny cel – zamknięcie poligonu testowego – ruch Nevada-Semipałatyńsk stracił impet, niemniej jego członkowie nadal spotykają się, aby uczcić rocznicę zakończenia testów, orędownać za odszkodowaniami dla ofiar i za zakazem broni jądrowej. Nie tylko nowe pokolenie kazachskich aktywistów podjęło się mobilizowania świata do wyeliminowania tej destrukcyjnej technologii.

Również kazachskie państwo jest w awangardzie ruchu antynuklearnego. Kazachstan przyjął wszystkie międzynarodowe traktaty i odezwy w tej sprawie, na czele z TPNW – pierwszą prawnie wiążącą umową międzynarodową całkowicie zakazującą testowania, produkcji, gromadzenia zapasów i używania bomb A. Przyjęty przez Organizację Narodów Zjednoczonych w 2017 roku traktat ma obecnie

poparcie 94 krajów – lecz żaden z nich nie ma broni jądrowej.

Kazachstan był głównym organizatorem marcowego spotkania państw popierających TPNW w nowojorskiej siedzibie ONZ. Znamienne, że władze Japonii – jedyne go kraju doświadczonego bombą atomową – dziś kwestionują ideę rozbrojenia atomowego, bo korzystają z ochrony armii USA. Do Nowego Jorku przyjechali tylko hiba-kusha, czyli Japończycy, którzy przeżyli atomową hekatombę.

ŁUDZIE TU CIĄGLE UMIERAJĄ

Mieszkańcy okolic Semipałatyńska czują raczej rozgoryczenie niż dumę. – Poligon zamknęli, a problemy zostały – wzdycha w filmie Bajan Slamakhanowa.

Bolatbek Baltabek: – Chodzili słuchy, że będą wypłacać odszkodowania. Myśleliśmy, że kupimy mieszkanie w mieście i auto. Ale pieniądze przejęli ludzie bez skrupułów. To, co dostaliśmy, pochłonęła hiperinflacja. Moi rodzice dostali jednorazową zapomogę. Pracujący mają dodatek do pensji w wysokości 4 tysięcy tengów (35 złotych).

– Po upadku ZSRR i zamknięciu kolchozów ludzie nie mieli pracy ani pieniędzy – opowiada Baltabek. – Chińczycy kupowali żelazo, więc ludzie zaczęli wchodzić do szybów i wyciągali szyny, miedziane kable. Trójka dzieci z mojej wioski Sarzhał umarła na chorobę popromienną. Sąsiedzi, którzy próbowali je uratować, później popełnili samobójstwo; jeden się powiesił, drugi podciął sobie żyły. Trzeci umarł potem na krwotoczny udar mózgu.

– W naszej wiosce wojna się nie skończyła, bo ludzie ciągle umierają – ciągnie Baltabek. – Poszkodowanym trudno uzyskać papiery inwalidzkie. Marzą im się darmowe przejazdy autobusem, sanatorium. Jak weteranom wojskowym. Jak w Japonii i Ameryce.

Oprócz Kazachstanu jeszcze tylko trzy kraje wyrzekły się broni jądrowej: Ukraina, Białoruś i Republika Południowej Afryki. Ukraina tego pożałowała, bo uzyskane w zamian gwarancje bezpieczeństwa okazały się pustymi obietnicami. Rosja przerzuciła ponownie na Białoruś swoją broń atomową w czerwcu 2023 roku jako element nacisku na europejskich sojuszników Kijowa.

O rozbrojeniu RPA zdecydował w 1991 roku ustępujący rząd białej mniejszości. Nie chciał, aby broń atomowa dostała się w ręce Afrykańskiego Kongresu Narodowego, który mógłby się nią podzielić z innymi krajami regionu albo z sojusznikami w ich walce wyzwolenczej, takimi jak Kuba, Iran, Libia lub Organizacja Wyzwolenia Palestyny.

W XXI wieku jedynym krajem testującym broń jądrową jest Korea Północna, która ostatnio zdetonowała ładunek w 2017 roku. Inne państwa prowadzą testy na poziomie podkrytycznym, poniżej progu reakcji łańcuchowej.

W 2020 administracja Donalda Trumpa rozważała powrót do testów i choć w obecnej kadencji na razie nic o tym nie słychać, to zagrożenie istnieje. „Ponowne uruchomienie amerykańskiego programu testów nuklearnych może być jednym z najważniejszych działań politycznych, jakie podejmie administracja Trumpa – ocenia Biuletyn Naukowców Atomowych. – Test w USA może zapoczątkować niekontrolowany ciąg zdarzeń, na które inne kraje mogą odpowiedzieć własnymi testami, destabilizując globalne bezpieczeństwo i przyspieszając nowy wyścig zbrojeń”.

Jacek Merkel*

Wedle łacińskiej paremii *sine ira et studio*, czyli bez gniewu i upodobania, starałem się spojrzeć na naszą historię lat 80. XX wieku, by lepiej zrozumieć, co nam się wówczas przydarzyło.

Ten wycinek naszej historii nazywam „Dekadą »Solidarności« – czasem naszego wspaniałego powstania narodowego”. Nasza historia obfituje w powstania narodowe, które – jeśli w ogóle je planowaliśmy – to lekceważąc okoliczności, w oderwaniu od rzetelnej oceny sił i środków, jakimi dysponujemy, oraz od realnej analizy sytuacji międzynarodowej. Powstania prowadziliśmy z godnym podziwu bohaterstwem, ale topione były we krwi, a ich rezultatem było pogorszenie naszej sytuacji – narodowej i międzynarodowej. I nagle – jakby wbrew naszej tradycji – zrobiliśmy powstanie mądrze zaplanowane, odważnie i rozsądnie przeprowadzone, zwieńczone odyskaniem niepodległości, wdzięcznością sąsiadów i podziwem świata.

Trzy przełomowe wydarzenia Dekady „Solidarności” się na to składały: Sierpień ’80, stan wojenny oraz Pokój zawarty przy okrągłym stole. Pokój jest istotą naszego wspólnego sukcesu.

Nasze wyjątkowe powstanie narodowe ma trzech głównych bohaterów. Każdy odegrał inną, lecz równie ważną rolę:

Jan Paweł II – papież Polak,

Lech Wałęsa – charyzmatyczny przywódca „Solidarności”,

Wojciech Jaruzelski – generał, premier i pierwszy sekretarz skupiający w swych rękach władzę w Polsce.

W 1978 roku wydarzyło się coś nieprawdopodobnego – Polak został wybrany na papieża. Dziś wydaje się to czymś zwyczajnym, ale wówczas papieżami od niepamiętnych czasów zostawali tylko „jacyś włoscy arystokraci”. Aż tu nagle Polak. Ten wybór przepajał nas poczuciem wyjątkowości. Są dziesiątki narodów chrześcijańskich, a papieżem zostaje Polak. Ten wybór dowodził, że niemożliwe bywa czasami możliwe. Niemożliwe też było, żeby papież przyjechał do komunistycznego kraju i by komunistyczna telewizja transmitowała mszę świętą. A jednak, papież modlił się z Polakami na placu Zwycięstwa w Warszawie i oglądała to na żywo w telewizji cała Polska.

AKT PIERWSZY

W połowie sierpnia 1980 roku ze Stoczni Gdańskiej zwolniono Annę Walenty-nowicz, działaczkę Wolnych Związków Zawodowych. Okazję tę postanowił wykorzystać związany z KOR Bogdan Borusiewicz, organizując strajk w jej obronie. Doświadczenia wcześniejszych buntów zaowocowały wyborem okupacyjnej formy protestu – bez demonstracji ulicznych, by nie dawać pretekstu do użycia siły. Nieoczekiwanie rozbłysnął talent przywódczy jednego z działaczy WZZ, weterana strajku z 1970 roku – Lecha Wałęsy.

Ujawniła się wtedy nasza zbiorowa, narodowa mądrość. Strajkujących w całej Polsce jednoczył jeden postulat: prawo do tworzenia niezależnych, samorządnych związków zawodowych. Było to oczywiście niemożliwe w realiach komunizmu, ale – pamiętamy – niemożliwe bywa czasem możliwe. Bunt tężał, obejmując coraz liczniejsze ośrodki w kraju, a strajkujący trwali uparcie w swoich zakładach, czekając, aż władza ustąpi.

Władza, wybierając między niemożliwościami, wybrała tę, która wydała się mniej niemożliwa. Wysłała delegację do strajkujących i na oczach świata zgodziła się na



Kampania przed wyborami 4 czerwca 1989 roku. Zwolnicy „Solidarności” przyklejają plakaty na Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie

FOT. WOJCIECH DRUSZCZ / AGENCIA WYBORCZA.PL

Jak zawarliśmy POKÓJ

Świętujący obalenie muru Niemcy przed Bramą Brandenburską ustawili kostki domina symbolizujące kraje dawnego bloku komunistycznego. Lech Wałęsa został zaproszony, aby pchnąć tę pierwszą, symbolizującą Polskę.

tworzenie „niezależnych, samorządnych związków zawodowych”.

W całej Polsce rozpoczęło się żywiołowe tworzenie niezależnych od władzy struktur. Niekwestionowany autorytet Lecha Wałęsy umożliwił powstanie jednego, ogólnokrajowego związku, który przyjął nazwę „Solidarność”. Związek został zarejestrowany i wkrótce stał się potężną, legalną siłą, zrzeszającą 10 milionów członków.

Wewnątrz tej dziesięcimilionowej organizacji tętniła wolność, której brakowało nam w komunistycznej Polsce. „Solidarność” uwolniła tłumione w nas ambicje, kreatywność, inicjatywę. Związek był demokratyczny, a jego władze zostały wybrane w wolnych wyborach – co było niepraktykowanym w żadnym innym kraju komunistycznym doświadczeniem społecznym.

Ale „Solidarność” miała także typowe cechy ruchu powstałego dzięki gwałtownemu procesowi społecznemu. Nieliczni radykalowie zniechęcali masy członkowskie. Powszechniało poczucie niepokoju. W rezultacie nawet tak charyzmatyczny przywódca jak Lech Wałęsa tracił sterowność nad „Solidarnością”. Sytuacja dryfowała ku rewolucyjnemu chaosowi.

AKT DRUGI

Władze PRL, godząc się na legalizację „Solidarności”, miały świadomość, że system komunistyczny tego nie zaakceptuje. Nastąpiły zmiany w kierownictwie partii komunistycznej. Władzę objął gen. Wojciech Jaruzelski – weteran II wojny światowej, który w komunistycznej armii wspinał się po szczeblach kariery, by ostatecznie objąć władzę w państwie. Dla Jaruzelskiego było oczywiste, że w obozie komunistycznym istnienie „Solidarności” postrzegano jako zarazę gotową zainfekować sąsiednie kraje. Kreml nie mógł tolerować zaraźliwego, polskiego przykładu, ale przede wszystkim nie mógł sobie pozwolić na niepewność w bezpośrednim zapleczu głównego frontu geostrategicznego. Musiał więc odzyskać kontrolę nad sytuacją w Polsce, czyli interweniować zbrojnie – zgodnie z doktryną Breżniewa. Ale nie mógł tego uczynić, ponieważ dyslokacja dużych sił oznaczałaby zachwianie równowagi między superpotęgami.

Ten kremlowski wybór między niemożliwościami oznaczał, że nie można było wykluczyć interwencji, a pozostawienie sytuacji własnemu biegowi wystawiało Polskę na hazard przypadku. Jaruzelski miał przed sobą wybór wyłącznie między rozwiązaniami obciążonymi poważnymi kosztami. Tym „najlepszym, bo najmniej złym”, wyborem było użycie wojska do „zmrożenia” sytuacji w Polsce. Zręczność polityczna Jaruzelskiego pozwoliła mu zyskać niezbędne miesiące na przygotowania.

Niespodziewanie otrzymał ważną wiadomość z Waszyngtonu – tajną i zakamuflowaną, ale jednoznaczną. Pod koniec listopada 1981 roku zniknął oficer Sztabu Generalnego zajmujący się planowaniem stanu wojennego. Szybko ustalono, że płk Ryszard Kukliński został z rodziną ewakuowany z Polski przez amerykański wywiad. Amerykanie byli więc doskonale zorientowani w planach rozprawy z „Solidarnością”, ale fakt utrzymania tej wiedzy w całkowitej tajemnicy był dla Jaruzelskiego jednoznacznym sygnałem cichej akceptacji jego planów.

Ostatecznie – 13 grudnia 1981 roku – Wojciech Jaruzelski wprowadził stan wojenny. „Solidarność” stawiała opór, ale generał osiągnął swój cel. „Solidarność” została rozbita, a groźba interwencji zbrojnej zażegnana. „Solidarności” zesłała do podziemia. Dzięki nielicznym – choć nielegalna i represjonowana – uparcie trwała. W kwietniu 1982 roku trójka liderów, którzy uniknęli aresztowania – Zbigniew Bujak, Władysław Frasyniuk i Bogdan Lis – ogłosiła powołanie Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej (TKK) do kierowania związkiem. Nie wiadomo było, czy „Solidarność” przetrwa. Trwała dzięki jednemu promiłowemu z tych 10 milionów.

AKT TRZECI

W 1985 roku władzę na Kremlu objął Michaił Gorbaczow, który przyjął do wiadomości, że komunistyczny system gospodarczy zbankrutował. Był niezdolny nadażyć wyścigowi zbrojeń ani zaspokoić podstawowych potrzeb społeczeństwa. Gorbaczow miał odwagę szukać rozwiązania i oświadczył zdumionym sojusznikom z Europy Wschodniej, że doktryna Breżniewa już nie obowiązuje.

Tę niespodziewaną koniunkturę międzynarodową wykorzystał gen. Jaruzelski, próbując zracjonalizować komunistyczny system. Były to posunięcia nieśmiałe i niewystarczające: Rada Konsultacyjna, rzecznik praw obywatelskich, sądy administracyjne, złagodzenie cenzury, uwolnienie więźniów politycznych. Zwalczana „Solidarność” nie była brana pod uwagę w tych reformatorskich rozwiązaniach.

Podobną perspektywę miał Kościół, który postrzegał „Solidarność” jako zamknięty rozdział.

W tym rozluźnieniu wzbierała fala kolejnego buntu, który wybuchł latem 1988 roku. Skala strajków i demonstracji nie przypominały Sierpnia ’80. Protesty objęły kilka izolowanych ośrodków – Gdańsk, Szczecin, Nową Hutę, Stalową Wolę, Jastrzębie-Zdrój... Brało w nich udział nowe pokolenia, które jednak połączyło wspólne hasło: „Nie ma wolności bez Solidarności”. Wśród strajkujących w Stoczni Gdańskiej był Wałęsa, któremu Jaruzelski za pośrednictwem swojego ministra spraw wewnętrznych zaproponował enigmatyczne rozmowy przy okrągłym stole.

Ostatecznie – spotkaliśmy się przy okrągłym stole. Komunistyczne władze z „Solidarnością” w obecności reprezentantów Kościoła, pośredniczącego w rozmowach, tonującego nastroje, wiarygodnego gwaranta ustaleń.

Nie pierwszy to przypadek w historii, gdy dwie skonfliktowane strony – po wyczerpującej wojnie, której żadna ze stron nie wygrała ani się nie poddała – szukają rozwiązania w negocjacjach. Okrągły stół pełnił funkcję niezbędnej scenografii. Nie gwarantował zawarcia pokoju, ale stwarzał możliwość pokojowych negocjacji, które toczyły się przez kolejne tygodnie. Obie strony nie darzyły się zaufaniem – przeciwnie. Minęło właśnie siedem lat zajadłego zwalczania podziemnej „Solidarności”. Rozmowy nie były łatwe ani szybkie, obfitywały w dziesiątki zbliżeń i oddaleń. Pozwalały jednak lepiej się poznać i zrozumieć stanowisko oponenta – aby ostatecznie zawrzeć Pokój. Obrady Okrągłego Stołu to jedno z najdonioślejszych wydarzeń polskiej historii XX wieku.

Najważniejszymi ustaleniami było zalegalizowanie działania NSZZ „Solidarność” oraz zgoda obu stron na poddanie się wyborcze-

mu werdyktowi – parafrazując cytaty z konstytucji PRL – „ludu głosującego miast i wsi”. Ordynacja wyborcza była wyrazem zawartego kompromisu – między dwiema realnie istniejącymi w Polsce siłami politycznymi.

Komuniści mieli pełnię władzy, ale w warunkach rozchwianej gospodarki i rosnącej inflacji. „Solidarność” przetrwała represje w podziemiu, ale tylko w kilku ośrodkach. Obie strony miały swoje mocne i słabe strony oraz odmienne kalkulacje dotyczące wyborów.

Wynik wyborów ogłoszonych na 4 czerwca 1989 roku był wielką niewiadomą. Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że wszystko, co było do zdobycia, przypadło „Solidarności”: 161 posłów i 99 senatorów.

Radykalowie po stronie władzy przywitali ten wynik słowami: „Nie na to się umawialiśmy. Wywracamy ten mebel”. Spacyfikował ich Jaruzelski.

Radykalowie „Solidarności” – „Bierzemy wszystko”. Spacyfikował ich Wałęsa.

Obaj wiedzieli, jak cenny jest zawarty Pokój. Sytuacja przypominała niebezpieczną przeprawę przez rwącą rzekę.

■

Radykalowie po stronie władzy przywitali wynik wyborów słowami: „Nie na to się umawialiśmy. Wywracamy ten mebel”. Spacyfikował ich Jaruzelski. Radykalowie „Solidarności” – „Bierzemy wszystko”. Spacyfikował ich Wałęsa

Do drugiego brzegu, gdzie – jak wiadomo – trawa jest bardziej zielona, było jeszcze daleko. Chińska mądrość nakazuje twardo czuć kamienie pod stopami przy każdym kroku w nurcie rzeki. Skokiem na główkę nie osiągnie się upragnionego brzegu.

Stąpaliśmy tym pionierskim szlakiem odważnie, ale przede wszystkim mądrze i wspólnie – w duchu Pokoju zawartego przy okrągłym stole.

Wynik wyborów postawił pod znakiem zapytania wybór Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta PRL, co było domniemaniem zawartego kompromisu. W tej sytuacji Adam Michnik w „Gazecie Wyborczej” – której utworzenie również było rezultatem zawartego Pokoju – zaproponował: „Wasz prezydent, nasz premier”. Była to propozycja umożliwiająca wybór Jaruzelskiego na prezydenta, w zamian za zgodę

na powołanie koalicyjnego rządu pod naszym kierownictwem.

Kilka dni później do Polski przyleciał prezydent USA George Bush, który namawiał, kogo mógł, do wyboru Jaruzelskiego. Z amerykańskiej perspektywy generał jako prezydent stabilizował sytuację w Polsce, więc czynił polski przykład atrakcyjnym dla sąsiadów, a także ułatwiał rozmowy amerykańsko-radzieckie dotyczące kontroli nad arsenałem nuklearnym ZSRR.

Ostatecznie 19 lipca 1989 roku Wojciech Jaruzelski został zaprzysiężony na prezydenta PRL. W tej sytuacji Lech Wałęsa utworzył w Sejmie nieoczekiwaną większość „Solidarności” ze stronnictwami dotąd podporządkowanymi komunistycznej partii. Niespodziewanie partia komunistyczna znalazła się w opozycji. 12 września Tadeusz Mazowiecki utworzył rząd nowej większości. Resorty obrony i spraw wewnętrznych objęli nominaci Jaruzelskiego. Polskę w Układzie Warszawskim – który wtedy nadal istniał – reprezentował duet Jaruzelski-Mazowiecki. Obecność Jaruzelskiego uspokajała obawy, wzmacniała Gorbaczowa, a więc ułatwiała dalsze zmiany w Związku Radzieckim.

Tymczasem rząd Mazowieckiego musiał się zmierzyć z galopującą inflacją i jednocześnie z transformacją państwową gospodarki – z centralnie planowanej do wolnorynkowej. Tego tytanicznego zadania podjął się Leszek Balcerowicz. Nasze pionierskie osiągnięcia i odważne, mądre kroki stanowiły atrakcyjny przykład do naśladowania. Wkrótce kolejne kraje komunistyczne podążyły naszym śladem, a zmiany nie ominęły także Związku Radzieckiego – i postępowały.

W grudniu 1990 roku Lech Wałęsa wygrał wybory prezydenckie, przejmując zwierzchnictwo nad polskimi siłami zbrojnymi. Nasze odważne i mądre powstanie narodowe zostało zwieńczone odzyskaniem niepodległości, wdzięcznością sąsiadów oraz zasłużonym podziwem świata.

Dwadzieścia lat później świętujący obalenie muru berlińskiego Niemcy przed Bramą Brandenburską ustawili kostki domina symbolizujące kraje dawnego bloku komunistycznego. Lech Wałęsa został zaproszony, aby pchnąć tę pierwszą, symbolizującą Polskę, która, padając, obaliła pozostałe. ●

***Jacek Merkel**

• inżynier, przedsiębiorca, polityk, uczestnik strajku w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 roku, w stanie wojennym internowany, uczestnik obrad Okrągłego Stołu, szef sztabu wyborczego Lecha Wałęsy w czasie kampanii prezydenckiej w 1990 roku, w latach 1989-93 poseł na Sejm.

Koszalin, 4-5 czerwca 2025 r.

Festiwal Fale Historii, Fale Wolności

4 czerwca

• Dziedziniec Muzeum w Koszalinie, ul. Młyńska 37/39.
Panel I: „Kto i co wygrał w 1989 roku?”. Godz. 12 – wykład inauguracyjny, Jacek Merkel;
• Godz. 13 – pokaz filmu dokumentalnego: „Pokolenie 1989”, dyskusja: Maria Zmarz-Koczanowicz – reżyserka, Paweł Pi-skorski – lider NZS, b. prezydent Warszawy, prof. Marek Węcowski – historyk, członek NZS (prowadzenie Michał Wójcik).
• Panel II: „Historia i Przyszłość”. Godz. 15 – podcast na żywo: „Które przewroty się udają, a które nie?”, uczestnicy: Maciej „Max” Łubieński – hi-

storyk, satyryk, dr hab. Błażej Brzostek – historyk.
• Godz. 16 – debata: „Walka czy porozumienie?": Bogdan Borusewicz – działacz opozycji, marszałek Senatu, Zbigniew Janas – opozycjonista, poseł, Andrzej Celiński – uczestnik Okrągłego Stołu, senator (prowadzenie Magda Rigamonti, Cezary Łazarewicz).
• Bałtycki Teatr Dramatyczny, plac Teatralny 1. Godz. 18:00 – spotkanie specjalne: Aleksander Kwaśniewski – b. prezydent RP, Adam Michnik (prowadzenie Magda Rigamonti, Cezary Łazarewicz).
• Godz. 20.30 – spektakl: „W maju się nie umiera” – monodram Agnieszki Przepiórskiej.

5 czerwca

• Dziedziniec Muzeum w Koszalinie. Godz. 12 pokaz filmu „Było sobie Pomorze”, reż. Michał Majerski, dyskusja: Michał Majerski – reżyser, dr Paweł Migdalski – historyk (prowadzenie Michał Wójcik).
• Panel: „Koszalin – miasto odzyskane?”, godz. 13.30, goście: dr hab. Karolina Ćwiek-Rogałska, autorka książki „Ziemie. Historie odzyskania i utraty”, Zbigniew Rokita, autor książki „Odrzania. Podróż po Ziemiach Odzyskanych”, laureat NIKE 2021 (prowadzenie Piotr Pawłowski).
• Godz. 15 – Marta Grzywacz, autorka książki „Radość soboty. Archiwum życia i śmierci”

(prowadzenie Justyna Sobolewska).
• Panel: „Rzeź wołyńska – eks-humacja – koniec traumy?”. Godz. 16.30: Katarzyna Surmiak-Domańska – reporterka, autorka książki „Czystka”, Jan Kuriata – samorządowiec, autor książki „Wołyńcy. Jedno życie” (prowadzenie Michał Wójcik).
• Debata: „Rewolucja oczami kobiet”. Godz. 18: Barbara Labuda – działaczka opozycji, dyplomatką, Grażyna Staniszweska – działaczka opozycji, euro-posłanka, Anna Sztark – wice-marszałkini Senatu, Marta Dzio – autorka książki „Kobiet-y Solidarności” (prowadzenie Magda Rigamonti). ●

Najbiedniejszy Z PREZYDENTÓW

„Nie można tylko pracować, trzeba czasem zbijać baki”.

Jose Mujica walczył o ludzi przez całe życie.

Maciej Stasiński

Gdy ulicami Montevideo przejeżdżała laweta ze zmarłym 13 maja byłym prezydentem Urugwaju żegnały go zapłakane tłumy rodaków. Podczas uroczystości nie było biskupa, krzyża, gromnic, śladu obrzędu religijnego. Nie dlatego, że zmarły był lewicowym ateistą, lecz dlatego, że Urugwaj od początku XX wieku stał się najbardziej ześwieczonym krajem na zachodniej półkuli. Prochy prezydenta spoczęły w ziemi w jego gospodarstwie, kilkanaście kilometrów od miasta, gdzie żył przez ostatnie 40 lat.

Mujica pochodził ze wsi, był młodzieńcem głodnym wiedzy i świata, został anarchistą, potem rewolucjonistą i partyzantem, był długoletnim więźniem dyktatury wojskowej, posłem, senatorem i prezydentem. A także myślicielem, mędrcelem i marzycielem o lepszym świecie.

O socjalizm walczył przemocą, ale przemoc jako akuszerkę dziejów odrzucił i został demokratą. Do śmierci uważał, że kapitalizm to bezsensowny kierat, a wolny człowiek nie może się godzić, by chodzić w nim niczym wół.

Jego życie można by opisywać cytatami z Immanuela Kanta, np.: „Człowiek nie jest bogaty tym, co posiada, lecz tym, bez czego z godnością może się obejść”, lub „niebo gwiazdziste nade mną i prawo moralne we mnie”.

Sam zresztą sypał sentencjami jak z rogu obfitości:

„Mówią o mnie »najbiedniejszy z prezydentów«. Nie czuję się biedny. Biedni są ci, co tyrają, by drogo żyć, i ciągle mieć coraz więcej. To sprawa wolności”.

„Poświęciłem życie na zmienianie świata i głównie zmienilem”.

„Wygrać znaczy podnosić się za każdym razem po upadku i zaczynać od nowa”.

„Jedynym cudem są narodziny. Dlatego trzeba temu cudowi dodać jakiś cel”.

Jako dziecko pomagał mamie prowadzić gospodarstwo, bo ojciec zmarł, gdy miał 7 lat. Czytał jak opętany i szukał swojej drogi. W 1960 roku poleciał do Hawany zobaczyć, jak triumfuje rewolucja i posłuchać, jak Ernesto Che Guevara zagrzewa do czynu w obronie ludu. W 1964 przystąpił do partyzantki tupamaros, czyli Ruch Wyzwolenia Narodowego Tupamaros, od imienia inkaskiego powstańca z XVIII wieku Tupaca Amaru.

W dobie zimnej wojny widmo rewolucji krążyło po Ameryce Łacińskiej. Zbrojna walka w obronie ludu miała być prawomocną odpowiedzią na przemoc reżimów i dyktatur wojskowych w Gwatemali, Nikaragui, We-

nezueli, Paragwaju czy Boliwii. Partyzantek powstało na kontynencie wiele, największe to montoneros w Argentynie, tupamaros w Urugwaju, FARC i ELN w Kolumbii. Rewolucja kubańska była wzorem.

Tupamaros nie poszli do lasu ani w góry, lecz w miasto. Rabowali broń i pieniądze, wywłaszczali firmy, porywali „imperialistycznych” dyplomatów dla okupu, demaskowali malwersacje, pieniądze rozdawali biednym. W 1969 napadli na miasteczko Pando, zajęli komisariat policji, budynek straży pożarnej, centralę telefoniczną, banki, zrabowali broń i pieniądze. W walkach zginęło trzech partyzantów, policjant i cywil.

„Banki, czyli zarabianie pieniędzy przy pomocy pieniędzy innych, to kwintesencja kapitalizmu. Nie ma nic fajniejszego jak wpaść do banku z gnatem 45 mm w rękę. Wszyscy ci się kłaniają” – kpił po latach sam z siebie.

Rok później tupamaros porwali pracującego w ambasadzie USA w Montevideo agenta CIA Dan Mittrione, który uczył policję urugwajską, a wcześniej brazylijską, jak przesłuchiwać i torturować więźniów. Za jego wolność zażądali uwolnienia swoich towarzyszy, a kiedy rząd się nie zgodził, zastrzelili go. Tupamaros utracili wówczas romantyczny nimb, który ich wcześniej otaczał.

Mujica, alias „Facundo” i „Emiliano”, siedział wówczas w więzieniu, ale był jednym z dowódców tupamaros. Po latach tłumaczył się: „Nie mam na koncie zabójstwa. Przez czysty przypadek, ale tak się złożyło, że nikogo nie zabiłem”.

Policja łapała go w sumie cztery razy. W 1970 roku siedział akurat w knajpie z innymi partyzantami, szykując się do skoku na firmę, która ukrywała fortunę, żeby nie płacić podatków. Wtargnęła policja i zażądała dokumentów. „Papiery? To moje papiery” – odrzekł, wyciągając pistolet. Dostał kilka kul. W szpitalu wojskowym odratował go znajomy lekarz.

Z więzienia Punta Carretas uciekł po roku z 105 kolegami tunelem, który wykopali z celi pod ulicą do budynku po drugiej stronie.

Kiedy go złapano powtórnie, znowu uciekł, tym razem tunelem wykopanym z zewnątrz do więzienia. Poznał wówczas

Lucię Topolansky, potomkinię polskich emigrantów, która pracowała w banku, ale przystała do tupamaros, jako „Ana”.

„Kiedy jesteśmy osaczeni i co krok grozi nam więzienie albo śmierć, czepiamy się miłości, bo natura nas do tego popycha. I tak pewnej nocy nad strumieniem połączyliśmy się” – wspominał.

Lucia została jego towarzyszką życia aż do śmierci.

Wpadł ponownie, razem z Lucią, w 1972, a kilka miesięcy później, już w 1973, wojsko dokonało zamachu stanu. Zaraz potem w Chile puczu przeprowadził gen. Augusto Pinochet, a w 1975 – generałowie w Argentynie. Dyktatury Brazylii, Chile, Paragwaju, Argentyny i Urugwaju zawiązały tajne sprzysiężenie „Plan Kondora”, międzynarodówkę wymieniającą się więźniami i doświadczeniami w zwalczaniu wywrotowców.

Następne 13 lat Mujica razem z kilkoma innymi przywódcami tupamaros był więziony jako zakładnik. Usłyszał, że dowództwo armii skazało ich na śmierć, a wyrok zostanie wykonany, jak tylko tupamaros zrobią kolejny zamach. Siedem lat siedział sam w wilgotnym lochu, z którego do ubikacji prowadził go strażnik, a na światło dzienne wypuszczano go raz-dwa w miesiącu.

Opowiadał potem, że nauczył się słuchać żabek, pajaków i mrówek, z którymi obcował. Przez wiele miesięcy miał ręce skrupowane na plecach drutem. Był torturowany. Stracił wszystkie zęby. Gdy w 1985 po upadku dyktatury wyszedł na wolność, był 50-letnim strzępem człowieka.

Tak się przynajmniej wydawało, bo Mujica odrodził jak feniks z popiołów, między innymi dzięki Lucii Topolansky, która również odzyskała wolność. On krótko pracował na plantacji kwiatów, ona w kawiarni, potem kupili działkę Rincon del Cerro, gdzie zajęli się uprawą roli.

Dzieci nie mieli, uważali, że polityka to ich misja i nie starczy im na nie czasu i sił. Politykę uważali za pasję i powołanie, a nie wehikuł kariery czy biznes.

Mujica był żywą legendą lewicy, ale nie dał się uwięzić żywcem w micie. Po kilku latach z kolegami założyli partię ludową MPP, która weszła w skład lewicowego Szerokiego Frontu. Z jego ramienia



• Prezydent Urugwaju Jose Mujica na obchodach Dnia Robotnika ze swoją suczką Manuełą, Montevideo, 1 maja 2010 roku. FOT. REUTERS/ANDRES STAPFF

w 1994 został posłem. Na pierwsze posiedzenie parlamentu przyjechał w džinsach na motorowerze Vespa. W 1999 roku wybrano go senatorem, a kiedy w 2004 roku wybory wygrał Szeroki Front, Mujica wszedł do rządu prezydenta Tabare Vasqueza jako minister rolnictwa, hodowli i rybołówstwa.

Zjednywał ludzi skromnym stylem życia, prostotą, ciętym dowcipem i łatwością komunikacji z każdym. W 2009 wygrał w cuglach wybory prezydenckie. Zaprzysięgała go senator z najlepszym wynikiem – Lucia Topolansky, jego żona od 2005 roku.

„To było coś okropnego. Przychodzę do władzy i okazuje się, że nie mam pojęcia, co robić. Nikt mi nie przygotował ściągawki. A tu mi każą opracować budżet!” – opowiadał po latach BBC.

Wyrzekł się apanaży, dalej mieszkał nie w pałacu, lecz w domku przy gospodarstwie z żoną i psem. Nadal jeździł volkswagenem garbusem z 1987 roku. Oddawał 90 procent pensji na cele społeczne, w tym

Kiedy w Oslo szedł na spotkanie z królem Haraldem, czekał na niego urzędnik protokołu z krawatem. „Zawracamy” - bąknął do swojej delegacji. Urzędnik natychmiast schował krawat



na uczelnię rolniczą dla biednych. Przekazał pół miliona dolarów na budowę mieszkań komunalnych. Był wierny zasadzie, że republikanin powinien żyć jak większość obywateli republiki.

Oficjalnych gości zagranicznych chętnie przywoził do swego domku. Królowi Hiszpanii Juanowi Carlosowi powiedział tam: „No i zrobili cię królem, posadzili na tronie jak w wazonie”.

Kiedy w Oslo szedł na spotkanie z królem Haraldem, czekał na niego urzędnik protokołu z krawatem. „Zawracamy” – bąknął do swojej delegacji. Urzędnik schował krawat. „Nie mam nic przeciw, ale niech mi nie narzucają”, tłumaczył.

Z przywódców najbardziej cenił prezydenta Brazylii Inacio Lula da Silvę i Baracka Obamę. Kiedy prezydentowi USA tłumaczył, że USA powinny wspierać Amerykę Środkową, a nie walczyć z uchodźcami i imigrantami, ten odpowiadał: „Zgoda, ale niech pan przekona Republikanów”.

Radził Obamie wycofać się z Afganistanu, „bo nawet Aleksander Wielki nie dał rady”.

Jako prezydent prochu nie wymyślił, ale doprowadził do legalizacji aborcji i małżeństw osób tej samej płci oraz uprawy i obrotu marihuaną.

Wielu miało mu za złe, że nie ścigał zbrodni dyktatury, ani nie dochodził zadośćuczynienia dla siebie za lata tortur i więzienia: „To mi śmierdzi jakąś kurewską zemstą. Sponiewierali mnie jak jasna cholera, szkoda gadać. Są rany nie do zaleczenia, ale przeszłości nie da się naprawić i nie może przeszkadzać przyszłości. Nie mam rachunków do wyrównania”.

Ze światem, którego nie zdołał zmienić, do końca się nie pogodził: „Człowiek przychodzi na świat nie po to, by w znoju walczyć o chleb codzienny, ale by wiedzieć, znać, używać życia, poznawać innych i cieszyć się nimi, pomagać bliźnim, ulepszać otoczenie”.

Z dziennikarzami chętnie dzielił się mądrościami:

„My, ludzie z lewicy, jesteśmy filozoficznie odmienni. Nie przyszliśmy na świat wyzyskiwać innych, wysysać im krew, ale po to, żeby z nimi współżyć”.

„Nauczyliśmy się, że ludzkość poprawia się poprzez kulturę, a nie tylko postęp materialny. Wielu o poglądach socjalistycznych pogodziło się z kapitalizmem. Inni, jak ja, próbujemy tym kapitalizmem zarządzać, jak potrafimy. Ale kapitalizm nie jest rozwiązaniem. Musimy szukać dalej”.

„Budujemy społeczeństwa, które same się wyzyskują. Ciągłe pracujesz, żeby mieć więcej kasy. Masz czas na pracę, ale nie masz czasu na życie. W Urugwaju mieszka 3 mln ludzi, a importujemy 27 milionów par butów. Myśmy są stonogi, czy co?!”.

„Nie można tylko pracować. Trzeba móc zbijać baki. Kapujesz? Kultura rodzi się z nieróbstwa”.

Nad losem Ameryki Łacińskiej ubolewał, ale nie dlatego, że wykrwawili ją kolonialisci i imperialiści, ale z tego powodu, że nie potrafiła się zjednoczyć, by bronić wspólnych interesów przed zakusami wielkich potęg. Uważał, że w polityce globalnej jego kontynent się nie liczy, bo wszystkie kraje pochłonięte są partykularnymi, nacjonalistycznymi interesami. „Trudno o większą głupotę” – oceniał.

Większość przywódców z Ameryki Południowej podziwiała Mujicę. Dwukrotna prezydent Chile Michelle Bachelet, córka generała zamęconego przez tajną policję gen. Pinocheta, napisała po jego śmierci: „Pepe Mujica mówił nam o tym co ważne: o równości, sprawiedliwości, o człowieku i o planecie, którą niszczymy, o sensie życia. Miał dar słowa. Znajdował te celne i proste. Jego przenośnie otwierały pole wyobraźni”.

Gdy już wiedział, że odejdzie (miał raka przetyku), nie narzekał: „Umrę szczęśliwy, bo zostawiam po sobie pakę (kibiców), która mnie przerasta o głowę. I dobrze. Człowiek żyje, by służyć za nawóz dla następców, a nie robić za zawalidrogę”.

Stare dobre czasy

Dzieci na ślubnym kobiercu

W średniowieczu wydawano za mąż 12-letnie dziewczynki. Względy polityczne były ważniejsze niż ich bezpieczeństwo.

Brzezińska



Przeciwnicy aborcji, domagając się zakazu przerwania każdej ciąży, nawet powstałej wskutek przestępstwa u niepełnoletniej dziewczynki, nieodmiennie sięgają po argumenty historyczne. Bo kiedyś przecież prawo dopuszczało małżeństwa dziewcząt 12-letnich i takie młode mężatki rodziły dzieci. Owszem, może się od tamtych czasów nieco zmieniło, może taka ciąża jest pewną niedogodnością, ale nie przesadzajmy i nie opowiadajmy o traumie.

Rzeczywiście w średniowieczu zwykle określano minimalny wiek małżonków na lat 12 dla kobiet i 14 lat dla mężczyzn. Kościół uważał, że młodsze osoby nie są w stanie wyrazić wiążącej zgody na małżeństwo. Zbyt niski wiek małżonków mógł więc doprowadzić do stwierdzenia przez sąd kościelny jego nieważności.

Jednakże średniowiecze bynajmniej nie obfitowało w małżeństwa dzieci. W rzeczywistości średni wiek kobiet zawierających pierwsze małżeństwo był znacznie wyższy niż 12 lat, choć różnił się w zależności od grupy społecznej, miejsca i czasu. Na przykład pod koniec XIV wieku w Prato ta średnia wynosiła 16 lat, a wiek później we Florencji – 17,5 roku. Z kolei dla polskich chłopek i mieszczek na przełomie średniowiecza i renesansu średni wiek pierwszego zamążpójścia szacuje się na 20-23 lata.

Najwcześniej przed ołtarzem stawały dziewczęta o wysokim statusie, córki władców i młode arystokratki, których związki miały znaczenie polityczne. Szczególnie łakomym kąskiem były młodziutkie dziedziczki, za którymi nie miał się kto ująć. Zdarzało się, że prawni opiekunowie przedwcześnie aranżowali im małżeństwa, by przejąć ich spuściznę, a rozmaici awanturnicy po prostu je porywali, wymuszali ślub i pospiesznie konsumowali związek, przez co małżeństwo stawało się nierozzerwalne.

Niemniej wiele źródeł zaświadcza, że dorośli mieli już wówczas świadomość, że 12-latką nie jest wystarczająco dorosła, by podjąć obowiązki żony i rodzić dzieci. Nawet jeśli ojcowie aranżowali małżeństwa córek w bardzo młodym wieku, odsuwali moment fizyczne-

go skonsumowania związku. Choćby angielski król Edward I, owszem, z powodów politycznych zaręczył swoją córkę Eleonorę z Alfonssem Aragońskim, kiedy miała 11 lat. Ale zatrzymał ją w domu i do dopełnienia małżeństwa pożyciem przez wiele lat, aż do śmierci Alfonsa, nie doszło, ponieważ zarówno jej matka, jak i babka – obie wydane za mąż młodo – skutecznie je oprotowały przez wzgląd na zbyt młody wiek królowny.

Kobiety, występując w obronie córek czy wnuczek, wprost wskazywały na zagrożenia związane ze zbyt wczesnym macierzyństwem. W 1532 roku królowa Maria Węgierska, namiestniczka Niderlandów, usiłowała przekonać cesarza Karola V, że skoro jej wychowanka, Krystyna Duńska, nie skończyła jeszcze 12 lat, jej małżeństwo będzie sprzeczne z prawem boskim i naturalnym. Nie wszystkie dziewczęta dojrzewają w tym samym wieku, argumentowała, a Krystyna nie jest jeszcze dojrzała. Jestem przekonana, że małżeństwo zagrazi jej życiu, jeśli zajdzie w ciążę, zanim się stanie kobietą. W takim przypadku często się zdarza, że ani matka, ani dziecko nie przeżyją porodu.

Jeśli starsze krewne miały mocną pozycję, ich zdanie uwzględniano, ale generalnie o małżeństwach decydowali ojcowie, przy czym oni także potrafili zabiegać o bezpieczeństwo córek. Na przykład Sir Thomas Clifford, który 1447 roku zaręczył swoją sześciolletnią córkę Elizabeth z Robertem, dziedzicem Sir Wiliama Plumptona. Małżeństwa nigdy nie dopełniono pożyciem, bo Robert przedwcześnie zmarł. Związki pomiędzy rodami przetrwały i w wieku 12 lat Elizabeth została zaręczona z jego bratem Williamem. Teoretycznie osiągnęła wiek sprawny, młodzi mogli natychmiast skonsumować związek. William jednak obiecał teściowi, że nie tknie żony, póki ta nie skończy 16 lat. Słowa raczej dotrzymał, bo Elizabeth pierwsze dziecko urodziła jako osiemnastolatka.

W tamtych czasach, kiedy prawna ochrona małoletnich i medycyna były w powijkach, najlepszych posagiem dziewczynki była troska ojców, matek i opiekunów. Ale niektóre dziewczynki nie miały ani kochających rodziców, ani troskliwych opiekunów i zdarzało się, że szafowano im zdrowiem i życiem. Po prostu względy polityczne czy bieżące korzyści okazywały się ważniejsze niż bezpieczeństwo kobiet.

Zupełnie jak dzisiaj. ●

Anna Brzezińska – pisarka, gwiazda polskiej fantastyki, mediewistka



Lamia Reno, Maksymilian Paradys i Albert Starski błakali się już jakiś czas po rzadkim lesie. Tłenu w skafandrach, które zabrali ze sobą uciekając z podziemnego państwa rządzonego przez Ligę Kobiet, zostało już dramatycznie mało.

„Ale tu pięknie. Warto było” – mamrocze resztką sił Albert (Olgiert Łukaszewicz).

Maks (Jerzy Stuhr) wodzi dookoła ledwie już przytomnym wzrokiem, spogląda w górę. I nagle zaczyna się opętańczo śmiać i skakać, po czym zrzuca z głowy przezroczysty hełm i zaczyna ściągać rękawice kombinezonu.

„Oszalał” – wykrztusza Albert, po czym podchodzi do kolegi ze słowami: „Maks, przyjmij śmierć jak mężczyzna... z godnością”.

Tymczasem Maks, w radosnym tańcu krzyczy: „Uratowani, uratowani jesteście!” – i pokazuje w na niebo. „Bocian! Patrz, bocian! Jak on żyje, to znaczy, że my też możemy. Ajajajaj! Bocian, bociuś!”

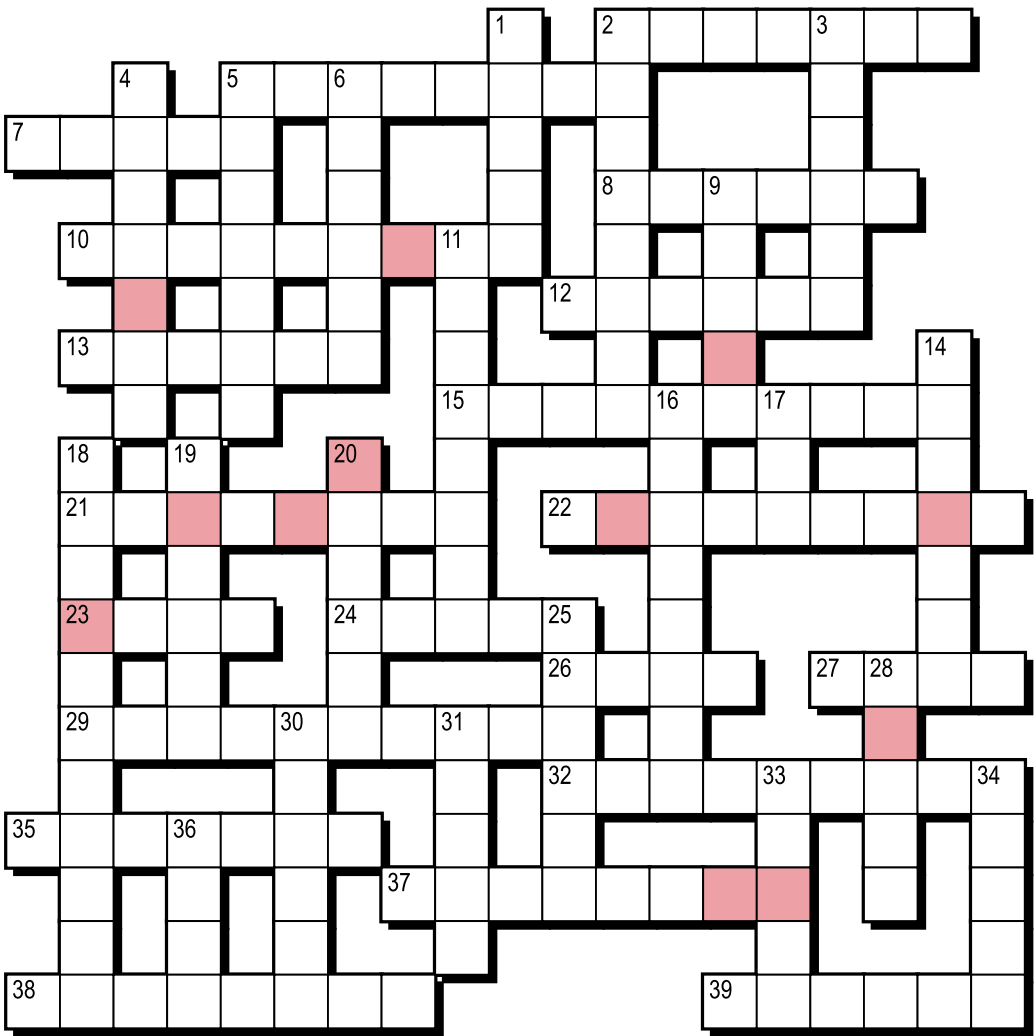
A nad nimi, wysoko wśród obłoków majestatyczne koła zatacza właśnie Ciconia ciconia, znany nam jako bocian, bocian biały – uściślając. Albert, ponaglany przez Maksą, też pozbywa się kombinezonu, po czym, z niemalym trudem, udaje się im zdjąć hełm Lamii (Bożena Strykówna). Kobieta do końca nie dowierza, że na powierzchni ziemi, która ma być przecież skażona promieniowaniem Kuppelweisera, ubocznym skutkiem bomby M, da się jednak normalnie żyć.

A skąd ów sentymentalny wpis dotyczący oczywiście jednej z kultowych scen w doskonałej „Seksmisji” Juliusza Machulskiego (1983)? Otóż dziś, 31 maja w Polsce obchodzony jest Dzień Bociana, święto ustanowione w 2003 roku przez Polskie Towarzystwo Przyjaciół Przyrody „pro Natura”. Tego dnia mnóstwo jest przeróżnych inicjatyw, konkursów, spotkań, festynów, rajdów, wystaw czy akcji liczenia bocianich gniazd. A liczyć jest co, bowiem bocianów gniazduje u nas mnóstwo, 48 tys. par (jak wyliczał niedawno serwis Zielona Interia).

Niestety. Tam też znajdziemy informację, że liczba ta w ostatnich latach spada, w porównaniu z poprzednim liczeniem aż o 4 tys. par. Choć to wciąż Polska pozostaje bocianim centrum Europy. I oby jak najdłużej.

A dzisiejszą „Weekendówkę” poświęćmy bocianom, ale nie tylko – generalnie traktować będzie o polskich ptakach. Fruuuu!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 155 z 24.05:

Poziomo:
6) Woodstock 8) Roskilde
10) Steczkowska 12) To nie ja
13) dzieci 15) Chopin 16) Konin
18) Węgry 20) trasa 21) laureat
24) strefa 25) scena 26) jurorka
28) Solo 29) Open'er 32) fotki
33) bilet na koncert 36) Cleo
37) stadiony

Pionowo:
1) Kostrzyn 2) rock
3) Donatan 4) ekrany 5) reklama
7) Szczesniak 9) Love Parade
11) support 14) Ich Troje 17) Opole
18) Warsaw 19) Glastonbury
20) Tauron 22) Jarocin 23) Orange
27) Granie 28) Spodek
30) Niemcy 31) Sopot 34) czad
35) Remo

HASŁO:
WIERNI FANI

POLSKIE PTAKI

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 2) Orły – Polskie ... Filmowe
- 5) „Orla cień” zespołu Varius Manx
- 7) ORP Orzeł lub ORP Bielik
- 8) bociany przyleciały!
- 10) komedia filmowa, w której pojawienie się boćka sprawia bohaterom wielką radość
- 12) orzeł zwany także birkutem
- 13) dramat, z którego dowiemy się, dokąd orzeł nie polezie i że „ptak ptakowi nie jednaki”
- 15) słysząc wojtkę
- 21) „... w drzewo stuknął, dziewczę ptakało”

- 22) Mariusz, mistrz reportażu (wesoty jak ...)
- 23) bocianie – długie i czerwone
- 24) bociani – długi i czerwony
- 26) orle ..., czyli doskonały wzrok
- 27) „Jak malowany ...”, w repertuarze grupy Dżem
- 29) Józef, twórca obrazu „Bociany”
- 32) nagrali piosenkę „Cała jesteś w skowronkach”
- 35) tankowana na Orlenie
- 37) Wilgi, które produkowano w PZL Warszawa-Okęcie
- 38) miasto z oczyszczalnią ścieków „Czajka”
- 39) gwarowo o kukutce

Pionowo:

- 1) „Przepióreczka się odzywa, idą, idą polem ...”, w wierszu Marii Konopnickiej

- 2) co on, wierzy w bociany?!
- 3) każda pliszka swój ... chwali, przysłówie polskie
- 4) na rogatywce polskiego żołnierza
- 5) pisklę w gniazdku
- 6) wysokie paprocie porastające lasy
- 9) ptaki wyruszają do ciepłych krajów
- 11) powiedziały, że niedobre są spółki
- 14) o Lechu, Czechu i Rusie, i orle
- 16) podniosłe nazywana macierzą
- 17) najlepsi uczniowie; orły
- 18) np. Order Orła Białego
- 19) ptaki o wyjątkowej pisowni, podobnie jak gżegżółki i kszuki
- 20) na żurawiu przy studni
- 25) orlik ze sztuczną nawierzchnią
- 28) Julian, autor wiersza „Ptasie radio”

- 30) z orłem i reszką
- 31) Orla Perć w Tatrach Wysokich
- 33) Kazimierz w drużynie „Orłów Górskiego”
- 34) imię dziewczyny z baśni o braciach zaklętych w łabędzie
- 36) skażał Prometeusza na tortury z udziałem orła (lub sępa)

Leszek Rydz

